

Aurelia Es

# KOCHANEK MALUTKI



Replika

Czy można umrzeć z miłości?

Zdradzona, zraniona, oszukana.

Kiedy poinformował ją o swoim odejściu, wydawało się, że wszystko, co istotne już się skończyło. Życie Zuzanny straciło sens, kłamstwo nabrało niecodziennego znaczenia. Zdawało się, że nic dobrego już się nie przytrafi. A jednak...

Rzeczywistość potrafi przecież działać cuda. A co dopiero wsparta odrobiną magii. Okazuje się, że wszystko może się zdarzyć.

Bójcie się, panowie!

ISBN: 978-83-7674-084-3



9 788376 740843

**R** wydawnictwo  
eplika

cena : 21,90 zł

Aurelia Es

# KOCHANEK MALUTKI

Replika

# Rozdział 1

Umarłam dwudziestego czwartego grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia, dziesięć godzin przed ukazaniem się na niebie pierwszej gwiazdki, która chrześcijanom z obszaru Europy Wschodniej pozwala rozpocząć świąteczny posiłek. Śmierć przyszła niespodziewanie. Była niczym gwałtowny chłód, który ściska serce i kurczy duszę. Do utraty świadomości. Do zawsze. Jak to śmierć. Kto by przypuszczał...

Dwudziesty czwarty grudnia był typowym przedświątecznym dniem, który powtarzamy cyklicznie, z roku na rok, ze stulecia na stulecie. Radość, oczekiwanie, troska, niepokój. Śnieg.

Śnieg trzeszczał pod butami, lekki mróz szczypał w policzki, z dachów zwisały sople. Lód, kryształ, zimowa dekoracja. Wracałam do domu, niosąc świąteczne zakupy. Zabawki, perfumy, krawat, woda kolońska, słodycze. W plastikowej torbie i w plecaku. Zakupy z ostatniej chwili, jakby kwintesencja spełnienia, słodka kandyzowana

wisienka na szczycie czekoladowego tortu. Bez pośpiechu. Ludzie szczęśliwi spieszyć się nie muszą. Fortuna jest stanem stałym, i tu, i tam, wszędzie. Jestem, będę, przyjdę. Teraz i jutro. Na pewno, na wieki. Kocham.

Choinkowe iluminacje, krasnoludki w za dużych czapkach, cukierkowe aniołki, pakunki w *kolorowym* papierze. Kup, popatrz, oceń, podaruj! Na jedną statystyczną osobę przypada dziesięć kupionych prezentów. Jedna statystyczna osoba wydaje na świąteczne podarunki od 200 do 500 złotych. Prawie wszystkie statystyczne osoby obchodzą święta Bożego Narodzenia godnie, tradycyjnie i w pocie czoła. Jak ja. Tak jak ja! Właśnie jak ja! Wszystkiego najlepszego!

Co kilka metrów na ulicy przytupywał świąteczny Mikołaj, skrywała go biała i puchata broda, nie wiadomo, czy młody czy stary, trzeźwy czy podпиты, wesoły czy smutny. Dzwoniły dzwoneczki. Ludzie tłoczyli się w sklepach, słuchali dźwięków popularnych kolęd. Uśmiechały się sprzedawczynie, *poproszę jeden kawowy likier, jedno czerwone wytrawne i ruski szampan. Dziękuję.* Uśmiechali się pijacy, żebracy, mieszczenie, gospodynie domowe, zacni mężowie. Wesołych świąt! Pijanych świąt! I oby nam się! Wszyscy będziemy świętować wesołych świąt. Czy to nie wspaniałe?

*Wspaniale, wspaniale, życie jest wspaniałe,* nuciłam pod nosem, uśmiechałam się do przechodniów. Do wigilijnej kolacji zostało niewiele godzin. Siostra nakryje stół białym obrusem, położy świąteczny opłatek, złożymy sobie życzenia. Szczęścia, zdrowia i że będziesz przy mnie. Bo będziesz przy mnie, prawda? Prawda. Jajka w majonezie, karp w galarecie, śledzie w śmietanie. Sałatka jarzynowa. Czerwony

barszcz albo zupa grzybowa, do wyboru, do koloru, do przesyty, do ziół przeciw niestrawności. *To on? Tak, to on. A któżby? Nareszcie.*

Na deser zjemy wielkie kawały makowego tortu, owocową galaretkę, keks i marcepanowe ciasteczka. Wszystko popijemy dużą ilością wina. Wódki, koniaku, likieru, co kto woli. Jak zwykle. Po kolacji zbierzemy się wokół kominka, posłuchamy muzyki... *Przystojny*, powie w sekrecie matka albo szwagier. Albo siostrzeńcy. Pewnie, że przystojny. Ten wybrany. Zakochany. Zakochana. Głupia?

Skręciłam w „moją” uliczkę, odetchnęłam głęboko. Lodowate powietrze wypełniło płuca. W domu mojej siostry będzie ciepło i przytulnie. Na choince będą mrugać kolorowe światełka, tak, tak, *tak, proszę się częstować*, figi, orzechy, daktyle, suszone jabłka i śliwki. Podarunki. Szelest papieru. Cisza...

W mojej uliczce panowała cisza. Nagła. Nieoczekiwana. Wywołała dreszcz. Zdziwienia.

Bo oto świąteczny rozgardiasz zniknął, zamilkł, jakby go nigdy nie było. Przejmujący chłód zdusił radość. Dlaczego? Stukot moich butów rozmywał się w ruchliwym echu, które odbijało się od kamieni mijanych domów. Stuk, stuk, stuk, szłam coraz szybciej po popękany chodniku. Myśli o wieczorze u siostry zblakły, rozwiały się, czyżby nieprawdziwe? Umykałam przed wiatrem, który jęczał rozdzierająco, poganiał mnie przed sobą, prędeej, prędeej. Prędeej. Na głowę naciągnęłam kaptur kurtki, wolną rękę wcisnęłam do kieszeni. Czułam niepokój. Nieokreślony i sztywny. Dlaczego? Co się stało? Kiedy zmienił się

nastrój? Gdzie podział się wesoły harmider, krzykliwe zabieganie, zdążyć, zdążyć przed pierwszą gwiazdką, otworzyć drzwi kuzynom, nareszcie, nareszcie, prosimy? Jeszcze przed chwilą wszystko napawało optymizmem, jakoś to będzie, wszystko się ułoży, życie to koronkowa robota, materia ażurowa, weneckie, rosellino, burano czy brabanckie. A teraz... Nici się splątały. I kto je rozsypała?

Dom, w którym mieszkam, stoi na końcu ulicy, naprzeciwko parku. Park Nadrzeczny, kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych przestrzeni, w lecie zielonej, w zimie białej, jesienią wielokolorowej, poprzecinanej żwirowatymi alejkami. Ławeczki, fontanny, świeże powietrze. Azyl dla zakochanych, leciwych i matek z dziećmi. Azyl dla mnie. Dla mnie też. Mój azyl. Moja kamienica jest przysadzista, ma trzy piętra, zaokrąglone kanty, ozdobne balkony i płynne linie. Secesja. A jednak na renowację elewacji pieniędzy brak, sponsorów i urzędniczego zainteresowania zabytkiem też nie ma. Zostaje patchwork rudych cegieł, które z zaodłupanego miejscami tynku ciekawie przypatrują się światu. Drewniane framugi starych okien, popękana farba. Niedofinansowana część miasta, czynsze za to znośne, a do nowoczesnych apartamentowców daleko. Mój dom.

Dwudziestego czwartego grudnia około jedenastej przed południem otworzyłam frontowe drzwi mojego domu, które zaskrzypiały niemiłosiernie. Nic w tym dziwnego, nikt przecież od dawna nie naoliwił metalowych zawiasów. Powitał mnie chłód kamiennej posadzki — nie-mego świadka lepszych czasów. Zaczęłam wchodzić po schodach na górę. Powoli. Przyglądałam się zaciekom

wilgoci na ścianach, czyżbym widziała je po raz pierwszy? Opierałam się o balustradę, której falista linia zazwyczaj nadawała wnętrzu niezwykłą lekkość, ale tamtego dnia kojarzyła się z zygzakowatym śladem gada. Brzydota. Stęchlizna. Pustka. Czy to mój dom? Bezpieczny? Wytchnienie? I spokój? Nieszczelne okna jęczały niepokojąco.

Coś było nie tak. I kiedy to się zmieniło? To coś?

Oprócz skrzypienia okien z wnętrza domu nie dobywał się żaden inny dźwięk. Martwa cisza. Jej nadmiar kojarzył się z bezruchem, stop-klatka, zatrzymany na zawsze moment zatrwożenia. Boże! Co było nie tak?

Obcość. Duszność. Zagrożenie.

Dusza ciążyła niczym zmoknięty płaszcz, kapały z niej krople roztapiającej wody. Przeczucie. Obawa. Bezradność. Strach? W rękach trzymałam siatkę wypełnioną ciężarem uzbieranych przez całe życie kamieni. Kamieni. Twardych, za dużych, ostrych. Trudno jest po nich chodzić, ranią stopy, kaleczą uczucia. Ciężkie nogi podnosiłam do góry. Stopień za stopniem. Zgrzyt za zgrzytem. Pokonując lęk? Nie. Nawet nie starałam się pokonać lęku. Byłam zmęczona. Stara. Przymknęłam powieki. Czułam upływ lat. Jakby minęło tysiąc zim. Czarnych i mroźnych. Tysiące doświadczeń.

Jednak coś było nie tak.

Kosmaty pajak przysiadł nieruchomo w górnym rogu drzwi na pierwszym piętrze, złowrogi drapieżca, świadek. Świadek czego? Czarnych usiłowań, zmarnowanych szans, tajemnicy z samego dna głębokiej studni? Podeszłam do mieszkania oznaczonego numerem czwartym. Drugie piętro, prawy korytarz. To numer mojego schronienia, zagwarantowany testamentem przodków, którzy



spędzili w tym miejscu wiele szczęśliwych lat. Otworzyłam drzwi. Zwolnione ruchy... Zwolnione ruchy pozostawiają czas do namysłu - odejść, nie wchodzić, zapomnij, przestań.

Weszłam.

Jednak weszłam. Do środka. I od razu wiedziałam, że jest inaczej niż zwykle. Coś się zmieniło. Tak. Coś się zmieniło. Przestrzeń trypokojowego mieszkania była inna. Inna niż zwykle. Inna niż dwie godziny wcześniej. Martwa? Przerażona? Cisza śmierdziała przerażeniem. Życie, które trwało tu tyle czasu, ulotniło się gdzieś niepostrzeżenie, może przez szpary w oknach, może przez dziurkę od klucza, może przez pory murów.

Pustka.

Wiedziałam, że nikogo nie ma ani w kuchni, ani w pokojach, ani w łazience, nigdzie, nigdzie. Wiedziałam, że jestem sama. Samotna. Bezbronna. Ja. Wiedziałam. Mieszkanie było puste. O Boże! Mieszkanie było puste. Puste nie pięciominutowym przyrzeczeniem powrotu *zaraz wracam*. Mieszkanie było puste prawdziwie. Pusty był każdy centymetr myśli i oczekiwań. Pusto było wszędzie. Puste było wszystko. Bo jakżeby inaczej?

Co można robić w pustym mieszkaniu, z którego wyparowały radość i optymizm? Stać na baczność? Płakać? Milczeć?

Milczałam.

Ależ milczałam! Jakby zabrakło na świecie słów. Jakby słowa nie zostały jeszcze stworzone. Rezygnacja. Bezruch. Zrozumienie ciężkie jak mokra kłoda, która przygniata

umysł, czucie i pragnienia. Przecież wiedziałam. Nie! Tak. Przecież wiedziałam.

Nieszczęsne biurko...

Biurko, które babka zostawiła w spadku, masywne, dębowe, stare. Narzędzie twórczej, spokojnej pracy. Lśnienie wytartego potem dłoni blatu. Podkładka szybkiej miłości. Rano. Po południu. Moje biurko. Biurko...

Na biurku, oparta o szklaną lampę, dobrze widoczna, stała biała koperta. Bez adresata. Bez nadawcy. Bez niedopowiedzeń. Wiadomo.

Wiedziałam...

W środku był list. Wiedziałam, że w środku był list. Takie rzeczy się przeczuwa, śni, zgaduje. Przed takimi rzeczami broni się świadomość, półświadomość, ćwierćświadomość, rozsądek i moc przewidywania. Przewidziałam? Zadrżałam? Biała koperta z listem w środku pozostawiona na widocznym miejscu nigdy nie wróży niczego dobrego.

Nie podchodź, nie otwieraj, żyj w ułudzie, wyrzuć!

Podeszłam powoli.

Droga od drzwi do biurka wydawała się trwać w nieskończoność, ciągnąć się kilometrami bezkresnej przestrzeni. W zwolnionym tempie, w fałszywej rzeczywistości.

Nie dotykaj, udawaj, odwróć się, zamknij oczy!

Otworzyłam oczy.

Otworzyłam oczy, bo nic już nie miało znaczenia. Można było jedynie wejść do głębokiej wody, po kolana, po pas, po szyję, po wieczność.

Nie otwieraj!

Nie otwieraj! Nie otwieraj!

Dramaturgia sekwencji zdarzeń kazała otworzyć kopertę, wyjąć zgiętą kartkę papieru, rozłożyć...

Nie czytaj!

Palce trochę nieposłuszne, spojrzenie nieco rozbiegane. Wiadomość napisana ręcznie. Zielonym tuszem. W dobie pospiesznych internetowych maili i elektronicznych esemesów wyznanie napisane było ręcznie. Banalne. Pospolite.

Przeczytałam.

Po co?

Przeczytałam.

*Wybacz. Muszę odejść. Ona jest w ciąży.*

Ktoś napisał.

Kto? Kto to napisał? Kto to napisał?!

Do cholery!

\*

Resztką życia. Wątpa niczym płomyk świecy pozostawiony w przeciagu. Ucisk ciężkiej ziemi, która przykrywa przeszłość. Twarz zamienia się w kamień, szary, przydrożny, bez uśmiechu. Kamienie przecież się nie uśmiechają. Czas przelatuje niby świst wiatru, od niechcienia. Nie ma nic. Nic? Nic nie ma. Puch dmuchawców odleciał w nieznane jutro. Pozostaje czerń. Przepaść. I ostatni błysk świadomości. Zwykłe odejście. Typowe rozstanie. Nic wielkiego. Po prostu śmierć. Sprytnie schowana w kilku zdaniach pospolitej informacji. Siedem wyrazów, trzy kropki. Po prostu śmierć.

## Rozdział 2

Czy cierpienie może przeistoczyć się w dźwięk? Albo odbić się echem od kłamstwa? Zwielokrotnieć? Napęcznić? Przeistoczyć w chłód samotności? Zawisnąć w pustce? Nie wiem. Nie pamiętam. Umarli nie wiedzą i nie pamiętają. A ja byłam przecież martwa. Nieżywa, niepomna, niewłaściwa. Strzępek. Bez osobowości. Jednak płakałam.

Łzy obficie płynęły po policzkach. Krople łez w kształcie łez. Duże krople. Twardniały, krzepły i z brzdękiem spadały na podłogę. Pac, pac, pac. Kryształki smutku. Koralki nieszczęścia. Niezbity dowód istnienia niewypowiedzianej rozpacz. Podłoga lśniła od usianego na niej blasku niczym kraina srebrzącej się boleści. Jak to możliwe? Kurczące się ciało, zlodowaciałe uczucia, odejście bezkształtnego kochanka. Nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia, bo jeśli stracił kształt, to przecież musiał odejść? Resztki myśli uciekały pospiesznie. Nadchodziła nicość. Zgnilizna. Umierałam. Umierałam. Gdy nie przesuwają się twój cień obok mego cienia. Wtedy umieram. Zapominam życie.

Skrycie co roku. Statystyki podają, że z powodu miłosnego zawodu odbiera sobie życie około czterech tysięcy osób. Liczba ta podzielona jest nierówno między mężczyzn i kobiety, w stosunku jeden do trzech. Do zamachów samobójczych dochodzi najczęściej w domach, parkach i lasach. W okresie od późnej wiosny do wczesnej jesieni. Najczęstszymi sposobami odebrania sobie życia są: otrucie gazem, zażycie trucizny, upadek z wysokości, utonięcie, powieszenie. I inne. Mój przypadek okazał się być typowy, jeśli chodzi o miejsce, ale nietypowy, jeśli chodzi o sposób i o czas. Znalazłam się w kategorii - inne. Powodem mojej śmierci były żal i tęsknota. W wigilię Bożego Narodzenia. Ale wstyd!

Umierałam jakiś czas. Mogły to być nieokreślone, śmiertelne dni. Godziny. Mogły to być lata w nicości albo wieki bezmyślne, bez snów i bez marzeń. Umieranie dopadło moje ciało, duszę i umysł. Ciało zwiędło. Spóźniony jesienny kwiat, pożółkłe listki, pochylona łodyga. Ku upadkowi. Zbrzydło. Zwiotczało. Dusza uciekała przerażona. Umysł zamilkł. Kruche życie, które łatwo stracić, zranić, przechytrzyć. Gdzie było?

Umierałam w nieświadomym bezwładzie i w cielesnym poniżeniu. W ciszy uwięzionych myśli, których przecież nie ma.

Umierałam na koszt sąsiadki z góry i sąsiada z parteru. Umierałam pod czujnym okiem życzliwych ludzi, którzy nie pozwolili mi umrzeć. Jednak.

Sąsiadka z góry wkroczyła do akcji, kiedy zauważyła otwarte na oścież drzwi do mojego mieszkania, kiedy

wyczuła pustkę czającą się w przestrzeni mojej przestrzeni i kiedy zobaczyła moje bez znaczenia zwłoki na podłodze saloniku wśród migoczących kamieni/kryształów/łez. Nawykła do sprzątanania, wzięła porządki w doświadczone ręce, cudem dźwigni silnych ramion umieściła moje truchło na tapczanie, pod martwą głowę podłożyła poduszkę, a na czoło położyła zimny kompres. Nie zawiadomiła lekarza. *A co on by tam poradził! Takoz zimny kompres by zalecił i łapę by wyciągał, że wyciągał. Łapę po zapłatę, a po cóż by! Takie one są te doktory. Takie one są.* Litościwa. Zdroworozsądkowa.

Sąsiadka zaopiekowała się więc moją skromną osobą. Przykryła mnie wełnianym kocem, w nadgarstki i skronie wtarła ocet. *Coby się rozgrzały. Coby krew pobudzić.* W pokoju śmierdziało ostro i kojarzyło się z produkcją marynat. Dobrze, że będąc martwa, nie czułam tego zapachu zapobiegliwej garmazerii. Łzy, które rozsiałam na znacznej części podłogi, zostały przez moją sąsiadkę zmiecione w jeden pokaźny pagórek lśnienia, a następnie upchane w reklamówki po zakupach i ustawione grzecznie obok biurka przy oknie. *Tyli tego, tyli tego. I takie iskrzące paciorki, że aż wesoło się robi, aż wesoło.* Moje wesoło kojarzone łyzy. Po oporządzeniu ciała, po zapakowaniu połyskliwych paciorków sąsiadka zabrała się do robienia porządków ogólnych. Zamiotła i umyła podłogę, wyczyściła łazienkę, odkurzyła meble, opróżniła kosz z podartych próbek pożegnalnych listów mojego byłego kochanka, wyrzuciła śmieci, umyła garnki, posprzątała kuchnię i zaczęła przygotowywać rosół dla umarlaka. Sąsiadka nie mówiła zresztą o mnie jako o martwej, prawie martwej czy nie całkiem żywej. Nazywała mnie chorą. Rosół dla chorych. Rosół dla chorych to podstawa ozdrowienia. Prawdziwy rosół

powinien być ugotowany na kurze i na wołowinie, oka muszą w nim pływać, że aż pływać, włoszczyzna nie może być rozgotowana, a zapach niech się roznosi po wszystkich piętrach i parterze, wszędzie. Niech wiedzą. Niech wszyscy wiedzą, że tu się gotuje smacznie i zdrowo. Zdaje się, że właśnie wtedy, kiedy rosół był już gotowy, przyszedł sąsiad spod dwójki, *co tu się dzieje u sąsiadki, co tu się dzieje, wypadek jakiś, z przepracowania, z nieuwagi, Z niedożywienia? Ach, ach!* Sąsiad szybko postanowił służyć pomocą i już za chwilę siedział wygodnie przy stole i ze smakiem zajadał tłusty rosół z cienkim makaronem. Skąd ten makaron? Posypany pachnącym suszonym koperkiem. Ziarnka pieprzu, angielskiego ziela, szczypta soli. *Nie za słone, aby? Aby nie za słone? Dolać jeszcze?*

- A pewnie, że dolać, pewnie, że dolać. Rosół to samo zdrowie. Jak tylko nasza dziewczyna się ocknie, zaraz skosztuje kapeczkę, zaraz jej się lepiej zrobi — odpowiedział sąsiad spod dwójki i łyknął aromatycznego wywaru.

- Patrzaj pan! Już ma trochę kolorów na polikach.

Zaróżowiona lekko, leżałam nadal martwa na samotnym posłaniu. Nieżywa, nieczuła, wyjąłowiona. Oprócz dalekiego dźwięku pracujących łyżek, które uderzały o dno talerzy do zupy, niczego nie słyszałam. Niczego nie widziałam. Niczego nie czułam.

Troska.

A jednak troska okazana mi przez sąsiadkę z góry i sąsiada z parteru okazała się być silniejsza niż śmiercionośna pustka. Uparta troska rozmieniła śmierć na drobne, wymiotła niepotrzebne odpadki na szufelkę, do wiadra, na śmietnik. Aby dalej. Lecznicza troska zdezynfekowała czucie. Krew znowu zaczęła krążyć w wyschniętych

arteriach, pojawiło się mrowienie w palcach u rąk, w palcach u nóg. Ciemność odsuwała się niechętnie. Kropelki jasności pojawiły się to tu, to tam. Nieśmiało. Dźwięki. Strzępy myśli. Życie wróciło? Zdawało się, że wróciło. Niemrawe i niezbyt oczekiwane. Poszarpane. Byle jakie. Radość, smutek, przerażenie? Jeszcze nie wszystko się skończyło?

— A teraz napije się pani rosołku i wszystko będzie dobrze, siły powrócą - łagodny głos sąsiadki z góry sączył się niczym dym z kadzidła, otumaniał, otaczał, brał w posiadanie.

— A ja zrobię herbatkę. Z cytryną. I z cukrem. Dla porzepienia - mówił sąsiad. Nalewał wodę do czajnika, do szklanki wkładał torebkę czarnej herbaty. Skąd ten cukier? Przecież nie używam cukru. Ruchy spowolnione, dźwięki jakby zza mgły.

Głosy, które działały jak narkotyk. Dowodziły, że nie byłam obojętna, że znaczyłam coś jeszcze, że musiałam być, że chciałam być. Za oknem padał śnieg. Białe płatki wirowały w tańcu, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, w górę, w dół, skoczne podrygi. Osiadały na okiennym parapecie w puchatej pierzynie. Jak to w zimie.

— Smakuje?

Chyba tak. Chyba smakuje, zresztą trudno powiedzieć.

— Lepiej pani?

Chyba lepiej. Czuję się lepiej. W skali jeden do dziesięciu samopoczucie na cztery punkty. Cztery punkty życia. To dużo?

— Ile łyżeczek cukru?

Jedna? Dwie? Trzy? Bo chyba nie cztery?

— Proszę unieść głowę. Podłóżę poduszki.



Głupia. Kaleka. Kwaśna i niedojrzała. Bez perspektyw, bez marzeń, bez planów na wieczór, bez chęci. I głodna jak wilk. Proces umierania zakończył się fiaskiem. Czy mi się to podobało, czy nie, byłam żywa, boleśnie żywa i chora z niedowierzania, że można upaść tak nisko. Umrzeć z miłości!

- Spierdalaj, kutasie! Spierdalaj z mojego życia - zawołałam z głębi swojej boleści, bezsilna i poraniona.

Głos uwiązał mi w gardle. Przemienił się w niegroźny szept. Uleciał. Jakby go nigdy nie było?

## Rozdział 3

Tamtą wigilię spędziłam z rodziną. Claude przyjechał wieczorem, poszeptał z sąsiadką z góry, która poinformowała go na temat mojej fizycznej i psychicznej kondycji i jej przyczyn, a następnie pomógł mi wstać z łóżka. *No choć, no choć, przecież ne zostaniesz tu sama.* Łamaną polszczyzną. Jak to cudzoziemiec. Pomógł mi pozbierać i zapakować kilka niezbędnych przedmiotów codziennego użytku. Szczoteczka do zębów, szlafrok, pidżama, kilka kosmetyków. *Po co masz whacać tutaj, przesypiasz się u nasz, u nasz się przesypiasz.* A następnie pomógł mi zejść na dół i wsiąść do

samochodu. Czułam się jak zniszczona, nikomu niepotrzebna lalka. Bezbronna i bezsilna. Wyrzucona poza nawias życia, rozumienia, miłości. No cóż... Przecież dopiero co wstałam z martwych. Okoliczność, która na pewno usprawiedliwia bierność zachowania. Smutek. I rozkojarzenie.

Dom mojej siostry był przystrojony uroczyście. Jak zwykle. Wysoka choinka w salonie, drzenie, migotanie, coroczna tajemnica. Paczki owinięte w kolorowy papier i położone pod rozłożystymi gałęziami. Działanie na wyobraźnię. Pośrodku jadalni znajdował się ogromny stół, stolarskie dzieło Claude'a, trzy metry długi, półtora metra szeroki. Grube nogi w kształcie kielicha podtrzymywały solidny dębowy blat. Claude pracował nad nim kilka tygodni, co prawda nie spieszył się zbytnio, bo *co nagla, to po diabla*, jak mówią Francuzi na obczyźnie, ale efekt był imponujący. Obietnica sytych wieczorów, życzliwych rozmów o zmierzchu, wesołych kolacji. Ciche pomruki po rozleniwiających posiłkach. Stół. Symbol szczęśliwej rodziny. Miejsce codziennych spotkań. Serce domu.

Dwudziestego czwartego grudnia stół nakryty był do wigilijnej kolacji białym obrusem. Jak co roku. Na środku stał kryształowy wazon z liliowym bzem. Bez nie pachniał. Pachniały za to świece w srebrnych świecznikach. Róże, cynamon, lawenda - co kto lubi. Przy każdym nakryciu leżały posrebrzane sztuce, stały głębokie kielichy i rżnięte szklanki. Porcelana ze złotymi ornamentami, lśniąca, piękna. Pełne karafki. Staromodna i wartościowa kolekcja naczyń, w których lubuje się moja siostra. Porcelana z Drezna, Miśni, Korca. Wyszukane w katalogach filiżanki, talerze, sosjerki. Wyszperane na starzyznach cukiernice,

dzbanki, tace i bomboniery. *Do użytku? Używasz takich naczyń na co dzień?* Dziwią się goście. *Używam. Nie na co dzień, ale używam. Dlaczego nie?* Odpowiada siostra. Wartość przedmiotu jest tym większa, im lepiej służy. Mieszkańcom domu. Jej domu. A poza tym, nic się jeszcze nie stłukło. Oczywiście, kupione na aukcjach rosenthale stoją dumnie za szklanymi drzwiczkami serwantek i kredensów. Bez przesady.

Na półmiskach różności. Zgodnie z tradycją. I zgodnie ze statystykami, które szacują, że w okresach wielkich świąt spożycie artykułów żywnościowych wzrasta o kilkadziesiąt procent. Nikt przecież nie dba wtedy o zdrową dietę, nikt się nie przejmuje nadmiarem spożywanego tłuszczu i węglowodanów. Tysiące kalorii. Trzy centymetry tu, dwa tam, popuszczone dziurki w paskach. A także karpie w galarecie i po żydowsku, z natką pietruszki, z cytryną, z sosem chrzanowym. Przepisy ciotki, kuzynki, własne. Przepiękne żołądki, rozpięte suwaki. *Proszę, proszę, częstujcie się, kochani.* Lekarstwa na trawienie. Barszczyk czerwony z pasztecikami albo zupa grzybowa. Leki na wątrobę. Długie pasmo delikatesów i łakomstwa ponad miarę. Rodzinnie. Samotnie. Byle jak.

- A ten twój? Jak mu tam? Mieliście przyjść razem, prawda? Stało się coś? - zapytała siostra. Spojrzała na moją przezroczystą jak woda twarz, w której odbijały się smutek, żal, bezradność i niechęć do życia. Mieliśmy przyjść razem, ten bezimienny, „jak mu tam” mężczyzna, kochanek, na zawsze, na zapowiedzi. Płonne nadzieje w kanarkowym kolorze. W takim nikomu nie jest do twarzy.

- O! A to mój nowy phaca. - Claude wskazał zabytkowy szeszlony, który zdobił przeciwległą ścianę pokoju. Mebel

do złudzenia przypominał ten, na którym wylegiwała się niegdyś pani Recamier. Ciemnoczerwony mahoń, połyskująca głębia wypolerowanego drewna, delikatna płynność kształtu. Elegancja. Mój szwagier jest przecieŜ zdolnym i wziętym stolarzem. Wirtuozem stylizacji. Artystą od renowacji starych, antycznych mebli, które sprowadza regularnie z Francji, Belgii, Holandii. Dąb, sosna, modrzew, wiśnia, orzech. Brąz, ciemny brąz, szarość, złoto, biel. Empirowe zegary, biedermeierowskie szafy, kanapy, barokowe fotele. Egipskie motywy i pyzate aniołki na lwich łapach. Piękne. Piękne. Meblarskie wyrafinowanie i szalona rozpusta. BranŜowy brak umiaru. Na zdrowie, na zawsze, na apetyt na Źycie! Szalony Claude.

- No co? Stało się coś?
- Nie... Nic sZe nie stało.
- PrzecieŜ widzę. Stało się coś?
- Iwon, Iwon, nic sZe nie stało.
- Ciebie nie pytam.
- Ale ja odpowiaduję.
- Odpowiadam. Mówi się: odpowiadam.
- Tak, tak. Odpowiaduję.

Francuz, drogą lingwistycznych potknięć, wyrobił sobie w domu siostry pozycję Źartownisia i niepoprawnego optymisty. Uczył się jęzYka wytrwale, ale ciagle popełniał ogromną liczbę błędów. *Jak mi dŹie?*, pytał z ufnością i zaraz dodawał: *Nie jest tego złego, nie jest tego złego. I śmiał się do rozpuku.*

Tym razem jednak nikomu nie było do śmiechu.

- Pytam jeszcze raz. Czy ktoś raczy mnie poinformować, dlaczego Zuzanna przyszła sama na wigilijną

kolację? Chociaż miała przyjść z... jak mu tam... I czy coś się stało?

- Dominik. Ma na imię Dominik.

- Właśnie. Czy przyjdzie ten tam Dominik? Stało się coś?

- Nic się nie stało. Dominik nie mógł przyjść - odpowiedziałam, westchnęłam, uśmiechnęłam się. Proszę.

- Piękna mebel. Sprzedam go jedna pani, która już ma kilka mebli empihe — kontynuował Claude, spoglądał znacząco, wzrokiem nakazywał żonie milczenie.

- Jak to nie mógł przyjść? — Siostra nie dawała za wygraną. - Jak to nie mógł przyjść? Jak można nie przyjść na proszoną kolację!

- Uhocza mebel. Uhocza. I dhoga. Bahdzo dhoga. — Claude podszedł do szezlonga, pogłaskał polakierowaną powierzchnię. Gładka. Subtelna. Pieszczota.

- Dominik nie mógł dzisiaj przyjść.

- Na święta? Nie mógł przyjść na wigilię? Przecież mieliśmy go poznać. I co teraz powie matka?

- Iwon! - jęknął Claude.

- Co Iwon? Co Iwon, do cholery! Źle mówię? Mieliśmy go poznać. Wreszcie. I co teraz?

- Dobrze mówisz. Nie krzycz.

- Ja krzyczę? Przecież nie krzyczę. Dziwię się tylko, jak można olać taką okazję. No, chyba że jest obłożnie chory.

- Empihe z dziewięć setek wieku. Cesahstwo napoleonskje. Fohma i ozdoba stahożytne. Czy to nie piękna?

- Claude! Przestań!

- A co ja hobię?

- Przeszkadzasz!

- Ja? Pszephaszam bahdzo.

— Czy ktoś mi coś wyjaśni? Jest obłożnie chory? W szpitalu? W wariatkowie? W kostnicy? Miał wypadek? Ten... jak mu tam... Dominik.

— Iwonko...

— No! Mów wreszcie. Jak można być zaproszonym na pierwsze spotkanie i tak sobie po prostu nie przyjść. Trzeba być nieokrzesanym gburem, żeby tak postąpić.

- Iwonko...

- Co Iwonko! Nawet nie zadzwonił, żeby przeprosić!

- Dominik właśnie mnie rzucił.

Właśnie mnie rzucił.

- Że co?!

— Właśnie mnie rzucił.

Wyartykułowałam prawdę gorzką jak piołun. Wzrost współczynnika rozstań. Prawda, która przyczyniła się do wzrostu współczynnika rozstań par heteroseksualnych, powód: zdrada lub stały związek z inną osobą. Grupa powyżej dwudziestu pięciu procent. Moja grupa.

— Nie chcę o tym mówić — dodałam. — Pieprzyć Dominika!

Trzeba było pieprzyć, wyrznąć, wyrzucić ze świstem, z chrzęstem, na złamanie karku, na zbity pysk, dać w mordę! Niestety. Niestety, za późno. Dominik odszedł sam. Umknął. Tchórzliwie. Na palcach. Z brudnym paluchem na ustach. Cicho, cicho. Już mnie tu nie ma. Już mnie tu nie ma. Już nie.

- Och, moja kochana... - Siostra przytuliła mnie do siebie. Po prostu. Pod powiekami poczułam łzy, które spłynęły po policzkach, rozmazały makijaż, pozostawiły ślady w grubej warstwie pudru. - Och, moja kochana.

Wtuliłam głowę w jej ramiona. Trzymałyśmy się za ręce. Od dzieciństwa. Znaczące sekrety, *przrzeknij, że nigdy nikomu*, porozumienie bez słów. Aż do teraz.

A jednak temat został poruszony raz jeszcze, późnym wieczorem. Za oknem padał obfity śnieg, w otwartym kamiennym kominku trzeszczały palące się szczapy drewna, karmazynowe płomienie przyciągały wzrok, szeptem, baśniowo, bez końca. Matka siedziała naprzeciw mnie. Wytworna jak zwykle. Ubrana w czarny jedwabny kostium, satynową bluzkę z koronkowym żabotem, w którym połyskiwała złota szpila. Delikatny zapach egzotycznych perfum. Stara zniszczona twarz z pajęczyną zmarszczek, ewidentny dowód przeżyć, doświadczeń, trosk. Miłości i nadziei. Czarne włosy ze srebrnymi pasemkami przemijania ujęte w cieniutką siateczkę, która mieniła się szlachetnym blaskiem brylantowych drobin. Życie, życie, głębokie nurty, gwałtowne zakręty. I oczy. Bystre. Orzechowe i błyszczące. Poza wątpliwości, poza tajemnice, poza tu i teraz. Piękne. Prosta szczupła sylwetka. Moja matka.

- Wyraz na *p*.

Grałyśmy w scrabble, które moi siostrzeńcy dostali pod choinkę. Popularyzacja, popychać, popyt, poradnik, portki. Próżny, popapwany, paskudnik, potwór, drań.

- Drań nie jest na *p* - zwróciła uwagę matka. - Choć, oczywiście, drani nie brakuje na świecie.

Jakbym nie wiedziała.

- Wyraz na *m*.

Miara, miska, majonez, marność, mózg. Miłość. Nienawiść. Od miłości do nienawiści droga jest podobno bardzo krótka.

— Nienawiść nie jest na *m*, tylko na *n*. Rzeczywiście blisko. Wyraz na *o*.

Odwaga, oset, ocet, odważny, on. Odbyt. Opuścić, odejść, oszukać, okłamać, zdradzić.

— Zdradzić nie jest na *o* — znowu upomniała mnie matka. - Ale wiem, że zdrada boli.

No właśnie. Do żywego.

— Wyraz na *n*.

Nadzieja, nicość, nowość. Naiwność. Kobieta.

— Tak. Kobiety są naiwne. Rzeczywiście. Ale i szybko się uczą.

Zdrada, kłamstwo, oszustwo, poniżenie. Rozpacz, udręka, niedowierzanie, płacz. Wspomnienia. Słowa, które ranią. Nawet słowa do gry w scrabble.

— Jesteś rozkojarzona. Lepiej skończmy tę zabawę. Napijesz się herbaty?

Na stole stały jeszcze desery, ostatni etap uroczystej kolacji. Trzywarstwowy tort z wilgotnym makiem, w maku zgrabnie ukryte rodzynki i kawałki orzechów, pulchny sernik z bitą śmietaną, bezowe ciasteczka, galaretki z owocami, kompot z suszonych śliwek, gruszek, jabłek i moreli.

— Napiję się wina.

Wino było białe, różowe i czerwone. Każde starannie wybrane. W wysmukłych kieliszkach. W pękatych kieliszkach. Na zdrowie, na uśmierzenie bólu, na niepamięć. Do dna. Za życie, które miało trwać wiecznie. Razem, zawsze razem, uśmiechy, kolorowe migotanie, ciepełko i zgoda. A teraz co?! A teraz, kurwa, co?! Wszystko skończone?



I o czym jest ta opowieść? O snach? O marzeniach?  
O miłości i zdradzie?

— Temat stary jak świat. — Matka uniosła w wypielęgnowanej dłoni kruchą filiżankę z herbatą, paznokcie pomalowane różowym lakierem połyskiwały świątecznie. - Temat stary jak świat - powtórzyła. - Życzliwość, przyjaźń, zaufanie. Plany na przyszłość. A później wszystko się wali, zostają popiół i łzy. Słone i bolesne. Nie płacz.

— Przecież nie płaczę.

— Ale chcesz.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Przecież widzę.

Moje łzy były kryształowe. Mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Krople łez w kształcie łez. Metalicznie odbijały się od desek pustej podłogi. Może kryształowo powoływały się do śmierci?

— Kryształowe łzy. Moje łzy. Nie widziałaś moich łez.

— Zainicjowałaś niezwykle zjawisko krzepnięcia. - Matka wyjęła cienki papieros z posrebrzanej papierośnicy i przypaliła go starą zapalniczką. Jasny płomień oświetlił jej twarz. - Zainicjowałaś niezwykle zjawisko krzepnięcia - powtórzyła. - Czy to cię nie zastanawia?

Czy to mnie nie zastanawia? Czy coś, co nie jest bezpośrednio związane z obiektem pożądania, może zastanawiać? Za oknem puchaty śnieg układał się do snu. Szkoda, że śnieg topnieje tak łatwo, tworzy kałuże brudnej wody. Było, nie ma. Niebo pokrywa się sinymi chmurami, które nie wróżą niczego dobrego. Szkoda, że miłość tak łatwo zamienia się w niechęć. Ty bydlaku!

— W chwilach wielkich emocji okazuje się, jacy jesteśmy naprawdę i na co nas stać. Ty jesteś silna i masz przed sobą

nieograniczone możliwości. Prababka Augusta byłaby z ciebie dumna.

- Dlaczego?

- Ponieważ także była silna i zawsze osiągała to, czego chciała. Niektórzy mówili, że była czarownicą.

- Dominik odszedł, okłamał mnie, oszukał. Nigdy go już nie zobaczę. Okazał się wstrętny, zły. Tylko to mnie obchodzi. Prababki Augusty nawet nie znałam. Kto mówił, że była czarownicą?

- Wszyscy. Nie pamiętam. Była tak silna, że zawsze potrafiła wymóc na innych swoją wolę. A jeśli chodzi o Dominika, to lepiej, że odszedł, skoro był taki zły, prawda?

- Mamo, ja go kochałam.

- No cóż... Miło słyszeć, że używasz czasu przeszłego.

- Był dla mnie wszystkim.

- Wszystkim? Nie przesadzaj.

- Rozczarował mnie tak bardzo.

- Tak. Pod tym względem życie nas nie rozpieszcza.

- Gdybym miała moc go zatrzymać...

- To co? Użyłabyś jej?

Czy użyłabym magicznej mocy, żeby zatrzymać i porządkować sobie kochanka, który nie chciał być ze mną? Który wybrał inną? Nie wiem.

- A ta prababka Augusta... miała moc?

- Czy miała moc? Może. Niektórzy tak twierdzili.

- Dobrze ją znałaś?

- Nikt jej dobrze nie znał. Ciągle w rozjazdach, ciągle zajęta. Wyemigrowała, kiedy miałam piętnaście lat. Umarła, kiedy miałam dwadzieścia sześć. Nie do wiary, żeby ktoś, kto posiada tajemną wiedzę, mógł tak po prostu... niczym zwykły śmiertelnik...

- Nie wierzę. Nie ma czegoś takiego jak magia.
  - A jak powstały twoje łzy? W naturalny sposób? Nie ma w tym nic dziwnego, prawda?
  - Na pewno dałoby się to czymś wytłumaczyć. Wyjaśnianie zjawisk to tylko kwestia czasu. Była piękna?
  - Twoja prababka? Tak. Była piękna, silna i inteligentna. Jak ty. Ty też jesteś piękna, silna i inteligentna. Na pewno sobie poradzisz. Ze wszystkim. Uwierz w siebie.
  - Nie jestem ani silna, ani piękna. Ani zakochana.
  - Na szczęście. Jeśli okazał się być takim draniem, to lepiej, że odszedł.
  - Ale nie wiem, czy sobie z tym poradzę.
- Byłam zmęczona i śpiąca, czułam lekki zawrót głowy. W końcu kochanek nie odchodzi codziennie, listów pożegnalnych codziennie nie pisze, drzwi nie zamyka ukradkiem. A umiera się tylko raz. Czy tylko raz się umiera?

## Rozdział 4

Oczywiście, jestem atrakcyjna. Od najmłodszych lat zwracano uwagę na moją urodę, zgrabną sylwetkę, zwinność ruchów. Lekka, smukła, wysoka. *Jakaż ona ładna.* Mówili, patrzyli, cmokali, zachwyтом nie było końca.

Niektórzy sadzali na kolanach, *pokaż, pokaż*. Nie pokazywałam. Pachniałam ziołowym zapachem pól i nieuczesa-nych ogrodów, zapachem spacerów wśród wieczornych łąk w złotym ciepłe zachodu. Tak. Piękno jest niczym nie-oczekiwany haust świeżego powietrza. Nie wiadomo, czy westchnąć głęboko, czy starać się nie oddychać.

*Masz takie zmysłowe usta. Piękne oczy. Włosy. Najpiękniejsze. Najśodsze.* Mówił, zapewniał, dotykał. On. Odszedł. Jed-nak odszedł.

Kim był? I dlaczego?

Z dużego lustra w pokoju, który siostra przygotowała dla mnie na czas świąt Bożego Narodzenia, spoglądała zna-joma, a jednak obca postać. Rysy twarzy bardziej wyost-rzone, oczy błyszczące. Jak w gorączce. Rozpaczą i cier-pieniem. Duże, lśniące, o spojrzeniu nadchodzących wyob-rażeń i niespełnionych oczekiwań. Szmaragdowe. To ja. I potargane włosy koloru dojrzałych bakłażanów. Jednak ja? I pochylenie głowy...

Uroda, która nie należy do zwykłych kanonów pię-kności, pochodzi z dali lodowych przestrzeni, budzi respekt i zmusza do myślenia. Jest inna, wieczna i kategoryczna. I jak każde prawdziwe piękno stwarza raczej dystans, aniżeli przyciąga. Czy chcę być piękna? Piękno bez środków do życia jest jak nikomu niepotrzebna suknia balowa. Wisi w starej szafie, blaknie, szarzeje. Na zawsze. Dobrze jest być piękną dla kogoś kto zauważy, pomnoży jednostki urody przez jednostki uczucia, komu wynik mnożenia ułoży się w pogrubione *kocham*, każdą możliwą czcionką i z pod-kreśleniem. Dobrze jest... Czy dobrze jest? Powstałam z beznadziejnej miłości bez perspektywy miłosnych wy-znań. Z uczuciowego głodu, który nadał skórze szczególną

bladość, a oczom niepokojące lśnienie. Moje piękno jest dopełnieniem innego, bardziej złożonego zjawiska. Powstało z bólu i rozgoryczenia. Wtedy jeszcze nie umiałam go określić.

\*

A jednak nie wszyscy zdawali się zauważać ów dodatkowy blask czy tę ledwie wyczuwalną inność, może tak, a może nie, kto to wie, jak kto chce. Na mój widok sąsiadka z góry załamała ręce.

— Bój się pani Boga! Bój się Boga! Jakże pani wygląda! Sama skóra i kości, że aż skóra i kości. Nie odpoczęła pani? Nie odkarmili? Jakże to tak! Przecie u rodziny pani była. Chora pani jeszcze, czy co?

— To dla pani. — Wyciągnęłam ku niej bukiet białych, zimowych róż i pudełko czekoladek. Co jeszcze można podarować komuś, kto wskrzesił do życia, powołał do ponownego istnienia na przekór intencjom losu, na przekór wszelkim intencjom? Lekki zapach podziękowań wypełnił pokój.

— Ależ co pani, co pani! - protestowała sąsiadka, zabierając jednocześnie pudełko z czekoladkami i chowając je do przepastnego kredensu, który stał w rogu pokoju. - Szkoda pieniędzy, przecież z kwiatów żadnego pożytku nie ma. Lepiej wędlinę kupić albo jabłka, albo co... A czekoladki z likworem? Och, z likworem. I po co to wszystko? Pani!

Usiadłam przy okrągłym stole, *proszę, proszę, herbatki albo kawki, co tam sąsiadka sobie życzy*, przede mną zjawiła się szklanka z herbatą. Słodki ulepek różowego koloru, z łyżeczką w środku.

- Proszę się częstować, proszę się częstować, herbatka malinowa i szarlotka domowej roboty. Trzeba jeść, kobieta nie może być taka chuda. Trzeba się zaokrąglić, pani. A dziękować nie ma potrzeby, każdy jeden by tak zrobił, szczęście, że drzwi były otwarte. Za dużo pani pracuje, nie odżywia się pani jak potrzeba, ot co! Na spacerzy pani nie chodzi. A na zmęczenie najlepszy jest rumiankowy napar, sok z aronii, bo ma dużo witamin, że aż dużo. Trzeba pić co dzień, z rana i na wieczór. Od razu się pani lepiej poczuje. Naleweczki?

Sąsiadka wyjęła z szafki pod oknem okazałych rozmiarów butelkę z napojem koloru głębokiej czerwieni. Napełniła dwa małe kieliszki. Zrobiło się słodko, mocno, wiśniowo. Przytulnie i do pouczeń tylko jeden krok.

- A chłopami lepiej się nie przejmować - zniżyła głos do szeptu, jakby w obawie, że ktoś może usłyszeć, podśuchać, cicho, cicho, same sekrety, choć w pobliżu nie było nikogo.

- Hm?

- Nie przejmować się chłopami. Tak. Ten pani narzeczony czy kto tam po prawdzie wcale mi się nie podobał.

- Hm...

- Pani! Zupełnie się nie podobał! — Sąsiadka powtarza, podkreśla, pogrubia, bo jakże to! Dorosły mężczyzna stateczny powinien być, życie powinien mieć ustabilizowane. Wiadomo, żona, dzieci, przyzwoita praca.

- Przecież pracuje. Jest dziennikarzem w gazecie.

- Ech, pani! A co to za robota? Jakiś tam dziennikarz czy co, te wszystkie redaktory, profesory, aktorzy. Już ja swoje wiem. Już ja swoje widziałam. Mężczyzna powinien rękami pracować. Ręce powinien mieć czarne od

roboty. Spracowane. Brudu pod paznokciami nie powinien się wstydzić. Inaczej nie wie, co to życie. I kobity nie ceni.

- Skąd pani wie?

- A toć, kochaneczko, obserwowało się to i owo. To i owo się obserwowało. I swoje lata się przeżyło, że przeżyło. Może ja i niewykształcona sprzątaczką jestem, ale swoje wiem, myśleć potrafię. A mądrości życiowej z książek i tak się nie nauczysz. Oj, nie nauczysz. No i żeby dorosły mężczyzna ubierał się jak cudak!

- Oryginał.

- Cudak, że aż cudak. Do czego to podobne, pani? Czarne spodnie, czarna koszula i długi, czerwony płaszcz, a buty chyba ze srebrnymi sprzączkami. Widziała pani coś podobnego? Widziała to pani!? I do tego kolczyk w uchu mu dyndał. Dyndał! Taki mężczyzna, że niby mężczyzna i kolczyk, że aż kolczyk. Odmieniec. Z odmieńcem lepiej się nie wiązać, ja to pani mówię.

- Złote sprzączki.

- Aha. To jeszcze lepiej. Złote sprzączki, zielony pasek, buty na obcasie.

- Butów na obcasie nigdy nie nosił.

- Może i nie nosił. Ale kozaki z frędzlami to i owszem. Sama widziałam. Aż się zatrzymałam na ulicy, żeby popatrzeć. Mój Boże, pomyślałam sobie, patrzajcie ludzie, żeby na takiego pajaca moja kochana sąsiadka musiała trafić. Tak pomyślałam.

- Ekscentryk.

- Ja tam się nie znam. Ale do tego bałaganiarz był, że bałaganiarz.

- Bałaganiarz?

- No pewnie. Karteluszków porozrzucił, nie posprzątał, poszedł. Wszystko na wierzchu zostawił. No i dobrze. Zawsze to kłopot z głowy.

Czytała? Czytała próbki pożegnalnych listów? Rozrzucone po pokoju kartki z zabójczymi słowami. Tak. Na pewno czytała. Tylko stuprocentowa świadomość cudzego nieszczęścia daje pozór prawa do interwencji i prawienia kazań. W najlepszej wierze, przy dobrych chęciach, którymi, jak wiadomo, drogę do piekła wybrukowano. Śliską i niebezpieczną. Srebrne sprzączki przy butach, czerwony płaszcz, czarny sweter, granatowe dżinsy. A pod spodem cytrynowe bokserki z ordynarnym napisem *Love me* albo *Touch me*, jedno lepsze od drugiego, pstrokaty podkoszulek i skarpetki z wyszywaną syrenką. A może amorkiem? Albo stokrotką? Nie pamiętam. Już nie pamiętam. Kochanek. Mój kochanek. Sen i marzenie. Dziwadło.

- Zapomnieć, pani. Trzeba go zapomnieć. Tyle innego chłopca chodzi po mieście. Przystojne chłopcy, z mięśniami, pracowite, zarobić potrafią. Ktoś się w końcu znajdzie. Ktoś się znajdzie. Pewnikiem.

Zapomnieć. Wymieść. Z myśli, z szafy, z łazienki, z biurka. Precz! Do wiadra, na śmietnik, do niszczarki, na szmaty. Starą pidżamę pociąć, szczoteczkę do zębów wyrzucić. Przepocony T-shirt podrzeć na drobne, notatki spalić. Spieprzaj, wynocha i nie pokazuj się więcej! Ponad milion dwieście tysięcy minut bycia razem wykreślić, wieko zamknąć i odejść. Ponad dwadzieścia tysięcy godzin wykasować. Ponad osiemset czterdzieści dni wymazać. Ponad sto dwadzieścia tygodni...

Byliśmy razem przez ponad sto dwadzieścia tygodni. Czy można zapomnieć sto dwadzieścia tygodni nowo



odkrytych barw, nadziei na zaangażowanie trwalsze niż jednorazowy siew? Zaciek na ścianie, plama na podłodze, zapachy. Zapach kurzu, który zbierał się w tapicerce wyściełanych mebli. Zapach porannej miłości. Porywczej i pospiesznej. Myśli i zjawy. I motyle, które czasem przefruwały nad naszymi głowami. Zielone jabłka i różowe pomarańcze. Aromatyczna kawa z dodatkiem orzeźwiającej mięty. Gorzka. Kwaśna. Cierpkie poranki i słodkie wieczory. Miłość, która zawsze budzi niepokój i strach przed utratą. Całkiem słuszny, jak się okazuje. *Co robisz? Myślę. O czym? O tobie. I o czym jeszcze? I jeszcze o tobie. O mnie? Tylko o tobie. O tobie.*

Banały. Dominik, który palcem obrysowywał moje wargi, policzki, nos, czoło. Moje wszystko. Całował. Szczelne pocałunki. Obejmował silnymi ramionami, pieścił. Na skórze czułam lekki dotyk palców, muśnięcia warg, szept niczym podmuch wiatru, kocham, kocham. Jeszcze, jeszcze. Mocniej, mocniej. Potrzeba miłości jedynej i niepowtarzalnej. Erotycznej, duchowej, mieszanej. Tej. Tylko tej. Kwitnącej. Chciałam przecież kwitnąć. O każdej porze dnia i nocy. Jak zakochana wariatka tkałam fantazyjną przyszłość bez zahamowań. Pianissimo w barwie bladego różu, który nie został jeszcze przeniesiony z palety na blejtram.

- Należę tylko do ciebie — mówił zgodnie z oczekiwaniami. Przynależność, posiadanie, świat budził się do życia. Ramiona przepastne niczym podniebny cyrkiel. Od horyzontu po horyzont. Dominiku!

- Jesteś tylko ty. Nikt inny nie istnieje.

Słowa, słowa, słowa. Potrzeba słów. Bez słów nie byłoby idei, bez zapewnień nie byłoby pojęcia wierności. Bez

pojęcia wierności nie byłoby kłamstwa. I zdrady. *Jesteś mój. Czy jesteś mój? Teraz i zawsze? I na wieki wieków?* Dominik. Przyspieszone bicie serca, dwóch serc, niecierpliwe pocałunki, krótkie oddechy. Zachłannie chłonełam każdy centymetr jego wielkości. Ciało spocone w pracowitym akcie erotycznego zbliżenia. Ziemia, która znowu zakręciła się wkoło, zawroty głowy, odejścia i powroty. Deja vu.

Czasami w naszym wspólnym trwaniu pojawiały się rysy. Jedna rysa, druga, trzecia, dziesiąta. *To nie tak! A jak? Nic nie rozumiesz! To ty nic nie rozumiesz! Przestań! Nie przestanę! Zamilcz! Nie zamilknę!* Z wykrzyknikiem, z krzykiem, za dużo basów, dętych blaszanych, huk, stuk i słońce, które zniknęło nagle schowane za ciężkimi chmurami. Jednostki szczęścia umykały przez nieszczelne uczucia. Racje, odmierzane słowami pozbawionymi melodii, padały z pustym odgłosem na dno blaszanego kubka. Niczym ziarnka suszonego grochu. Zdaniem oznajmującym. Pyk, pyk, pyk. Pytającym. Pyk, pyk, pyk? Kategorycznym. Pyk, pyk, pyk! Kubek postawiony na swoim. Ach! Obok pierwszego wkrótce pojawiał się drugi, trzeci i jeszcze następny. Wszystkie wypełnione po brzegi. Kubki pełne grochu. Dominik nie uрониł ani ziarnka.

Później przepraszał. Kwiaty, wino, słodycze. Za nas, na szczęście, na zawsze, na dobry czas. Zapach włosów, smak ust. *Cóż to? Nagietki, aksamitki, konwalie. Jesteś taka śliczna, taka śliczna. Co taka śliczna dziewczyna widzi w takim brzydalaku jak ja? Och, Dominiku!* Gdzieś rozbrzmiewały cygańskie pieśni, rytmiczne, erotyczne. W nas? Obok nas? Na pewno.

## Rozdział 5

- Widziałam tego twojego palanta. Jak mu tam...

- Słucham?

- Widziałam tego palanta. Dominika. Widziałam Dominika. Myślałam, że stać cię na coś więcej, siostrzo. Pasakudny, niechlujny chłop. I tyle.

Iwona usiadła przy moim biurku, wypielegnowane dłonie położyła na blacie, fiołkowy lakier do paznokci żywo kontrastuje z sosnowym drewnem. Nasza matka, która także postanowiła złożyć mi niezapowiedzianą wizytę, siedzi na kanapie i popatruje wokół, jakby czegoś szukała. Mój palant! Dobre sobie!

- Dominik nie jest już moim palantem. A jeśli chodzi o resztę, to chyba przesadzasz.

- Całe szczęście, że sobie poszedł.

- Dziękuję. Miła jesteś.

- Daj spokój! Nieogolony, tłusty i siorbie.

- Nieogolony i tłusty? Zuza, gdzie ty miałaś oczy!

- Siorbie?

- Siorbie. Pił wodę. Słyszałam, jak siorbał.

- Nie zniosłabym, gdyby ktoś siorbał w mojej obecności  
- zauważa matka, przyglądając się fotografiom z ubiegłorocznych wakacji, których nie zdążyłam wyrzucić.

Turkusowe morze, zielonkawe niebo, żółty piasek i dwoje szczęśliwców, objętych, uśmiechniętych, on i ja, ja i on. Wszystko wspólne. Memorabilia. Wszędzie, wszędzie. Jak zwykle za dużo.

- Nie pamiętam, żeby siorbał.

- Pewnie nie pamiętasz wielu rzeczy. A pamiętasz, jak się poci?

Zawodna pamięć. Postrzępiona niby rybacka sieć. Czy Dominik się pocił? Zapach jedyny w swoim rodzaju, cierpki i ostry. A jeśli się pocił, to co? Nie potrafimy być obiektywni w stosunku do tych, którzy naprawdę nas obchodzą, a ich przywar i wad szukamy niczym rodzynek w cieście.

- To musi być jakiś koszmarny facet. Dobrze, że nic z tego nie wyszło. Skąd wiesz, że to był on? - pyta matka, która cały czas rozgląda się po pomieszczeniu, szukając... czego właściwie?

- Nietrudno się było domyślić. Pan Dominik, dziennikarz działu miejskiego w *Gazecie Popołudniowej*, przyszły ojciec, mąż. To wszystko zostało powiedziane, ogłoszone wszem i wobec i wcale nie szeptem — siostra relacjonuje z satysfakcją. Mruży zielonkawe oczy, zaciska wąskie wargi. Jest atrakcyjną ciemną blondynką o śnieżnej cerze, ciemnych brwiach i koralowych ustach. Wygląda na bardzo smaczną, ma się ochotę ją schrupać na pierwszy, drugi, trzeci posiłek. Nie jesteśmy do siebie podobne.

- Mąż? Już jest mężem? Przecież dopiero co się rozstaaliśmy!

- No widzisz. Szybki gość. Nie traci czasu. Zresztą, ile to trzeba, żeby pójść, zarejestrować się, opłacić. I już.

Klamka zapadła. Na wieki wieków. Albo przynajmniej do rozwodu.

- No tak. Najwidoczniej.

Najwidoczniej? Ale przecież! O Boże! Związek, który miał być moim związkiem. I że cię nie opuszczę. I tak mi dopomóż. I prowadź nas na pokuszenie. Przez choróbska, nadkwasotę, grypy, anginy, zawały. Przez milczenie, gadulstwo, głupotę, głuchotę. Przez nowe zmarszczki, nowe grymasy, nie ma rady na upływ czasu, przez wadliwą gospodarkę hormonalną, przez depresję, nowotwory, obżarstwo, zgagę. Przez co jeszcze miałam cię prowadzić, przez co ty miałeś prowadzić mnie? W małżeńskim kołowym. Do końca. Do jakiego końca? Na wieczne pokuszenie.

- Jest dziennikarzem? Dobrym? - pyta matka, oglądając kolejne zdjęcia. Góry, jeziora, las, wiejska ścieżka, chata, w której kochaliśmy się prawie bez wytchnienia. Jeszcze i jeszcze. W łóżku, na podłodze, na stole, w fotelach. Dzień, dwa? Zachody i wschody słońca. Och, Dominiku!

- Przeciętym.

Przeciętny dziennikarz zatrudniony w dziale miejskim. Pensja niewiele powyżej średniej krajowej, diety wyjazdowe, zwrot kosztów podróży. Bilety do rozliczenia delegacji lub ryczałt za benzynę. Co kto woli. Redakcyjna kafejka czynna od dziesiątej do szóstej po południu. *Świeże te pączki, pani Józiu, Krysiu, Aniu? Świeżuteńkie, panie redaktorze. Proszę spróbować. A te z owocami świeże? A jakże, panie redaktorze, a jakże. U nas wszystko świeże, smaczne, same delikatesy. Kremówki, bajaderki, bezy. Kawa ze śmietanką. Espresso. I zaangażowanie zawodowe na miarę czasu i przestrzeni. Sprawozdanie z rajdu rowerzystów, darmowe wypieki na mecie, relacja*

z corocznego spotkania harleyowców, jarmark piwny i piwo za darmo, festyn z okazji otwarcia nowego mostu i darmowe kiełbaski z różną, targi produktów rolnych i mnóstwo degustacji. Marynaty, wyroby garmażeryjne, swojskie szynki, balerony, sery. No to siup! Jest pod co pić, pod co pić jest, własna, własna, prościutko spod lady. Dominik jest zapracowany, niezastąpiony, treściwy. *Nikt nie napisze tego lepiej ode mnie.* Znormalizowane A4, dwa i pół centymetra marginesu, czcionka Times New Roman, maczek znaków, prędko, prędko, zawsze na wczoraj. *Nikt tak wnikliwie nie analizuje problemów. Nie ma małych dziennikarzy, są tylko małe tematy. Prawda?*

- A że łysieje, wiesz? - Siostra nie daje za wygraną, wylicza niedoskonałości mojego byłego z mściwym zadowoleniem. Raz, dwa, trzy, pamiętasz?

- Nie łysieje - oponuję. Pamiętam gęste włosy, czasem krótkie, czasem długie do ramion, srebrzyste, migotliwe, nieuczesane. Mokre, suche. Lekko kręcone. *Uczesz się, Dominiku.* Dominik odgarniał je niecierpliwie, patrzył w przyszłość, w naszą przyszłość, uśmiechał się. Kłamał?

- Oczywiście, że łysieje. Poci się i łysieje.

- I siorbie - dodaje matka, która teraz przegląda półki z książkami. Norwid, Słowacki, Tokarczuk, Pinter, Christi. Gałczyński, Masłowska, Herbert, Huxley, King.

- Szukasz czegoś, mamó?

- Przyniosłam ci zdjęcie prababki. Zobacz, jaka jesteś do niej podobna. - Matka kładzie na stole starą fotografię z podobizną kobiety, która z powagą patrzy w oko obiektywu, lekko zaciska pełne zmysłowe usta, iloraz urody znacznie wyższy od przeciętnego. Piękna, znajoma twarz.

- Piękna, prawda?  
- Rzeczywiście. Bardzo piękna. Nigdy nie widziałam tego zdjęcia.

- Macie takie same oczy, linię brwi, wystające kości policzkowe.

- I siorbie - dodaje siostra. - Poci się, łysieje i siorbie. Byle jaki palant, nic nadzwyczajnego. Miał poplamione, workowate spodnie, brud za paznokciami i kolczyk w uchu.

- Brrr! - wzdryga się matka.

Matki zazwyczaj okazują niezadowolenie na wiadomość o kandydacie na zięcia, który jest tłusty, niechlujny i takie byle co. *On nie jest ciebie wart. Spotkasz kogoś innego. Daj sobie z nim spokój.* Moja matka nie jest wyjątkiem. Ale nie wie, że kolczyk w uchu był prezentem ode mnie. W rocznicę poznania. Brrr!

- Taki sam kolor włosów, choć na tym zdjęciu oczywiście tego nie widać. Jest czarno-białe.

Oczywiście. Bystre spojrzenie szmaragdowych oczu, choć koloru oczu także nie widać. Zdjęcie jest czarno-białe. Tak.

- Wstydziłabym się wyjść w takich spodniach na ulicę - mówi siostra.

- A skąd ty to wszystko wiesz? Kiedy go poznałaś?

- Nie poznałam go. Widziałam u fryzjera. Świat jest mały.

Świat jest mały, a moja siostra bystra i spostrzegawcza. U fryzjera, do którego chodzi regularnie, spotkała kobietę i mężczyznę. Kobieta poddawała się zabiegom, których celem była poprawa urody, pasemka, regulacja brwi, maniur. Poniedziałek od dziesiątej do dziewiętnastej. Pozostałe dni tygodnia od dziewiątej do osiemnastej. Mężczyzna

czekał na kobietę, słuchał, popijał wodę, udawał, że czyta magazyn dla pań. Styl, Obcasy, Niecodzienne fryzury. Nie wydawał się być szczęśliwy, zwłaszcza że to on był tematem opowieści żony.

- Nie chcesz wiedzieć, o czym mówiła?

- A kogo to interesuje? - pyta matka. Właśnie znalazła szklany wazon wypełniony błyszczącymi kryształkami. Ach tak, łyzy. Łzy w kształcie łez, które sąsiadka z góry skrupulatnie zebrała w trakcie mojej śmiertelnej niedyspozycji. Łzy jaśnieją, chrzęszczą ze smakiem, lubię zanurzać w nie dłonie, czuję ciepło, które przenika głęboko pod skórę. Jakie to proste. Moje łyzy, zadomowione, udomowione. Matka wkłada w nie swoje ręce. Przesypuje kryształowe kuleczki jak groch, ich blask przesiewa przez palce. Kryształki chroboczą uprzejmie, tak, tak, tak, co, co, co, lekki szmer, ciche westchnienie. Tego szukała? *Jakie piękne*, szepcze, bo przecież moje skryształizowane łyzy są piękne i nie z tej rzeczywistości.

- Tego szukałam - szepcze matka. Wyjmuje jeden z kryształków, ogląda go pod światło. - Są idealne. Idealnie jednakowe. Niezwykłe. Minerały?

Minerały są najmniejszą jednostką strukturalną o uporządkowanej budowie. Mają wysoki współczynnik załamania światła. Wchodzą w skład skorupy ziemskiej. Wszystkie? Moje łyzy zbudowane są bez zarzutu, lśnią na potęgę. Nie ma wątpliwości. Nie ma żadnych wątpliwości, że nie wchodzą jednak w skład skorupy ziemskiej. Są innego pochodzenia. Zrodziła je rozpacz. Silna. Czarna. Ogromna jak dziura w sercu. Czy w drodze wyjątku skondensowany żal można zaliczyć do kategorii minerałów?



- Opowiadała, jaki jest niezręczny, niezorganizowany, jak nie dotrzymuje słowa, terminów, niczego. Ma słomiany zapał, tłusty tyłek, jest kłótlivy i zrzędlivy — kontynuuje siostra. Nie interesują jej dziwne kryształki ani ich źródło, nie interesuje jej fotografia babki Augusty. Moja siostra stąpa po ziemi twardo, bezpiecznie, w świetle jasnego dnia, teraz, teraz, tutaj, tutaj.

- Mówiła to przy nim?

- Cały czas.

- A on?

- Nie powiedział ani słowa.

- Mało interesujący temat - podsumowuje matka. Dotyka językiem jednego z kryształków. Tak. Kryształek jest słony. Łzy są słone. A minerały nie. Łzy nie są minerałami.

- Chciała zrobić mu na złość? A może chciała zrobić mu przykrość?

- Chciała pokazać, że ona tu rządzi. I gdzie jest jego miejsce. Po prostu jest taka. Prostaczka.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Tu nie ma nic do wyobrażania. Ten twój palant to po prostu spolegliwy dupek. I ma duszę niewolnika.

- To nie jest mój palant.

- Poza tym miała na sobie same markowe ciuchy, krzyżące buty, drogą biżuterię w dużej ilości, a na zewnątrz stała niezła bryka.

- Buty mogą krzyżeć?

- Mogą. Te buty krzyżały.

- I co z tego?

- To, że ten gościu po prostu się sprzedał. Jak tania dziwka. Poci się, łysieje, jest tłusty i sprzedajny. Taki jest!

- I siorbie - dodaje matka, nie odwracając wzroku od blasku moich kryształów-łez.

- I siorbie — zgadza się siostra. Postukuje paznokciami o blat biurka, widzisz, widzisz, samo gówno, gówno samo, wdepnęłaś, wpadłaś, ślepa, ciemna, nierozgarnięta. Ale śmierdzi! I tyle!

- Dominik nic już dla mnie nie znaczy - stwierdzam, oddycham głęboko. Wdech, długi wydech, prawda, fałsz, nie wiem. Dominik nic już dla mnie nie znaczy. Nie znaczy już nic. Śmieć, oszust, fagas. Facet bez jaj. Bez jaj facet. Gruba dupa. Zawsze miał skłonności do tycia. Wal się, szmondaku, niech to szlag!

- Dziecko urodzi się w czerwcu. Pod koniec. - Siostra dodaje ostatnią łyżkę dziegciu.

Liczę szybko w pamięci, czerwiec odjąć dziewięć równa się październik. Niemożliwe! Październik? Szczęśliwy październik? Trzydzieści jeden dni, pięć niedziel, dwadzieścia sześć dni roboczych, kilka dni w delegacji. Nie, nie kilka. Kilkanaście. Kilkanaście dni w dziwnej delegacji! Jakby nigdy nic. Jakby uśpiona czujność. I szelest opadłych liści, który nie wróży niczego dobrego. Zapewnienia o miłości i przywiązaniu. W październiku. W listopadzie. O Boże! Oczekiwanie pełne gotowości. Wilgotne i rozmarzone. Niecierpliwe. W czarnych szpilkach i czarnym biustonoszu. Czarne majtki, których nie miał kto ze mnie zdjąć.

- A z tych łzawych kryształów zrób sobie naszyjnik. Będzie wspaniały. I weź się w garść. — Matka przytula mnie mocno do siebie, pachnie macierzanką, jak noc, jak zmierzch, jak świt. Tajemnica.

- Wezmę się w garść - obiecuję, mrugam szybko powiekami, coś najwidoczniej wpadło mi do oka. Podążam

w stronę, z której nie ma odwrotu. Mroczny labirynt losu. Żal, który ściska żołądek. Niestrawność. I strach przed przyszłością. Co teraz będzie?

- Zostawił cię dla jakiejś brzydkiej pokraki. Ze skrzeczącym głosem, z ptasimi oczami, z wielkim cycem. I z krótkimi nogami. Może lubił takie piersiaste dojne krowy? Lubił, co? Lubił?

- Daj spokój! Daj spokój! Myślisz, że jestem głupia?

Myślisz, że jestem głupia? Jestem nieszczęśliwa. Tylko nieszczęśliwa. I zrezygnowana. Prawda jest bolesna jak wrzód na tyłku. Wygląd kobiety zależy od liczby jednostek szczęścia, które dzieli z mężczyzną. Przedemną gromadzą się lata brzydoty i pospolitości. Obrzmiała skóra, podpuchnięte powieki, ciężki chód. Syndrom niekochania.

\*

Na fotografii, która leży na stole, prababka Augusta prezentuje wyprostowaną sylwetkę, wciętą talię, dumną postawę, piękną twarz. Długa szyja objęta jest sztywną, koronkową stójką. W prawej ręce prababka trzyma czarną rękawiczkę. W ciemnych włosach domyślnie przewijają się rdzawe pasma, których oczywiście nie widać. Zdjęcie jest czarno-białe. Szczegóły zanikają wraz z niedostatkiem kolorów i brakiem możliwości techniki cyfrowej. Oczy prababki są duże i błyszczące. Odzwierciedlają przeszłość. Patrzą w przyszłość. Widzą teraźniejszość. Czasami przeszłość splata się z teraźniejszością w ciasne warkocze. Niczym ich nie rozpłaczesz. Niczego nie rozsypasz. Poprzez nieznaną, ledwo wyczuwalną, co to jest, co to jest? Nic nie rozumiesz. Na twarzy babki jaśnieje szeroki, zwycięski

uśmiech. Przecież nie uśmiechała się wcześniej? Nie uśmiechała. Patrzy prosto na mnie, zmysłowe wargi są rozchylone, widzę rząd białych, równych zębów. Prababka Augusta? Takie rzeczy się nie zdarzają. Na pewno. Nie ma powodu. Nie ma żadnego powodu, aby ten nieoczekiwany uśmiech wywołał dreszcz niepewności. A jednak... Czuję chłód. Żołądek kurczy się do rozmiaru ziarnka grochu. Jednak... To nic, że postaci na fotografiach są statyczne. Nie zmieniają wyrazu twarzy. Nie poruszają powiekami. Nic to. Widocznie są jednak wyjątki. Gdybym wiedziała...

Co zrobiłabym, gdybym wiedziała? I czy zawsze trzeba zapłacić rachunek za miłość? Stuk, puk, pieczęcią ostemplowano, podpis nieczytelny, data rozmyta. Ale przecież w naturze nic nie ginie. Nic nie ginie. Krąży w naczyniach połączonych. I do przodu.

## Rozdział 6

Pora płacenia rachunków za miłość nadeszła dwudziestego ósmego października ubiegłego roku. Do dwudziestego ósmego października byliśmy szczęśliwi, głodni i nie nasyceń. Razem według niepisanego Kodeksu Kochanków. Zawsze razem. Unisono. Tak się przynajmniej wydawało.

On i ja. Ja i on. Splątani w jedność. Wspólne ciała, wspólne włosy, wspólne pragnienia.

Dwudziestego ósmego października ubiegłego roku Dominik zakomunikował, że wyjeżdża służbowo. Sprawa niecierpiąca zwłoki. Należało przygotować reportaż o zamrzniętych łabędziach w skutych lodem wodach jakiegoś jeziora. Lód w październiku! Czego to ludzie nie wymyślą!

- Naprawdę musisz jechać? - byłam rozczarowana.

Dominik pakował rzeczy do podróznego neseseru, ja mu najwyraźniej przeszkadzałam. W samym środku przejścia, między tym i tamtym. Niepokój przed rozstaniem, strach przed samotnością. Zakochana, już prawie samotna, już tęskniąca, przerażona.

- Naprawdę — odpowiedział.

Czerwony sweter położył na niebieskim, w boczną kieszeń wepchnął kilka par skarpetek. Chyba pięć.

- I nie będzie cię całą wieczność? — Tak głupie pytanie może zadać tylko nieopierzona nastolatka. *Nie jedź, nie zostawiaj, zostań, pocałuj.*

- Nie będzie mnie trzy, może cztery dni.

Racjonalnie myślący Dominik wyjął skarpetki z bocznej kieszeni, przełożył je na dno neseseru. Do bocznej kieszeni włożył kilka opakowań aspiryny, pastylki przeciw grypie, pastylki od bólu gardła i opakowanie witaminy C. A także listek tabletek calcium i coś na kaca. Na kaca? Dominiku?

- Szybko zleci - dodał.

Wyjął czerwony sweter, na jego miejsce położył szarą, wełnianą bluzę z kapturem. Zdenerwowany? Wieczność, która upływa. Szybko i bezboleśnie. Niemożliwe.

- Mnie szybko nie zleci - powiedziałam.

Dominik zastanowił się chwilę, a następnie zamienił leki i skarpetki miejscami. Skarpetki znowu znalazły się w bocznej kieszeni, a leki powędrowały na dno torby. Na wierzchu położył srebrzyste spodnie, *nigdy nic nie wiadomo*, i kamizelkę w barwne kwiaty. Lila ze złotym.

- Przecież będziemy w kontakcie - odpowiedział.

Znów pochylił się nad neseserem. Wełnianą bluzę położył pod niebieskim swetrem. *Będziemy w kontakcie* zabrzmiało jak komunikat, którym potencjalny pracodawca zbywa kandydata na pracownika. Osiemdziesiąt siedem procent przypadków w procesie starania się o pracę.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że będę dzwonił albo wyślę esemesy. Okej?

Co to znaczy okej? Nie! Nie okej! A gdzie zapewnienia o miłości? Uroczne aksamitne szepty? Gdzie zapach fiołków pod poduszką? Głębokie, znaczące spojrzenia? Kocie przytulenia? Dominiku...

- Okej. Ale nie wytrzymam bez ciebie tak długo.

- Daj spokój. Gdzie jest mój szlafrok?

Szlafrok, pidżama, bokserki w lawendowe szlaczki. Plastikowe klapki. Kąpielowe spodniki.

- Będzie tam basen?

- Może.

Może. Może będzie basen. Może będą interesujący ludzie, z którymi warto będzie się spotkać. *Panie redaktorze, panie redaktorze, kiedy ukaże się materiał, kiedy będzie publikacja? Da się pan zaprosić? Wpadnie pan? Będą fajne dziewczyny.* Woda po goleniu, woda toaletowa, dezodorant, szampon. Lakier do włosów. Lakier do włosów? Grzebień, szczotka, podróżne lustro. Próżność stuprocentowego mężczyzny nie zna granic. Trzy szaliki, w tym jeden jedwabny, i dwie

apaszki do włożenia pod koszulę. Czarne buty z cholewką, wiśniowe lakierki, adidasy. Dominiku? Neseser spuchł, zamknął się ze zgrzytem. Dominik wyjechał w pośpiechu, ledwie zdążył na pociąg. *No to pa! Trzymaj się, mała! I nie płacz!* A kto by tam płakał! Tak to było.

Od dwudziestego ósmego października nic już nie było takie samo. Życie od wiadomości do wiadomości, *wszystko w porządku, niedługo wracam, mam mnóstwo pracy, chyba zostanie jeszcze dzień lub dwa*. Słowa pozbawione romantyzmu i tęsknoty. Szare, bure, byle jakie, znormalizowana czcionka i styl. Po prostu. Postanowiłam nie odpisywać na tak zdawkowe informacje. I nie wódź mnie na pokuszenie. Czwartego listopada przysłał kolejną wiadomość, tym razem napisał, że zamierza odwiedzić matkę staruszkę, *tylko dwaście kilometrów stąd, grzechem by było nie pojechać*. No pewnie. Po co grzeszyć. Czcij matkę swoją i ojca swego. Ojciec, zdaje się, nie żył już od kilkunastu lat. Siódmego listopada zadzwonił do mnie redaktor naczelny gazety z zapytaniem, co też Dominik, taki owaki, pracownik działu miejskiego, niech go kule świsną, sobie myśli, że jest niezastąpiony jakiś i czy chce być wyrzucony z roboty. Cholera jasna! Odpowiedziałam, że Dominik, taki owaki, nie opowiada mi się ze swoich poczynań, więc proszę dać mi święty spokój i proszę święty spokój mi dać, i głupich pytań nie zadawać. I w ogóle. Ósmego listopada Dominik zadzwonił osobiście, wyrzeźbił, że jest bardzo chory, dogląda go matka staruszka, gorączka prawie czterdzieści stopni, dreszcze, kaszel, katar, antybiotyk przepisany przez miejscowego lekarza, ale wszystko ma się już ku lepszemu. *Nie martw się*. Niby jak

mam się nie martwić? *Niedługo wrócę*. Nie powiedział, co to znaczy „niedługo”. *A redaktor?*, zapytałam, ale redaktorem chory Dominik kazał się nie przejmować, bo będzie dobrze albo może nawet i lepiej, najlepiej, cokolwiek to miało znaczyć. Tak.

Czekałam więc cierpliwie, wypatrywałam, wiązałam nadzieje, liczyłam do dziesięciu, do dwudziestu, do stu, czasami do tysiąca, oczywiście, wszystko to bardzo bolało. Och, jak bolało! Bolało! Oto jest odwieczne przeciwstawienie płci. Sceny, w których zły reżyser obsadził mnie w roli z góry skazanej na niepowodzenie. Od czasu do czasu ogarniały mnie wątpliwości, trudno było je sprecyzować, może to po prostu fizjologia, która zagłusza, narzuca, wpływa i czego to jeszcze nie robi, żeby zewnętrzny świat wypaczyć. Przyczernić. O przyspieszone bicie mięśnia sercowego, o jęki menstruacyjne, o zgagę i o zaparcia. Przecież bałam się okropnie. Pokora, z jaką kobieta przyjmuje rolę, choć natura genetycznie wyposażyła ją w siłę większą niż tę daną mężczyźnie. Odporna struktura psychiczna. Czy byłam odporna na niepokój, na przecucie cierpienia i zła? Starałam się znaleźć sobie zajęcia, które wypełniłyby czas i umysł. Kupowanie, gotowanie, sprzątanie. Warzywa na parze, duszone, z pikantnymi przyprawami, z zawiesistymi sosami, w marynacie, w majonezie, różne, różne. Samotne. Zawsze samotne. *Przyjechać do ciebie? Albo ty przyjedź do mnie. Dzieciaki się stęskniły. Co się stało? Nie chcesz? Nie, nie chcę. Nie chcę spotykać się ani z siostrą, ani z Claudem, ani z siostrzeńcami. Mogę cię odwiedzić? Nie, mamo. Nie tym razem. Później. Kiedy świat wróci do normy. Kiedy białe będzie białym. Kiedy on wróci.*



Picie. Kieliszek wina na dobranoc, kieliszek wina na dzień dobry, dziewiątego listopada była już cała butelka wina na dobranoc, dwa kieliszki wina na dzień dobry. *Wstąpimy do baru na coś mocniejszego*, mówiła moja przyjaciółka Benny. Pewnie, pewnie, wstępowałyśmy, zamawiałyśmy jedną, dwie brandy. Dziesiątego listopada wypijałam już trzy brandy i jedno piwo.

— No coś ty, Zuza, wystarczy, upijesz się! Przecież ten pajac kiedyś wróci.

Pajac? Jaki pajac?

— Co ty sobie, Benny, wyobrażasz!

W pracy pilnie katalogowałam i opisywałam kopie płócien należących do kategorii zwanej romantyczny pejzaż francuski, dziewiętnasty wiek. Theodor Rousseau, *Krajobraz z dziewczynką*, Jean Millet, *Wypoczywający w winnicy*, Camille Corot, *Wiatr*. Prawdziwy wiatr. Pochylone gałęzie i drzewa na ostatnich nogach. Rozkwit malarstwa krajobrazowego, natura wreszcie upomniała się o swoje prawa, świeża, bezpośrednia, wnikliwa. Tak jakby cokolwiek mogło mnie to obchodzić! Nie mnie! Na pewno nie mnie!

*Wędruję do Ciebie, jestem coraz bliżej*, napisał do mnie Dominik jedenastego listopada. Nie odpisałam. Niech sobie wędruje, jakoś wolno mu to idzie. Pieszko pewnie i z dużym bagażem. *Jeszcze tylko kilka zachodów słońca*. *Cierpliwości*, napisał dwunastego listopada wieczorem. *Cierpliwość wyprzedana*. Nie wiadomo, kiedy będzie następna dostawa, odpisałam. I rozpłakałam się. Bardzo. Nieszczęśliwa w brudnych smugach cierpienia. Widok z mojego okna na listopadowy park był niby ten sam, a jednak nie ten sam. Drzewa zastygły w dziwnej pozie, ciężkie, leniwe, wyraziste. Powyginane reumatyzmem konary, skrócona perspektywa, krzywe

zwierciadło. Wydawało się, że w oddali śmieje się klaun. Nie był to chyba przyjemny śmiech. Ucichł za kulisami. *Miłość jest jak choroba, głupia, naiwna dziewczyno! Głupia dziewczyno! Czas przejrzeć na oczy!* Zegar tykał miarowo. Czekanie przesypywało się niczym piasek w klepsydrze. Czy za kulisami mogą chować się nowe niespodzianki?

\*

Wrócił trzynastego listopada.

- Jestem - powiedział. W progu drzwi. Uśmiechnął się. Milczałam.

Ze wzruszenia nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Jestem. Jak gdyby nigdy nic, klucz. Klucz, który otwiera lub zamyka, wpuszcza, nie wpuszcza. Decyduje.

Dominik stał oparty o framugę. Proszę, proszę, wejść, rozgość się, o Boże! Smutek i żal, które jeszcze przed chwilą wypełniały mnie po brzegi, teraz ulotniły się, wyparowały, nie ma, nie ma nic oprócz radości, optymizmu, wszystko będzie dobrze, o Dominiku! Och, Dominiku! Prawda?

- Ależ się stęskniłem - powiedział, objął, przytulił. Znowu. Znowu. Na szczęście. Na zatracenie. Kocha. Przecież kocha. Przecież mówi, że kocha. W rytmie tak samo odmierzanych kroków, oddechów. Skąd wzięło się tyle wspólnego rytmu, kołysania? Kołysanie na jednej nucie. Koloryt wieczornej ciszy. Zmysłowy zapach jesieni. Kocha? Kocham. Kocham. Kocha.

Dzień był krótki, temperatura bliska zeru, wiatr silny i porywisty. Moje wargi pełne i smakowite. Nabrzmiałe wargi dojrzałych owoców, może czereśnie, może śliwki, może purpura granatów. Dominik rozchylił je, jeszcze,

jeszcze, poczułam zmysłowe drzenie, jego ręka na moim udzie, jego wargi na moim podbrzuszu, jego język wokół moich sutków, co się stało... *Kocham, kocham... Gdzieś tam powstała nowa gwiazda, i jeszcze jedna, popatrz.* Dominik całował, całował, może w ten sposób zamykał mi usta? Czy pocałunek wymyślono po to, żeby zamknąć usta zbyt gadliwym kobietom? Sięgał po moje pragnienia, rozgniatł je w proch, w pył, pieścił, rozgrzewał. Kształty. Czyje kształty? Moje? Obłe? Czy jego? Dominiku? Zuzanno! Dominiku.

- Przedstawisz nam go wreszcie? Tego, jak mu tam, Eryka?

Siostra zadzwoniła do mnie dwa tygodnie przed świętami. Co roku organizowała wigilię. Kolacja, choinka, opłatek, talerz dla wędrowca. Ile osób?

- Dominika. Przedstawię. Przyprawdzą go na Boże Narodzenie.

- Najwyższa pora. Zapytam, kiedy zamierza się żenić.

- Broń Boże! Nie zrobisz mi takiego świństwa.

- To nie jest świństwo.

- Świństwo.

- I dlaczego mam ci go nie zrobić?

- Mężczyzn się nie popędza. Do ważnych decyzji muszą dojrzeć sami.

- To sery dojrzewają. Mężczyzn się lekko ukierunkowuje. Prosto na rzeź i do ołtarza.

- Przestań!

- Niemądra jesteś, siostrzo. Niemądra. Kuj żelazo, póki gorące. Znasz to?

- Nie pieprz. Będzie tak, jak ja chcę.

- A niby dlaczego?

- Bo to mój chłopak.

Bo to moje kochanie. Pod choinkę podaruję mu nowy komplet kolczyków, które zalśnią na jego zmysłowej skórze. *Myślałam, że masz poczucie estetyki. Dziewczyno! Przecież to kicz! Zwyczajny kicz! Nie wstyd ci?* Razem przygotujemy świąteczny obiad, jarzynowa sałatka, owocowa sałatka, zupa z soczewicy, ryba z rusztu. Wydamy sporo pieniędzy, ale co tam! Pieniądze są po to, by je wydawać. Ryż z curry, kasza z ziołami. A może kartofelki z pietruszką? Makaron z sosem pomidorowym? Kuskus? Kasza gryczana? Część produktów już kupiłam. Wtaszczyłam je do domu w dużych torbach, krok po kroku, stopień po stopniu. Na mój widok sąsiadka z góry pokiwała głową i aż podparła się pod boki.

- Boże jedyny, Boże - zaśpiewała w moją stronę. Byłam zbyt opieszala i nie zdążyłam w porę zniknąć z jej pola widzenia. — Pani! I po co to tak dźwigać tyli kawał! Przecież całkiem już pani ustała, że ustała. Boże kochany, Boże, toż by się chłop prawdziwy przydał, że aż przydał!

No nie? Chłop prawdziwy. Wysoki, barczysty, zakochany i głodny. Z apetytem na mnie. Z apetytem na słodkie frykasy. Na deser poczęstuję go bakaliami, uśmiechami, pieszczotami. Rodzynki w cieście, kokosowa posypka. Suszone daktyle. Herbata w filiżankach z chińskiej porcelany, które matka sprezentowała mi na dwudzieste piąte urodziny. Kiedy to było? *Kawa z ekspresu czy po turecku? Wino, whisky, likier, a może wódka z sokiem?* Wszystko się ułoży. Ja i ty zamieni się w szczęśliwe my, muzyka, życzenia, bliskość, wspólne myśli, słowa. I zdrowy seks na dobranoc. Tak miało być. Dlaczego nie wyszło?

— Dominiku? Moja siostra zaprasza nas do siebie na wigilię.

Dominik leżał na tapczanie, w rękę trzymał gazetę i kubek z kawą, czytał artykuły kolegów, *co za nieuki, ale wypociny!* Decyzja o rozpoczęciu budowy nowej stacji metra, poszerzenie ulicy w centrum miasta, wykończenie wiaduktu, sprawa dworca kolejowego, poszukiwania nowego inwestora, trzeba przebudować budynek i rozszerzyć go o funkcję centrum handlowego...

— Mówiłaś coś?

— Siostra zaprasza nas do siebie na wigilię.

— Co takiego?

— Siostra na wigilię nas zaprasza.

— A po co?

— Na wigilię. Po co się chodzi do kogoś na wigilię? Żeby spędzić razem czas. Uroczyście. Chciałabym przedstawić cię swojej rodzinie.

— Co byś chciała?

— Moja rodzina chciałyby cię poznać. Siostra zaprasza nas do siebie na wigilię. Będzie elegancka kolacja, posłuchamy kolęd...

— Twoja siostra?

— Moja siostra. I szwagier. I siostrzeńcy. I moja matka. Też tam będzie. I choinka.

— Też tam będzie? Wszyscy? Wszyscy tam będą? I ja?

- I ty.

— Nie obchodzę świąt. Żadnych. Myślałam, że wiesz.

— Przecież to tradycja. Potraktuj to jako pretekst do spotkania. Nic więcej.

— Nie potrzebuję takich spotkań.

— A jeśli ja potrzebuję?

- Dotychczas nie potrzebowałaś.
- Co ty opowiadasz?! W zeszłym roku byłam na wigilii u Iwony. Jak zwykle. Nie pamiętasz?
- Ale beze mnie.
- Bo powiedziałaś, że musisz jechać do matki. Nie tak było?
- Nie pamiętam.
- Podobno była chora. Pojechałaś, żeby się nią opiekować.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- O czym?
- O tej wigilii.
- Właśnie ci mówię.
- Dostyc późno, nie uważasz?
- Prawie dwa tygodnie przed czasem.
- Przecież ich nie znam. Nie znam nikogo z twojej rodziny.
- Nie szkodzi. Najwyższy czas, żebyście się poznali.
- Pozwól, że sam o tym będę decydował.
- Czy nie jesteśmy rodziną?
- Jeszczenie.
- Ale prawie.

Dominik popatrzył na mnie osłupiały. Milczał. Minutę albo dwie.

- Muszę to przemyśleć - powiedział wreszcie.

Wstał, ubrał się i wyszedł. Nie powiedział, kiedy wróci. Boże Narodzenie miało być za jedenaście dni. Chciało mi się płakać.

Tak. Tamtego wieczoru nie chciało mi się żyć. Gdyby tak zanurkować z balkonu w dół? W poszukiwaniu śmierci. Żeby zakończyć tę opowieść. Nie? Raczej nie. Za nisko. Można by, co najwyżej, rzucić się przez balustradę w poszukiwaniu kalectwa. Złośliwie. Na wieczną opiekę i pamiętkę głupoty. Nieustające przeczucie, że coś jest nie tak, że ciemności nie da się przeniknąć zwykłym dotknięciem, że wszelkie usiłowania okazują się być pokątne, a szanse zmarnowane. Tak było. I nie wystarczało mi odwagi. Nie wystarczało mi odwagi, żeby zapytać Dominika, jakie ma wobec nas zamiary. Gra na zwłokę, ścieżki półprawd i niezdecydowania. Takie ścieżki zawsze pną się pod górę, wśród nieprzyjaznej kłamczuchom scenerii, i po wyboistych kamieniach.

*I co? Wszystko w porządku?* — pytanie, które istnieje od samego początku, od „najpierw było słowo”, czyli od zarania dziejów. *Wszystko w porządku?* — pytała Ewa Adama, który ze smakiem konsumował zakazany owoc. Niektórzy twierdzą, że to było jabłko. *Czy wszystko w porządku?* - pytają matki swoje córki o życie, o zdrowie i o ewentualność zarażenia się chorobą weneryczną. Konsekwencje złapania trypra są straszne i wstydlive. Należy unikać swędzących przypadłości i cierpieć w milczeniu. To się ma, co się wypracowało!

Iwona zadzwoniła do mnie kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

— I co? Wszystko w porządku? - zapytała.

— Tak, wszystko w porządku — odpowiedziałam.

— Śledzie on lubi?

— Lubi.

— A karpie? Czy kupić pstrąga?

- Wszystko jedno. Dominik jada wszystko.

W sobotę ugotuję pomidorową z makaronem, ze śmietaną, posypię obficie pietruszką, podam kotlet z indyczki w panierce, ziemniaki okraszone tłuszczem z mięsa, przyprawione zielonym koperkiem, do tego mizeria. Albo kapusta z zasmażką. Albo gotowane brokuły. A na deser szarlotka z kruszonką. Mocna kawa w maleńkich filiżankach i czekoladki z likierem. Moje ulubione. Standard. *Smakuje ci, kochanie?*

— J a kto jada wszystko?

— No tak. Dominikowi smakuje wszystko.

W niedzielę zrobię czerwony barszczyk z pasztecikami, duszoną polędwicę z buraczkami i frytki. Kruche ciasteczka w polewie czekoladowej i do serca prosto przez przewód pokarmowy, od jamy ustnej poczynając, na jelicie grubym kończąc.

— To świetnie. Będziecie koło szóstej czy siódmej? Claude ma po was przyjechać?

W poniedziałek nie będę miała czasu ugotować obiadu. On pójdzie do gazetowej stołówki, ja do pracowniczego barku, *czarna kawa raz, pączek i sok pomarańczowy.*

- Będziemy koło siódmej. Niech Claude po nas przyjedzie. Dobrze.

Śwędząca przypadłość, która ma na imię Dominik, być może zechce zaszczyścić uroczystą wigilijną kolacją swoją obecnością. A może nie. Któż to wie. Jeszcze nie zdecydował.

Dwudziestego grudnia po obiedzie — kurczak z różną, tłuczone ziemniaki, marchewka z groszkiem - Dominik



zapropował mi wyjście na spacer do parku albo do restauracji, albo do baru na piwo. *Gdzie chcesz.* Nie poszliśmy nigdzie, bo pogoda była paskudna, na dworze gwizdał wiatr, porozrzucił resztki liści z drzew, pokropił deszczem, niech gniją bez ładu i składu. Byle jak. Dni są wszak już krótkie, nastroje minorowe. *Nie lepiej zostać w domu, wślizgnąć się pod wełniany koc, schować się w ciepłe uściski?* Lepiej. Lepiej wtulić się w siebie, wypić grzane wino, *chcesz z goździkami, kochanie?* Z goździkami, z cynamonem, z cukrem.

- Kochasz mnie?
- Kocham.
- Tylko mnie?
- A jak myślisz?
- I pójdziesz ze mną na wigilijną kolację?
- Do twojej siostry?
- Och, Dominiku!
- W końcu jesteśmy rodziną. Prawie.
- Dominiku! Och!
- No co?
- Jestem taka szczęśliwa.

Wiatr przestał wiać, deszcz przestał padać, niebo się przetało, na gałęziach krzewów rozkwitł biały bez — odmiana zimowa. Pod starym dębem naprzeciwko okna rozłożyła się Maja Naga, nogi złączone, ręce złożone pod głową. Skromna. Śliczna. Świeża. Uśmiechnęła się do nas. Do mnie. Dominiku! Czy widzisz? Czy czujesz? Czy wiesz? Dominik nie widział i nie czuł. Zdaje się, że także nie wiedział. Ale był. Zachłanny, jakby przeznaczonego czasu mogło nie wystarczyć. Wyrafinowany. Słodki, pachnący świat. Uczucia. Miały się nigdy nie zmienić. Zmieniły się przecież.

## Rozdział 7

Pracuję w Muzeum Starych Mistrzów, ulica Śródkowa 11, wejście dla personelu od Krótkiej 2, dziesięć minut autobusem, pół godziny piechotą. Piętnaście minut na rowerze. Muzeum mieści się w starym, barokowym budynku, szerokim, długim, imponującym. Podobno mieszkał w nim kiedyś jakiś kardynał, a może znamienity książę, gmaszysko nie byle jakie, swoją historię ma i miejsce w katalogu obiektów zabytkowych również.

Wnętrze budynku urządzone jest z przepychem. Złocenia, ornamenty, wszystkiego ponad miarę i ponad zdrowy rozsądek. Rzeźby, pilastry, figury, festony, tak tu się kiedyś mieszkało, kochało, umierało. Było. W zbytku. W próżności. W bogactwie. W biedzie nie. Każdemu według potrzeb. W drodze do ucha. Igielnego.

Na pierwszym piętrze muzeum znajdują się wystawy stałe. Valdes, Zurbaran, złocone ramy, alegorie, kościotrup, *memento mori*. Warto pamiętać, że życie jest krótkie, ulotne i mało rozciągliwe. Martwa natura na zawsze pozostaje martwa. Żółte cytryny będą się żółcić przez wieki. Purpurowe winogrona i zdechły bażant. Smród strachu

i rozpaczy pociągnięte delikatnymi muśnięciami pędzla i pokryte połyskiem werniksu. Przesłanie.

W kolejnych salach wiszą piętnastowieczne płótna. Wczesny renesans. Późne średniowiecze. Van Eyck, van der Weyden. I *Ołtarz gandawski*. Bizantyjski Bóg Ojciec, zacytana Maria. Oraz anatomiczna prawda nagości. Adam i Ewa. Kobieta i mężczyzna. Jak zawsze. Jak zwykle.

Moją ulubioną część wystawy stanowią prace Hieronima Boscha i Bruegla Starszego. Umieszczone są w bocznym pomieszczeniu, na prawo. Smak wiernie przedstawianej natury z rozbudowaną symboliką, matematyczna perspektywa, moralizatorstwo, przysłowia. Przypowieści, karykatury i dziwadła. Rzeczywistość połączona z fantazją. Czego tam nie ma! Śmierć i życie, tulipan w tyłku, homo niewiadomo, piekielne mlaskanie. Świat ponad formułą stereotypów, zamierzchły, współczesny, wieczny. Ale i radość na weselisku, i tyle naszego, co się da uszczknąć i wypić, i podszczypać, tu i ówdzie. Amen.

Do muzeum przychodzi kilkadziesiąt tysięcy odwiedzających rocznie. Wszyscy szurają w muzealnych papuciach, gubią się w intensywności kolorów, kiwają ze znawstwem głowami, no tak, tak, chociaż liczba zgromadzonych dzieł osłabia percepcję i poznawczą, i estetyczną.

Żeby dojść do barku kawowego, w którym czeka zasłużony odpoczynek, należy przejść przez sale poświęcone sztuce flamandzkiej siedemnastego wieku, Rubens, van Dyck, Jordaens i kilku innych artystów. *Zatrzymajmy się na chwilę przed tym oto słynnym portretem*, przewodniczka zatrzymuje się na moment, moment przedłuża się niczym

elastyczna gumka, kompozycje historyczne, religijne, rodzina królewska, wszystko eleganckie, dystygowane, prosto z górnej półki, proszę państwa, proszę nie przeszkadzać. Tu się w końcu pracuje. Ciężko i nudno na dodatek. Koniec.

- Skończyłaś? - pytam.

Siedzę w barku, piję trzecią kawę, co mi tam! I nic mi się nie chce.

- Skończyłam — odpowiada Benedykta, *mów mi Benny*, moja rówieśniczka, trzydzieści jeden lat, niska, drobna, zmęczona. Ciągle zmęczona. Podkrążone oczy. Zwłaszcza ostatnio.

- Nie lubię - mówi.

I nie musi wyjaśniać, że nie lubi zwiedzających, malarstwa, albo i sztuki w ogóle, dyrekcji muzeum, pracy, galerii, chłopaka, który miał zadzwonić, znowu nie zadzwonił, niczego nie lubi, szykuje się samotny wieczór i dajcie wy mi wszyscy święty spokój!

- Napijesz się czegoś?

Benny napije się herbaty, choć ma ochotę na coś mocniejszego. *Pani Jolu, nie ma tam pani jakiegoś rumu albo wódki? Dolejemy do tej herbaty czy kawy. Nic nie będzie widać. Zagryziemy mentosem, pietruszką, nikt nie poczuje, raz, dwa, lewa, prosto, prosto, uwaga, uwaga stopień, wszystko w granicach normy. Pani Jola na sprzedaż alkoholu w muzealnej kawiarence koncesji jednak nie ma, nie będzie się narażać. Benny musi obejść się smakiem. I bez wódki.*

- A co u ciebie?

- Bez zmian. Zaliczam singielskie noce. Dochodzę do siebie. Uczę się żyć w pojedynkę. Chyba wszystko dobrze. Do diabła! Hak mu w smak!

— Hak mu w smak! Do diabła!

Benny ma wszystko to, co działa na statystycznego mężczyznę w wieku średnim. Duży biust, krągłą pupę, ufarbowane na blond włosy, wiadomo - mężczyźni wolą blondynki. Naturalny makijaż oraz podkreślone błyszczkiem usta. Pełne i różowe. Nosi obcisłe spodnie, buty na wysokich obcasach, biustonosz, który podnosi cycki, i elastyczne majtki, które tuszują brzuch. A jednak...

— Znowu nie zadzwonił. Wyobrażasz sobie? Co mnie przy nim trzyma? Wbrew prawom fizyki i psychiki? Rutyna, obojętność, strach przed samotnością... Nie wiem.

Codziennie skrapla się jego ulubionymi perfumami, dzikie orchidee, słodkie konwalie, smak pożądania, zapowiedź rozkoszy...

— Może jest jakaś ważna przyczyna?

— Ważna przyczyna! Nie ma o czym mówić - mruczy zrezygnowana. Drobne palce wystukują zniecierpliwienie. Chciałyby zapalić, niestety, w muzeum palić nie wolno, przepisy zabraniają. - Nie ma o czym mówić. I tak wszystko jest do dupy.

Jednym słowem, nic nie jest pod kontrolą, a zmartwienia i kłopoty są materią zindywidualizowaną. Granica między snem a jawą rozmywa się w bezkształt. Nikt nie niesie słów pocieszenia i otuchy.

— Nie oczekuję pocieszenia. Oczekuję szczerości. I tyle. Jeśli mnie już nie chce, niech mi to powie. I już.

Ale właśnie *i już* przychodzi z największą trudnością. To jak dźwięk, który nie chce przejść przez schorowane gardło. I już? Już zaraz? Już trzeba? Nie szkodzi.

— Dominik uciekł bez słowa.

— No widzisz.

- Zachował się jak tchórz. Niedojrzały nastolatek.  
Dupek.

- J a k najbardziej.

- Czuję się taka samotna.

—J a też.

Benny wzrusza ramionami. W życiu nic się nie ukryje. Wszystko jest wymierne, całkowite, pomierzone i poukładane. Równe stosiki przyczyn i skutków. Staropanieństwo też ma swoje miejsce w tym systemie. Może i lepiej unikać stałego związku, bo przyniesie same straty i ogólne bankructwo?

- Czy wiesz, że długość rozmów między partnerami w stałych związkach jest odwrotnie proporcjonalna do długości ich trwania? I liczona jest w minutach, nie w kwadransach. W skali od jeden do dziesięciu! Nie myśl sobie.

Benny sobie nie myśli. Wszystko przecież wie. Białe to białe, czarne to czarne, szarość jest dziełem kłamliwych kochanków, a byt to nie iluzjonistyczne sztuczki. Nikt królika z kapelusza nie wyciągnie, szyfonowych chusteczek z tyłka nie wywlecze. Nie myśl sobie, Benny!

Drugie piętro muzeum zarezerwowane jest dla wystaw czasowych. Ich organizacja należy do moich obowiązków. W końcu jestem absolwentką wydziału historii sztuki, umiem posegregować dzieła według epok, szkół, mistrzów, stylów. Za to mi płacą. Szkoda, że tak niewiele. Wystawy czasowe przygotowuje się długo, obrazy wybiera się z muzealnych magazynów, czasem wymienia się je z innymi ośrodkami. Pasma niekończących się procedur, mrówczych zabiegów, układów, przyrzeczeń. Powoli. Pośpiech nigdy

sztuce nie służył. Szytychy na jedną stronę, akwarele na drugą, drzeworyty i miedzioryty tutaj, pastele tam. A gdzie olejne? Starożytność, nowożytność, co kto lubi, co komu pasuje.

— Pamięta pani o terminie? Pamięta pani? — dopytuje dyrektor.

Niecierpliwy, nerwowy, uda się czy się nie uda, każdą pozycję trzeba opisać, informację sprawdzić, dzieło pokazać - i niech się dzieje, pismaki niech chwalą i w świat trąbią. Tak.

- Pamięta pani?

Pamiętam, sprawdzam, opisuję, komentuję. Kontaktuję się z innymi placówkami. Oceniam sytuację. Decyduję o oświetleniu. Każda praca powinna być odpowiednio wyeksponowana. Bliżej drzwi, na tamtej ścianie, może na środku? Za wysoko, za nisko, trochę w prawo, bardziej w lewo. Wczesne średniowiecze z wczesnym średniowieczem. Renesans z renesansem. Impresjoniści z impresjonistami. Wyspiański z Wyspiańskim. Porządek musi być. Głowa przy głowie. Nie ma zmiłuj!

— A teraz co? - pyta Benny. Idziemy w stronę muzealnych magazynów, w końcu czas wziąć się do roboty, rozmowy o wiarołomnych kochankach zostawić na później, wystawa czeka, termin się zbliża.

- Teraz będą olejne z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku. Europa, ekspresjonizm, nadrealizm, trochę secesji. Tutaj mam numery.

Numery katalogowe, do podziemi, korytarzem w lewo, magazyn czternasty. Stare podwójne drzwi otwierają się ze skrzypnięciem. Klimatyzacja oczywiście nie jest włączona, przecież oszczędza się na historii i na kulturze.

Ale oświetlenie działa bez zarzutu. W powodzi światła ukazują się kontury obrazów. Zapomniane, sfatygowane, zmęczone. Niczym stare ciotki, których nikt nie odwiedza.

- O! Tutaj są zbiory od *a* do *f*. Od jeden do pięćdziesiąt dwa. A ten? Jak ci się podoba?

Fantazje. Subiektywizm. Uczucia bez realistycznych ograniczeń.

- Czy ja wiem... Chyba nic nadzwyczajnego...

Groteska. Satyra. Maski i szkielety. Sen. Jawa. Baśnie. Baśnie wokół nas.

Przyglądam się obrazom pod literą *b*, numery od piętnastego do dwudziestego piątego. Nie widzę nic szczególnego.

- Tutaj chyba nic nie ma. Chyba że ten pejzaż. Ten pejzaż, co?

Benny nie odpowiada.

W grupie płócien od dwudziestu sześciu do czterdziestu znajduję dwa, które może zostaną zakwalifikowane na wystawę.

- O! Co powiesz o tym? Interesująca kolorystyka, nie uważasz?

Podchodzę do kolejnej grupy prac, muszę to dzisiaj skończyć, kiedyś trzeba to zrobić. Nadrealizm, surrealizm, subiektywizm, irracjonalizm. Praca w *izmach* jest mało ciekawa, monotonna, od dziewiątej do siedemnastej, dyżury w soboty i w niedziele, poniedziałki wolne. Ale nie ma co narzekać. Przynajmniej nie oprowadzam zwiedzających i nie opowiadam historii, których i tak nikt nie słucha. Biedna Benny. Numery od szesnaście do dwadzieścia cztery opadają. Ewentualnie dwadzieścia pięć...



- Mówiłaś coś?

Benny stoi bez ruchu przed jakimś obrazem w rogu pomieszczenia. Zdaje się w grupie w, miejsca od jeden do trzydzieści. Bez słowa.

- Czy coś mówiłaś?

Dwadzieścia sześć nie, dwadzieścia siedem nie, dwadzieścia osiem? Ewentualnie dwadzieścia osiem. Zobaczymy, co powie dyrektor. I Benny.

- Co jest? Znalazłaś coś interesującego? - pytam.

Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden. To brzmi jak wyliczanka w chowanego. Kto kryje?

Benny milczy, patrzy na mnie. Okrągłe oczy robią się jeszcze bardziej okrągłe. O! O! Coś się stało?

- O Boże - szepcze.

Prawie jej nie słyszę. Raczej się domyślam. O Boże? A co do tego wszystkiego ma Stwórca?

Numer trzydziesty pierwszy jest całkiem interesujący. Gdyby wyprostować blejtram... A właściwie, dlaczego jest krzywy? Co robi konserwator?

- Co mówisz?

- O Boże. Musisz to zobaczyć.

Benny zerka w moją stronę.

Niepewna? Zdziwiona?

Co muszę zobaczyć?

Trzydzieści dwa odpada, trzydzieści trzy też.

Co muszę? Co zobaczyć? Ja? Nie.

Benny czeka. Czoło zmarszczone, buzia w ciup. *Chodź, chodź. Sama zobacz. Nie uwierzysz.*

Benny usuwa się na bok, robi miejsce.

Podchodzę. Jednak. Patrzę. Myślę. Przeczuję.

Obraz jest duży. Prostokątny. W ciemnych, grubych ramach. Portret. Postać w jasnej sukni stoi na de ciemnej draperii. Odcina się od tła jak rzeźba. Posąg. Kobieta w eleganckiej toalecie. Świetlista. Uroczysta. Zwiewna, a jednak materialnie prawdziwa. Śmiały dekolt. Białe, powabne ramiona. Przy prawej piersi upięto żywe kwiaty, żywe kwiaty, które pachną, prawie to czuję. Czerwienią się na de jasnej sukni. Kolorem krwi? Ukrytych sekretów? Nierzeczywistość tej sceny podchodzi mi do gardła. Przecież wiem. Poznają. Bufiaste, krótkie rękawy i długie rękawiczki. Atłasowe. Wachlarz. Pierzasty niczym drapieżny ptak. Dokąd idziesz? Dokąd się wybierasz? Na bal? Do teatru? Do opery? Do piekła? Z kim przyszłaś? Kobieta ma włosy koloru brunatnych bakłażanów, rdzawe pasma płoną tajemniczo. Ogniem. Mocą. Czym? Upięta je do góry, z tyłu związała w ciężki węzeł. Węzeł schowany pod cienką siateczką, w której lśnią brylantowe drobiny. Jak sen. Jak marzenie. Znam je. To przecież... Mgła, w której zawieruszyły się krople klejnotów, wydarte ziemi, siłą, w pocie czoła. Dla mnie. Dla mnie. Bo mi się należy. Z oczu wyziera szmaragdowe morze. Po burzy? Przed burzą? Jak tęsknota? Lśnienie mrocznej tajemnicy. To moja twarz. Przecież to moja twarz. Co tu się dzieje?

- Kto to? Zuza! Wyglądacie tak samo. Jak to możliwe!

Benny odwraca wzrok, chce patrzeć, nie chce patrzeć, zerką zafascynowana. Ukradkiem. Co za zadziwiające podobieństwo! Na pierwszy rzut oka widać, że coś jest nie w porządku. Takie rzeczy się nie zdarzają.

— Kto to jest?

Oddycham głęboko, uspokajam niespokojne myśli, nic to, nic to. Przypadek. Seria przypadków. Prababka Augusta

tam, prababka Augusta tu. Szerokie czoło, zmysłowe usta. Prosty, cienki nos. Skóra w odcieniu dojrzałej brzoskwini. *Urocza, urocza, nie można się oprzeć, oprzeć się nie można.* Kto nie może się oprzeć? Kto oprzeć się nie może? Nic o niej nie wiedziałam przez tyle lat, przez lat tyle, a teraz? Przeszłość puka do moich drzwi, wciska się bezceremonialnie. Przeszłość? Przyszłość? Co chcesz mi przekazać, babciu?

- *J e s t* bardzo piękna. Kto to? Powiedz.

- To moja prababcia. Augusta. Nie wiedziałam, że ktoś namalował jej portret — odpowiadam.

Nic nie wiedziałam, nic nie wiem, nic nie rozumiem. Czy to jakiś rodzinny żart? Jestem pewna. Jestem pewna, że uśmiech babki przeznaczony jest dla mnie. Tylko dla mnie. Lekko uniesione wargi, a widzisz, a widzisz, co za niespodzianka. Kto by się spodziewał! Figlarna babcia. Babcia nie byle jaka. Wyraźnie słyszę niski, gardłowy głos, który mówi: *Witaj, dziewczyno! Witaj znowu! Jestem z ciebie dumna.*

O Boże!

## Rozdział 8

*Witaj, dziewczyno. Witaj, babciu. Dlaczego jesteś ze mnie dumna? Babciu?*

Pierwszy raz usłyszałam głos prababki w dniu, w którym poznałam Dominika. Dziesiątego lipca, dwa... nie, prawie trzy lata temu. W miejscowości Zgodne Duże, w Pieninach, do najbliższego miasteczka pół godziny autobusem, czterysta dwadzieścia kilometrów od stolicy, nad rzeką Rwęcą, która, owszem, rwie i wylewa, ale nie zalewa, bo sprytni mieszkańcy na obszarach zalewowych domów nie budują.

W miejscowości Zgodne Duże, gdzie obok drogi jednoliterowej ruch jest spory, ale ograniczenie prędkości i radary dają życie i dają też poczucie względnego bezpieczeństwa. Pracowałam tam jako kelnerka, *raz, raz, raz, miгіem dziewczyny*, w zajeździe *Trzy Korony*, nazwa całkiem uzasadniona, bo do Trzech Koron nie było zbyt daleko.

*Zwariowałaś! Kelnerka?! Nawet nie wiesz, jaka to ciężka praca! Odbiło ci zupełnie! Jak chcesz sobie dorobić, to możesz jechać ze mną na targi meblarskie. Posiedzisz, z ludźmi pogadasz, parę ulotek wcisniesz.*

Siostra miała oczywiście rację. Branża meblarska wykształca poczucie estetyki i daje konkretne i intratne zajęcie. Iwona jest tego ewidentnym przykładem. Zajmuje się reklamą pracowni, chodzi na wystawy mebli artystycznych, czyta literaturę fachową. Koneserka, modelka, muza. Blask inteligentnych oczu i zmysłowy uśmiech. Jest ozdobą niekwestionowanych kompetencji zawodowych Claude'a. Sprzedaż antyków jej służy. Praca kelnerki jest zaś ciężka, żyłaków można się nabawić, zadyszki dostać, od pijaków się nie opędzić. A i zarobek gdzie indziej pewnie łatwiejszy. Ale nie zawsze przecież o pieniądze chodzi.

*Pojedziemy, poznamy, powyglupiamy się, proszę, namawiała mnie Benny, no, bo i czemu nie? Zdobędziemy nowe doświadczenie, coś zarobimy, pobędziemy w pięknych okolicach. Na miesiąc, na dwa miesiące, na kilka tygodni.*

Pojechałyśmy w lipcu. Kierownik *Trzech Koron* przyjął nas z otwartymi ramionami.

Pracowałyśmy niestety na dwie różne zmiany (nieprzewidziana komplikacja), co uniemożliwiało nam wspólne spędzanie wolnego czasu. Co prawda, wolnego czasu nie było zbyt dużo, w końcu gości trzeba porządnie obsłużyć, *szybciu! raz, raz, raz, a i* uśmiechnąć się i za rękę na tyłku się nie obrazić. *Hej, laluniu! A skąd taka ślicznotka? A buzi dasz? Cukiereczek.* I choć chciałoby się pięścią w stół uderzyć, otwartą ręką w pysk walnąć, *raz, raz, raz, niech się złamas za mordę trzyma i brakujące zęby liczy, to w końcu...* Nic się przecież złego nie działo, miesiąc posuwał się długimi krokami do przodu, do szafy grającej zawsze ktoś wrzucał monety, Mercury, Jackson, stare przeboje. Rozkołysane biodra, piersi naprężone w ciasnym staniku, kilka wieczornych drinków na koszt firmy i napiwki, napiwki, napiwki, strumień napiwków. Zdumiewające. Suma napiwków przekroczyła miesięczne, muzealne uposażenie. Niech to szlag! *jak Boga kocham! Patrz, Benny! Jak Boga kocham! Czy to nie wspaniałe?* Co prawda kilkugodzinne wołanie kucharza: *pomidorowa dwa razy, trzy śledziki, tatar raz, flaczki i schabowy z surówką, grochówka na wynos*, sprawiało, że praca trąciła monotonią i rutyną, ale dało się wytrzymać. Ha, ha, ha, dało się wytrzymać!

Dominik spędzał w *Trzech Koronach* cztery pijackie dni. Z kumplami, z których jeden właśnie się rozwiódł i dochodził do siebie po sprawie rozwodowej, drugi dowiedział się o wiarołomstwie kochasia, a miało być na zawsze i wszędzie, a trzeciego wyrzucono z pracy, no cóż... nie samym chlebem człowiek żyje. Panowie spędzali czas głównie w barze, *cztery pięćdziesiątki proszę, duże piwa, chluśnięm, bo uśnięm, dwa whisky, dwie brandy, do dna i repeta*. Repetowali zwyczajowo.

- Napije się pani z nami?
- W pracy nie piję.
- A po pracy?
- Ktoś na mnie czeka.
- Znaczy, niesądzone nam?
- Niesądzone.

Niesądzone? Co jest niesądzone? Czy człowiek może wiedzieć, czy coś mu jest sądzone? Wiele rzeczy mogło się zdarzyć w Zgodnym Dużym, nad rzeką Rwęcą, pięćdziesiąt dwa zabudowania, czterystu czterdziestu mieszkańców, jeden sklep - mydło i powidło, jeden przystanek autobusowy i jeden zajazd. Coś mogło się zdarzyć.

Wszystko się zdarzyło.

W lipcu pogoda była piękna, prawdziwie dla poszukiwaczy przygód. Błękit prawie nie opuszczał nieba, przelotne znaczyło przelotne, a umiarkowane, umiarkowane. Ciężkie krople deszczu, po których rośnie się zdrowo i ku wolności, spadały czasem, nie za często. I szerokolistne lipy tańczyły bez opamiętania, i odwieczne buki szeptały tajemnicze historie. Ojczyźniane klimaty, nostalgiczne

nastroje. Obłoki przypominały białe pomazanie Skoczylasa. Upał.

Tamtego lata był upał. Około trzydziestu stopni dzień w dzień, rozgrzany asfalt na drodze, uf, uf, zimne napoje schodziły jak ciepłe bułeczki. *Dwie cole, trzy lemoniady, dziesięć pepsi, pięć mineralnych.* Stróżka potu spływała po ciele, wzdłuż kręgosłupa, do pośladków. Ubranie kleiło się do ciała. Włosy kleiły się do czoła. *Czy ten dzień nigdy się nie skończy?* Serce pracowało szybko, raz, raz, raz, czasu nie marnować, życie kubłami czerpać. Wody ze starej studni się napić.

Na tyłach zajazdu stała malownicza studnia z kołowrotkiem. Do łańcucha przyczepiono wiadro, na dnie połyskiwały tęczowe krople. Nad studnią rozpostarto drewniany daszek, a w głębinowej oddali lśniło lustro wody. *Hej, hej!* Pochylałam się nad kragłą, kamienną cembrowiną, *hej, hej,* odpowiadało echo, aria na dwa głosy przybierała kształt skrzydlaty, frunęła w dół, w górę, w dół, w górę, bez końca, bez końca. *Hej, hej! Okej, jest mi lżej, mam sto lat, mam swój świat, słyszę śmiech. Ech?*

Za studnią rozciągał się park. Park? Park, niepark, las, nielas, zagajnik, niezagajnik. Ogród. Teren zadrzewiony. Mieszany, mało mieszany, wesoła słoneczna mozaika na bogatym poszyciu, od którego bił mocny zapach miniaturowego życia. Stare drzewa tworzyły gmatwaninę różnorakiej zieleni i kształtów, zmurszałe dziwactwa, neurastenia van Gogha. Cisza. Czasami przerywana ćwierkaniem opierzonych mieszkańców. Oczarowanie. Chodziłam pośród baśniowych drzew, coraz dalej od *dwa razy pomidorowa proszę, ogórkowa raz, jeden befsztyk, jajka sadzone odebrać!* Pachniało. Parowało. Czekało. Warto przyjechać w zakątek starego

piękna, spokojnych wieczorów, nad którymi czuwa krągła twarz czerwonego, zachodzącego słońca. Rzeźkich poranków, *wstawaj, wstawaj, która to godzina!* Świat czeka, płynnie rzeka. Dziewczyno, czas ucieka. Śniadanie trzeba podawać! Po drugiej stronie ogrodu...

Nie byłam pewna. Po drugiej stronie ogrodu rosła wiśnia. Stara i samotna. Liczne gałęzie gięły się do samej ziemi pod ciężarem owoców. Wiśnie czerwieniły się, kusiły i wyglądały bardzo apetycznie. Lubię wiśnie. Dorodne, nieprzyzwoite, napęczniałe, brzemiennie. Do jedzenia, do chowania w dekolcie, do zawieszania na uszach. Erotyczna krągłość, którą obracam w ustach, jeszcze i jeszcze. Jeszcze i jeszcze. Cierpną od nich język i podniebienie. Cierpną myśli.

Tamte wiśnie...

Czy od tamtych wiśni ścierpły mi myśli? A może rozbolał brzuch? Albo skołowaciał język? Soczyste pocałunki. Tamte wiśnie były niczym soczyste pocałunki. Czy pod drzewem ktoś leżał? Nie byłam pewna. Czy pod drzewem ktoś leżał, leżał ktoś? Podeszłam bliżej. Tak? Jeszcze bliżej. I bliżej. Tak. Całkiem blisko. Leżał. Ręce pod głową, zamknięte oczy, regularny oddech podnosił klatkę piersiową. Spał? Marzył? Rozmyślał? Ten facet. Ten facet, jeden z tych czterech, stolik na tarasie, czwarty w trzecim rzędzie. Niepalący. Pijący. Codziennie golonka z musztardą i pieczywem, flaki wołowe, śledź w galarecie. I trunki przy barze. *Pan mi da dwie wódki i piwo. Duże, z beczki.* On? Damian? Zbyszek? Dominik? *Zawsze pani taka zabiegana? Zawsze, proszę pana. Ciężka robota, prawda? Mnie się podoba, proszę pana. Może*



*się pani do nas przysiądzie? Nie mogę, tak mi przykro.* Tu się, koleś, pracuje. Szybko, *raz, raz, raz, migiem dziewczyny*, miła obsługa i napiwki mile widziane.

Leżał. Kawał męskiego ciała. Długi. Bo przecież, kiedy się leży, jest się długim, a nie wysokim. Ciężki. Zgnieciona pod ciężarem ciała trawa. Może ze sto kilo żywej wagi. Spocony. Samczy. Facet. Facet leżał pod wiśniowym drzewem, cień gęstych gałęzi padał na jego twarz. Włosy miał długie, do ramion, rozsypane. Falujące, kasztanowe, dziewczynskie. Wokół pachniały kwiaty samosiejki, królowały pokrzywy, żółciły się mniszki, wszystko oplatał dziki bluszcz. Tu i tam mrugały pomarańczem nagietki. Esy-floresy i niekontrolowane rozpasanie. Przyglądałam się. Och! Chyba mi się spodobał? Spodobał mi się? Ależ ze mnie wariatka!

- To ty? - Niebieskie oczy patrzyły z zainteresowaniem.

- To ty? - odpowiedziałam. Że ja. A któż by, jak nie ja. Tylko ja, zawsze ja. I dlaczego mnie „tyka”! Do cholery!

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał.

A skąd niby mogłam się wziąć! Ze starej studni? Z wiekowej dziupli w rajskim ogrodzie? Z krainy snów? Wiadomo, że przyszłam prosto z kuchennego zaplecza w *Trzech Koronach*. *Raz, raz, raz, migiem dziewczyny, migiem!*

- Myślałem o tobie.

- Dlaczego?

- Bo mi się podobasz.

- J a k bardzo?

- Bardzo.

Romantyczne spotkania są sprawkami księżycowymi, migoczą z optymizmem i beztrąsko wirują po Mlecznej Drodze.

- A w skali od jeden do dziesięciu?

- Dziesięć. I pół.

Mężczyzna uśmiechnął się najpiękniejszym z uśmiechów, patrz, patrz, patrz, dziewczyno, na te białe zęby, na te pełne wargi, chcesz mnie pocałować?

- Mam na imię Dominik.

- Dominik. Zuzanna.

- Wiem. Masz na imię Zuzanna. Przyjechałaś do pracy w zajeździe na sześć tygodni. Nie jesteś zawodową kelnerką. Pracujesz w Muzeum Starych Mistrzów. Co robisz? Opro-wadzasz? Konserwujesz? Opisujesz? Jesteś taka piękna. Wiesz o tym?

- Nie.

- Nie wiesz? Mieszkasz z koleżanką Benedykta w pokoju na ostatnim piętrze. Dla personelu. Czy wiesz, że jesteśmy z jednego miasta?

- Benny.

- Słucham?

- Mów jej Benny. Nie lubi, kiedy się do niej mówi Benedykta.

- Będę mówił Benny. Czy wiesz, że mieszkamy w jednym mieście? - powtórzył. - Świetnie się składa, prawda? Nie będziemy musieli pokonywać kilometrów, żeby się zobaczyć.

Rzeczywistość docierała do mojej świadomości fragmentami, trochę stąd, trochę stamtąd, głębia nieba, głębia świata, kilka wróbla przysiadło na gałęziach, kilka motyli przefrunęło bezszelestnie. Co się stało? Podobam mu się? Zabiegana pracownica *Trzech Koron*, obowiązkowa biała szmata wokół bioder, *raz, raz, raz*, śniadanie od dziewiątej do jedenastej, obiad od drugiej, *uśmiechać się, dziewczyno, uśmiechać się, prędko, prędko*, dania gorące i zakąski do

dziesiątej. Podobam mu się na dziesięć. Punktów w skali.  
I pół. Dominiku?

- A będziemy chcieli się widywać?

- A nie?

Co się właściwie stanie? Będziesz do mnie dzwonił, przychodził do pracy, zapraszał do pubu, do restauracji, do kina?

- Nie wiem.

- Za to ja wiem za nas oboje. Będziemy parą. Na dobre i na złe.

Będziemy parą? Wprowadzisz się do mnie? Męski zapach od rana do wieczora. Wąłła stabilność i krucha nadzieja.

- W biedzie i w bogactwie. W zdrowiu i w chorobie.

- Skąd ta pewność?

Nie wiem, nic nie wiem. Tyle drżących pytań. Tyle niepewności.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni. Takie rzeczy się czuje. Już cię kocham.

- Takich rzeczy nie mówi się na pierwszym spotkaniu.

- I że cię nie opuszczę.

Bezczelny, pewny siebie i zarozumiały.

- I nigdy. I zawsze. Po co tracić czas. Ja już jestem gotowy. Chcesz, prawda?

- A jeśli nie chcę?

Chcę? Nie chcę? W skali od jeden do dziesięciu... Jedenaście? Dwanaście? W rozgrzanej scenerii. Słońcem. Chwilą. Zauroczeniem. Wiśniami.

Ich sok spływał strużkami po brodach, rękach, łokciach, tworząc krwiste zacieki. *A te na górze? Tych na górze nie dosięgniemy. Może cię podsadzę? Dreszcz oczekiwania. O Boże! Co*

*to znaczy? Przeczucie fizycznego kontaktu. Obejmie mnie, przytul, weźmie na ręce? Nieznany, łaskotliwy. Przeczucie fizycznego kontaktu rozświetliło umysł niczym błyskawica...*

Dokładnie pamiętam tamtą chwilę. Przysuwaliśmy się ku sobie ciasno, coraz ciaśniej, aż wreszcie dzieliła nas tylko jedna, przypadkiem zawieruszona, spłaszczona, wiśniowa kuleczka. Nie wiedzieć kiedy, także i ów relikwiarz wiśniowej obfitości zniknął gdzieś, wchłonął się między, pozostawił jedynie dwie szkarłatne plamy. Na dwóch białych podkoszulkach. Dwa kleksy, podobne kształtem, jakby w odbiciu lustrzanym, jakby na wysokości biustu, jakby na lekcji geometrii w szkole, jakbyśmy brali udział w reklamie odplamiaczy. Jakby... Odstąpiliśmy. Odstąpiliśmy wreszcie od siebie. Jakby nic się nie stało. Bo przecież nic się nie stało. To tylko wiśniowe smaczki. Prawda? Dominiku?

★

— I co? I nic więcej? Tylko cię pocałował? — Benny wydawała się nieco rozczerowana. Pocałunki pocałunkami, a do konkretów jeden krok. Pożądanie, przyciąganie i twardy dowód erekcji. Tak powinno być.

— Nic więcej. Tylko mnie pocałował. A co jeszcze byś chciała?

— A stanął mu chociaż?

— Benny! Nie sprawdzałam. I skąd mogę wiedzieć.

— To się przecież wie. A będzie coś z tego?

Delikatna Benny. Miarowym krokiem ciężko stąpa po wytyczonych drózkach. Bo przecież nie z każdej mąki będzie chleb. Nie każdy seks prowadzi do wyczekiwania

na telefon. Czasami lepiej jest powiedzieć: *nie przychodź więcej*.

Kiedy odchodziliśmy spod wiśniowego drzewa, Dominik zerwał kwiat dzikiej róży, który rósł nieopodal, i podał mi go. Wsunęłam kwiat za gumkę szortów, poczułam lekkie drapanie drobnych kolców na brzuchu. Niech boli, niech boli, niech kłuje do krwi, do opamiętania. A później doszłam do wniosku, że jest mi do twarzy z czerwoną różą gdzieś w okolicach pępka. Opamiętanie jednak nie nadeszło.

— Będzie coś z tego — odpowiedziałam. Właśnie spotkałam mężczyznę swojego życia. Na pewno coś z tego będzie. Jak dwa i dwa to cztery.

★

Tamtej nocy...

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć. Wrażenia minionego dnia przybierały różne kształty. Obłe, kanciaste. I kolory. Od mięsistej czerni do jaśniejszej bieli.

*Jesteś pewna? Jesteś pewna, że to właśnie on? Bo jeśli jesteś pewna, to dobrze. Tylko silne uczucia wyzwalają moc energii. Budzą do życia.*

Głos odezwał się obok. Gdzie? Obok. Blisko. Szeptął. Wyraźnie. Szeptanie dociera do prawdy łatwiej niż krzyk. Tak.

— Słucham?

Spojrzałam wokół. Benny spała zdrowym snem zmęczonej fizyczną pracą kobiety. Pochrapywała. Oprócz nas w pokoju nic było nikogo. Nikogo. Pastelowe ściany, górski lanszaft, dwa pojedyncze łóżka, okolicznościowy stolik. Stojąca lampa. Zapalona. Ścienna szafa zalatująca

stęchlizną. Zerknęłam spod półprzymkniętych powiek. Zdawało mi się? Czy mi się zdawało? Otwarte drzwi do łazienki. Czy ktoś płata mi głupie figle?

*Emocje, które sprawiają, że możesz wnikać w siebie. Zrozumieć. Iść właściwą drogą.*

Szeptanie nie ustawało. Dobiegało z tyłu, z przodu, z boku. Było wszędzie. Było w mojej głowie, w ścianach, w niedowierzaniu, które wypełniło pokój.

*Są obszary niezbadane. Nauka jeszcze do nich nie dotarła. Kruchy lód nie zniesie ciężaru grubych buciorów. Tak to już jest.*

— Dach? — podeszłam do otwartego, mansardowego okna, wyjrzałam na zewnątrz. Lśniaca blacha była pusta. W środku nocy. Nikogo. Na dachu także nikogo nie było. Takie rzeczy się nie zdarzają.

*Trzeba jednak mieć świadomość, że największą siłą miłości jest umiejętność zadawania ciosów. Kiedy nikt się nie spodziewa. Zwłaszcza wtedy.*

- Mam halucynacje - stwierdziłam.

Jestem wariatką, wariatką jestem, czeka mnie biały kaptan, psychiatryk, karmienie przez rurkę. Zastrzyki. Elektrowstrząsy. Czy stosuje się jeszcze elektrowstrząsy? Tylko nie to!

Objawy choroby, która pojawia się bez uprzedzenia, bez powolnego ciurkania, z grubej, tłustej rury! Dlaczego? Dlatego. Stany lękowe u osobników niezrównoważonych psychicznie, których należy przebadać, zdiagnozować. Kartę choroby wypełnić. Zamknąć. Na klucz, za kratami, w pokojach bez klamek. Aż do zapomnienia.

*Miłość i ból są nierozłączne. Trzeba mieć tego świadomość.*

Stałam na wytartym dywanie nieokreślonego koloru. Boso. Czulałam krople potu, które spływały mi po twarzy,

po brodzie, między piersiami. Szczypiące. Swędziała mnie skóra, piekły oczy. Trzeba pozapalać wszystkie światła, przegnać wszystkie cienie! Żadnych tajemnic! Żadnych niespodzianek! Czułam drętwienie warg i palców, niedługo zdrętwieją mi mózg i serce. Trzeba zmusić się do działania. Ruszyć ręką, nogą. Nie mogłam. Nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą. Na pewno.

*Jesteś silna i mądra. Na pewno sobie poradzisz. Witaj, dziewczyno.*

- J e s t t u k t o ?

Głos wyszarpnął się z gardła, chropawy. Zawisł w niemym oczekiwaniu na odpowiedź, która oczywiście nie nadeszła. Jest tu kto? Witaj, dziewczyno? Silna i mądra? Silna i mądra jestem?

Stałam obok łóżka dla personelu, rozglądałam się dookoła. Bezradna. Przyciskałam zaciśnięte dłonie do klatki piersiowej. Jest tu kto? Nikogo nie widzę. Gdzieś pohukiwała sowa, Benny chrapała coraz głośniej. Na stoliku leżała opróżniona butelka po szampanie. W kątach walały się pogniecione puszki po piwie. Osuszone do ostatniej kropli. Piłyśmy. Tak. Wieczorem piłyśmy szampana. Później poprawiłyśmy piwem. Za nowe rozdanie, za spełnienie marzeń.

A jeśli to wszystko jest tylko pijackim wyobrazeniem zniekształconej rzeczywistości? Zbyt głośny śmiech i niekontrolowane beknięcia. Piskliwe chichoty i świńskie kawały. Jeszcze i jeszcze! I ha, ha, ha, bo Benny właśnie czknęła głośno, co jest, cholera jasna! Kwaśny smak po części przetrawionego alkoholu w ustach. Obrzydliwość! Plastikowe kubki zamiast przyzwoitych szklanych kieliszków. Russkoje z bąbelkami, wino musujące, sześć piędzie-

sią za butelkę. Nawet nie było porządnie schłodzone. Kara za grzech braku umiejętności picia. I tyle.

Oddychałam gwałtownie, czułam przyspieszone bicie serca. Co tu jest grane, co tu jest grane, jasny szlag! Nikt jeszcze nie opisał drogi po drugiej stronie strachu.

*Strachu nie ma. To tylko lęk przed nieznanym. Pokonasz go. Tyle przed tobą do zrobienia.*

Wydawało mi się? Czy mi się wydawało?

*Każda chwila jest bezcenna. Nie wolno marnować czasu.*

Szept, który docierał do każdej komórki ciała. Wcisnął się w każdy por. Uprzykrzony. Obcy. Czy był wynikiem wieczornej popijawy, czy magicznym życzeniem nieokreślonej siły? Przestrzeń, w której coś wirowało. Jak szemrzący pomruk wodospadu. Na krawędzi urwiska. Obcy głos, który brzmiał zdecydowanym akordem i niskimi tonami. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że należy do mojej prababki. Prababki Augusty. I niech jej ziemia ciężką będzie.

## Rozdział 9

Duchów nie ma. Seanse spirytystyczne wyszły z mody. Satelity nie przesyłają żadnych informacji o życiu w zaświatach. Pusto. Bezbożnie. Anieli diabli wzięli. Tylko usługi



wróźbiarskie są w cenie i w rankingu popularności idą coraz bardziej w górę. Przyjedź, sprawdź, wybierz. Wrózenie z kart, z fusów, z ręki, przepowiadanie przyszłości, odkrywanie przeznaczenia. Odnajdywanie zaginionych osób. I rzeczy. A jakże! Zniżki dla firm.

- Jeśli chodzi o prababkę, to wszystko może się zdarzyć... - Matka zamyśla się, stare dzieje, dawno temu, daleko stąd...

Tak zaczynają się baśnie, tak zaczyna się baśń o mojej prababce, która jest zresztą krótka i treściwa. Upływ czasu zatarł poszczególne wątki, pogubiły się pamiątki, fotografie, dokumenty, pamiętniki. A później była wojna, najbliżsi zginęli, zabrali ze sobą wspomnienia. Do grobów. Pozostały tylko niewyraźne strzępy.

Oglądamy stare zdjęcia. Nieznane twarze, zapomniani krewni. Kto to jest, gdzie to jest? Prababki nie widać.

- Nie lubiła się fotografować — wyjaśnia matka. — Jej najlepszą fotografię oddałam tobie. Inne gdzieś się zawieruszyły. Żebyś zobaczyła, jak bardzo jesteś do niej podobna.

Podobna? Moja piękna, elegancka prababka. W białej jedwabnej sukni albo w wizytowej sukience z błękitnej mory, ozdobne boa z ptasich piórek, które drżą przy każdym oddechu.

- To jest jej pierwszy mąż, a twój pradziadek. Czyli mój dziadek. Zmarł tragicznie. Przejechał go pociąg. Zupełnie go nie pamiętam.

Z czarno-białej fotografii spogląda na nas przystojny mężczyzna z monoklem w prawym oku.

- To drugi mąż. Bogaty bankier. Znienawidzony przez całą rodzinę za zarozumiałstwo i zbytnią pewność siebie. Był nie do zniesienia. Pamiętam doskonale.

Matka podsuwa zdjęcie, z którego patrzy w obiektyw starszy pan. Gruby, łysy, ma duże odstające uszy, krótką szyję i uśmiech. Sztuczny i nieprzyjemny.

- Także zginął tragicznie?

- No cóż... Zmarł na zatrucie pokarmowe. Kilka lat po ślubie. I możesz mi wierzyć, nikt go nie żałował.

- Prababka też nie?

- Skąd mogę wiedzieć. Nie przypominam sobie, żeby długo nosiła po nim żałobę.

- A to kto?

- A to trzeci mąż. Którego jednak nie znałam. Po śmierci bankiera babka wyjechała z kraju, dużo podróżowała, miała posiadłość w Indiach, w Ameryce, tam wyszła za mąż.

- Za kogo?

- Nie wiem. Mówiło się różne rzeczy. Skandale, dziwne interesy, dużo pieniędzy. Ona sama o niczym nas nie informowała. Listy przychodziły rzadko i były o niczym.

- Więc skąd wiesz?

- Świat był jednak mały. Pewnie nie tak mały jak teraz, ale jednak. Trochę się słyszało, ludzie bywali tu, tam, obserwowali, gadali, powtarzali. Jak to ludzie.

- Przystojny?

- Tak. Przystojny. Przystojny i bogaty.

- A jednak...

- A jednak...

Dochodziły czasem plotki, kilka notatek w gazetach, sensacje. Niepotwierdzone, wymyślone, złośliwe. Ludzie przecież zazdroszczą tym, którym się powodzi. Mojej prababce powodziło się doskonale.

- Była ozdobą każdego towarzystwa.

Śliczna twarz, wdzięczne ruchy, gibka postać. Nie-spełnione marzenie.

- Była obiektem adoracji i westchnień.

Kapelusze. Woalki. Bukiety kwiatów. Wachlarze. Zmysłowa twarz obsypana fiołkowym pudrem. Albo srebrnym. Pachnące dłonie. Wyraziste oczy. *Czy mógłbym panią namalować?* Ach. *Czy mógłbym zadedykować pani wiersz?* O miłości. Oczywiście. O miłości. Dla miłości. Tylko to się liczy. *Chciałbym panią porwać!* Na zawsze i na kraj świata.

*Duma. Duma i upór. Zdecydowane działanie. Wszystko jest do osiągnięcia, dziewczyno. Wszystko jest do osiągnięcia. Trzeba tylko chcieć.*

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Widzę potargane włosy, sińce pod oczami, ostatnio nie sypiam dobrze. Nie mam wypielęgnowanych dłoni. Moje ręce wydzielają zapach kulinariów. Nie używam zmysłowych perfum. Co najwyżej dezodorant dla mężczyzn. Noszę wytarte dżinsy i sama jeszcze nie wiem, czego chcę. Czego chcę?

- A ten obraz w muzeum...

- Nie wiem, o który chodzi. Malowało ją wielu malarzy. Wielbiło wielu artystów. Adorowali wszyscy.

Piękna, szeleszcząca, elegancka. Kilka kart zacienionej przeszłości. Stary dworek z gontowym dachem, niewielki ganeczek, oszklona weranda. W środku kaflowe piecisko, skrzypiące podłogi. Na białych ścianach wisiały obrazy w złoconych ramach, przodkowie, pejzaże, martwe natury. Ciemne tła, nasycone kolory i połysk werniksu. I prababka Augusta... Smukła, wiotka, dystygowana. Ekstrawagancka i nieobliczalna. Tyle dziwnych rzeczy działo się wokół niej.

- Wszystko spłonęło. W czasie wojny. Wszystko spłonęło. I tamten dom, i mieszkanie na Lipowej. Szkoda.

- Co takiego różniło ją od innych? Dlaczego uważano ją za czarownicę?

Matka wzdycha. Niełatwo wyjaśnić przypuszczenia, wątpliwości, kłamstwa i oszczerstwa.

- Uroda, która zdawała się nie przemijać. Inteligencja, która zawsze ją wyróżniała. Umiejętność komunikowania się z każdym. I na każdy temat. Wpływ na innych. Zdolności. Zdrowie. I fizyczna sprawność.

- Kiedyś przecież umarła.

- Ach, tak. Umarła. Podobno. Aż się nie chce wierzyć.

Na obrazie w muzeum malarz ukazał prababkę szykującą się na bal. Miała jasną toaletę, czerwone kwiaty przypięte do sukni, wysoko upięte włosy. Nie pamiętasz? Matka nie pamięta. Prababka była bohaterką tylu portretów. Wiele z nich znalazło się w kolekcjach muzeów albo w prywatnych zbiorach. Kto to wie...

*Magia jest w każdym z nas. Niektórzy mogą ją odkryć i jej użyć. Jeśli nie zmarnują swoich szans.*

- Włosy miała spięte siateczką z brylancikami. Masz taką samą. Pewnie ją odziedziczyłaś...

- Tak. Odziedziczyłam po niej kilka rzeczy. Ale nic trwałego. Została tylko ta siateczka. Piękna, prawda? - Matka zamyka oczy. - Czasami mi jej brakuje - mówi, obraca w palcach kieliszek z białym winem, które ma zwyczaj pić zawsze po południu. Uśmiecha się. Klepie mnie po ręce. - Dzisiaj nie ma już takich kobiet jak ona.

Jakich? Jakich kobiet nie ma? Takich... magicznych?

- Byłam jej ulubioną wnuczką. A jednak się nie udało. Niczego magicznego po niej nie odziedziczyłam.

- Skąd wiesz?
- Wiem. I chyba żałuję. Ale ty...

W głosie matki pobrzmiewa tęsknota. Jak odległe fragmenty gwiazdnych dróg i beczasowych połączeń. Pył. Ale ja?

- Jeśli jesteś predysponowana, nie zmarnuj tego. Magia jest rzadkością i trzeba dać jej szansę.

Jakbym słyszała głos babki. Doprawdy!

★

- Och, Zuzo! Wyleczyłam się. Już się zupełnie wyleczyłam. Wyleczyłam się z tego dupka. Niech sobie nie dzwoni, nie myśli i niech nie dzwoni, i nie myśli już więcej. Koniec. Kropka. Rozdział zamknięty. Szlus!

Benny patrzy rozpromieniona. Włosy ufarbowała na zielono, jak szaleć, to szaleć, kolor blond nie zdał przecież egzaminu. Ma na sobie spodnie khaki, buty na niskim obcasie i obcisły top, który eksponuje piersi, pełne i kształtne. Och! Aż się proszą, żeby je przygarnęła jakaś silna, męska dłoń.

- Było, minęło, przystojny brunet okazał się nikim. Mam nadzieję, że nie wróci. Przychodził, jak chciał, odchodził, jak chciał, dzwonił, jak mu było wygodnie. Najwidoczniej nie był zainteresowany. Teraz ja straciłam zainteresowanie. Mam go w tyłku. Głęboko.

- I tak ci dopomóż.
- I tak mi dopomóż. Amen.

Siedzimy na tarasie nadrzecznego baru, pijemy brandy, wiosna pyszni się w całej okazałości, po zimie nie ma najmniejszego śladu. Jesteśmy w lekkich ubraniach, Benny i ja. Swetry, getry i co tam jeszcze poszły do lamusa

w przepastnych szafach. Zielona Benny rozgląda się dookoła, cała jest zwiewna, powiewna, uśmiechnięta i bardzo szczęśliwa. Ten świat tak zmyślnie urządzony, dobry Bóg stworzył dzieło na miarę twórczych możliwości, tu eksplodował, tam dał początek, a ówdzie rozrzucił. A i o mężczyźnie pomyślał, nieodzownym dodatku kobiecości. Dnia szóstego.

- Ma na imię Rafał. Metr osiemdziesiąt cztery wzrostu, szatyn, brązowe oczy i mieszka niedaleko mnie. Inżynier informatyk, stała praca, kawaler. Dwadzieścia osiem lat. I niezłe zarobki.

Benny opisuje wybranka, którego po bożemu dodano do jej pełnych oczekiwania dni i spełnionych nocy.

- Młodszy? Tak, młodszy. Nie szkodzi. Szczupły, w okularach.

Wszystko pulsuje w naczyniach połączonych, jeśli ja, to i on, cząstki elementarne posklecane w atomy wodoru, który stanowi teraz dziewięćdziesiąt procent materii wszechświata, wschody i zachody, gwiazdy i galaktyki. Piękne. Piękne.

- Zakochałaś się?

- Och, Zuza! Od razu zakochałaś. Nie zakochałam. Na razie dobrze nam ze sobą. Widujemy się codziennie. Chodzimy razem na kolacje. Czasami on zostaje u mnie na noc. Albo ja u niego.

- Ostrożna?

- Bardzo ostrożna.

- Nie mieszkacie razem?

- Jeszcze nie. Bywamy u siebie.

- Często?

- Wystarczająco często.

- Zmysłowo?
- Zmysłowo.
- I coś planujecie?
- Może. Prawdopodobnie. Będziemy ze sobą. To tylko

kwestia czasu.

- I jesteś szczęśliwa - stwierdzam.

Bo przecież widać. Znam Benny od lat. Od niefrasobliwych chichotów, od młodocianych zwierzeń. Pierwsza praca, pierwsza pensja, pieniędzy nigdy za dużo, ale na kawę i ciastko w muzealnej kafejce wystarczy. Pomimo... Zawsze jest jakieś pomimo. Pomimo różnicy zdań, zainteresowań, temperamentów, gustów. Gorzkie migdały w słodkiej czekoladowej polewie. Ale umiemy też trzymać się za ręce, zagwizdać wspólnie skoczną melodię, iść razem do kina. Upić się. W potrzebie. I kiedy coś się dzieje.

- A co u ciebie?
- Nie wiem. Coś się dzieje — szepczę.

Ledwo, ledwo. Żeby nie przestraszyć. Niepokój tylko czeka, żeby zająć dominującą pozycję. Jest czarny, mięsisty. I ma wielkie oczy.

- Coś się dzieje - powtarzam.

Bo przecież coś się dzieje, zjawiska trudne do zidentyfikowania. Może niepotrzebnie się zwierzam, mam być silna i mądra. Samowystarczalna.

- A co ma się dziać? - Benny wrusza ramionami, nic złego dziać się nie może, wszystko jest pod kontrolą, system informatyczny funkcjonuje prawidłowo, odległości wyznaczone w przestrzeni, matematycznie obliczone, jednostka astronomiczna, rok świetlny, parsek. I Rafał, który ze wszystkim sobie poradzi.

- Rafał interesuje się astronomią?

- Och, Rafał interesuje się astrofizyką, energetyką, cybernetyką, ekologią, wszystkim, wszystkim. Świat jest taki prosty. Zuza! Dlaczego tego nie widziałam?

Świat jest prosty. Całkowity, wymierny. Rafał i Benny. Benny i Rafał. Związek mężczyzny i kobiety z odzysku. Dwie głowy, cztery ręce, czterdzieści palców chwytnych i zręcznych. Jeden penis. Jedna wagina. Odpowiednia liczba przydatnych otworów. Nie ma miejsca na niewiadome. Trzeba myśleć racjonalnie i na przyszłość. Lepiej mieszkać razem niż osobno. Zarobki i wydatki połączyć. Zrobić wspólne zakupy, czasami pójść do teatru. W czerwieni. W błękicie. W przyszłości.

- Prosty świat. Zabliźnione rany. Nic nie jest skomplikowane. Wyobrażasz sobie, że można tak żyć?

- Och, Benny. Czy sobie wyobrażam?

- Stabilizacja, dni bez niespodzianek. Zuza? Co się dzieje?

- Nie wszystko da się policzyć i racjonalnie wyjaśnić - oponuję. - Naprawdę coś się dzieje, Benny, sama nie wiem...

- Naprawdę coś się dzieje? - Benny ściąga usta w krzywym grymasie. I co to znaczy, może trzeba pożyczyć pieniądze, podżyrować pożyczkę, przenocować, okłamać, oszukać?

- W co się wplątałaś?

- W nic się nie wplątałam. Posłuchaj, no właśnie... ja... ta sytuacja...

Sytuacja, w której się znalazłam... Głos, który słyszę... Coraz częściej, stąd, stamtąd, z głowy, z okolic. Który szepcze, wnika, przenika. Mózg, myśli. Pragnienia. Ja czy nie ja? Siła imaginacji? Szukam argumentów, które przemawiałyby



na korzyść myślenia. Mojego racjonalnego myślenia. Wariatka. Szalona. Zaburzenia depresyjne stanowią od dwudziestu do trzydziestu procent przypadków wykrywanych przez medycynę. Większość nigdy nie jest diagnozowana ani leczona. Do której grupy procentowej należę? Czy do tej oznaczonej mianem *większość*?

- A jak sypiasz? Nie cierpisz czasem na bezsenność?
- Czasami trudno mi zasnąć.
- Czasami trudno ci zasnąć. - Benny oddech z ulgą.

Wszystko się wyjaśniło. Zaburzenia związane z trudnością z zasypianiem, kontynuowaniem snu, zbyt wczesnym budzeniem się. W cywilizacji pośpiechu to zjawisko jest znane i łatwe do zdiagnozowania. Przyczyny psychiczne lub somatyczne. Każdemu może się zdarzyć.

- Nic łatwiejszego.

Nie ma nic łatwiejszego, jak zaradzić bezsenności. Benny wie. Zawsze przecież śpi głęboko i bez koszmarów. Otula się ciepłą kołdrą, wypija wieczorem szklankę ciepłego mleka, zamyka oczy. Nie musi liczyć baranów. Jeden, dwa, dziesięć, tysiąc. Łatwe?

Nie. Nic nie jest łatwe. I dlaczego ten głos do mnie mówi? Czy jestem tą, która słyszy głosy? Głos mojej prababki, która podobno nie żyje już od... ilu lat? Na starej fotografii prababka zdaje się żyć własnym życiem. Czuję na sobie jej bystre spojrzenie, aprobatę, zniecierpliwienie, ciekawość, co chcesz mi powiedzieć, co tam szepcesz, babciu? Bo przecież coś chcesz mi przekazać? I jak to możliwe? Kiedyś niecierpliwie poruszyła palcami. Zdawało mi się? Ma długie, szczupłe palce pianistki. Piękne dłonie. Stoi wyprostowana, sztywna. Wyniosła? Nie, nie, zdawało mi się. Wiem. Ona też wie.

— To może tabletki? — Benny klaszcze zadowolona.

Tak, tak, trzeba zwiększyć ilość uwalnianej w organizmie melatoniny, nie pić przed snem kawy ani mocnej herbaty. Za dużo nie pić.

— Nie pijesz za dużo, prawda? - pyta Benny, przeczesując włosy palcami. Podnosi kieliszek wódki, *na zdrowie!*

W toastach żyje się przecież lepiej, w chmurze alkoholu odpływają troski. Upierdliwe niczym roje meszek.

Paznokcie Benny też są pomalowane na zielono, soczysta trawa w letni, bezchmurny dzień.

— Rafał lubi zielony kolor?

— Och. Tak. Skąd wiesz?

— Bo wiem wszystko.

Każde rozwiązanie niesie ze sobą ryzyko udręki. Myśli niepokładane, krople niepokoju. Słońce, które zajdzie za wielką górą i nigdy już nie wzejdzie, i ciemność nastanie na wieki. Sekrety, którymi nie mogę się podzielić. Żeby nie obarczać. Nie obwiniać. Nie wracać. Ale przecież dziękuję za przyjaźń, za lojalność, za oddanie. Wspólne tajemnice, szeptanie pod jednym kocem, tylko nikomu nie mów, nie zdradź, nie odchodź. Bądź. Och, Benny! Moja przyjaciółko.

— A może to samotność?

- Co?

— Samotność. Może to samotność?

— Nie czuję się samotna.

— Bezsensowność z samotności. Ciągłe zdenerwowanie? Irytacja? Singlowi łatwo nie jest. Na pewno nie.

Benny wie to z autopsji. Obawa przed utratą świadomego postrzegania świata. Przeczucie pewne jak

nieuchronność przemijania. Spacer w wysokich szpilkach po skalistym zboczach. Wszystko bez ładu i składu, początek zamazany w nieokreślonej mgłę, gdzie przecinki, gdzie kropki? I co będzie? Chaos?

— Albo zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Żeby to było takie proste! Napięcie emocjonalne, napięcie mięśniowe, przyspieszone bicie serca, przyszłość uwarunkowana słowami *może, kiedyś, jakoś*. Może będzie dobrze? Kiedyś wszystko się ułoży. Jakoś to będzie. Czas mija powoli odmierzany sączeniem wysokoprocentowego trunku.

— Myślisz o nim czasem? - pyta Benny, spogląda spod oka. W uszach ma niewielkie, dyskretne kolczyki. Także zielonego koloru.

Czy myślę o nim? Też mi coś! Wzruszam ramionami. Dotyk palców na skórze, pospieszne pocałunki, śmieszne sny. Zmęczenie, przyrodzenie, erotyczny śmiech i zielone jabłka. Odeszło, jakby nigdy nie było. Ślady zatarłam, podłogę wypastowałam. W miejscu, gdzie kiedyś istniał, nie zostało nic. Jest pusto i ciemno. Czysto. Wymiotłam przeciw wszystkim okruchy ułudy i wierutnych kłamstw. Nie dam się! Takiego wała!

— Benny, nie żartuj. Dominik to przeszłość zamknięta na cztery spusty. Klucz wyrzuciłam do rzeki. Nigdy go nie znajdę.

— Na pewno?

— Spójrz na mnie. Czy wyglądam na głupią?

— Nie wyglądasz. Ale u kobiety włos długi, a rozum krótki. Wygląd nie świadczy o mądrości.

— Dziękuję. Za wiarę w człowieka i za miłe słowa.

- Zuza, nie ma sprawy. Ja tylko mówię, że miłość jest ślepa, bezrozumna i nie można jej ufać. Dlatego trzeba wiedzieć, z kim można się związać, a z kim nie.

- Uczył Marcin Marcina, a sam głupi jak świnia. Już się wyleczyłam. I zamierzam chuchać na zimne. W przyszłości.

W przyszłości? Mrugam i patrzę przed siebie. Co tam widać na horyzoncie? To czerwone słońce zachodzi w granatowej ciemności nocy. Księżyc już się czai, żeby zająć stosowne mu miejsce, mruczy stary niedźwiedź.

- A jeśli spotkasz go kiedyś?

Jeśli spotkam? Benny czeka na odpowiedź. Zamówiliśmy właśnie drugą kolejkę brandy, niech się dzieje. Kelner postawił na stoliku miseczkę ze słonymi orzeszkami. Uśmiechnął się. Co będzie? Jeśli spotkam?

- Jeśli go spotkam... to będzie najgorszy dzień w jego życiu. Możesz mi wierzyć. Pożałuje, że się urodził.

- Och? — Benny otwiera okragłe, zdumione usteczka.

Och? Tak? A co się stanie?

- Spokojnie. Nie spotkam go.

- Och? - powtarza Benny. - Na pewno?

Na pewno.

- Nigdy nie mów nigdy.

Na pewno. Nigdy go już nie zobaczę. Życie nie jest aż tak okrutne. Prawda, Benny?

## Rozdział 10

Zobaczyłam go dwa tygodnie później. W supermarkecie, w północnej części miasta. Obok kobiety w zaawansowanej ciąży, która z wielkim zaangażowaniem wybierała dziecięce tekstylia. Śpioszki, pajacyki, fartuszki, śliniaczki. *Spójrz jakie śliczne! Och, och! Jakie maleńkie stopki, jakie cudne rękawki! I te szlaczki! I kwiatki! Biedroneczki w kropeczki!* Stał oparty o ścianę. Patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. Nic się nie zmienił. Czy tylko moja ocena była inna, zrównoważona, obojętna? Dominik. Oto Dominik. Mąż. Były kochanek. Człowiek. Wysoki. Kilka zbędnych kilogramów, szyja nieco przykrótka, nogi trochę krzywe, włosów jak zwykle za dużo, nieuczesane, chyba od dawna niemyte, zarost kilkudniowy, ubranie zmięte, zmęczone. Jak właściciel.

Dostrzegł mnie. Drgnął. No proszę! On także mnie dostrzegł. Zamrugął. Jakby speszony. Umknął wzrokiem. Wrócił. Spróbował się uśmiechnąć. Ty? Ty? Ja? Kiedyś byliśmy *my*. Kiedy to było? Szare oczy, które świeciły dla mnie tęczą wielu kolorów. Jeszcze niedawno. Gdzieś. W innym bycie. Dłonie. W epoce nadziei i porozumienia. Usta i pocałunki. Prężne, długie, wilgotne. Stała penetracja. Nienasycenie.

A teraz co?

Nieprzewidywalne skutki spotkania. Przypadkowego spotkania, w świecie, w którym przypadkowości nic ma, bo

wszystko jest z góry zaplanowane, do niebieskiej furty tędy, tędy do piekielnych wrót, co komu sądzone, co sądzone komu, na prawo, na lewo, prosto i do góry. Panie, panowie. Dominiku?

Kobieta w ciąży dokonała już wyboru dziecięcych ciuzków, pięć T-shirtów w kolorze landrynek, pięć pastelowych śpioszków z napisami od *I love you* do *Mummy's here*, niezliczona ilość filigranowych skarpetek, szydełkowych bucików, obfitych majtasów z gumką przy nogawce.

Dominiku?

Bezdźwięczne słowa mają czasem większą siłę, aniżeli słowa artykułowane głośno i dobitnie. Wyraziste spojrzenia mają czasem głębsze znaczenie aniżeli sprawcze słowa. Imitacja uśmiechu wyraża czasem więcej aniżeli pełen uśmiech.

Zuzanno!

Obserwowałam go z analityczną drobiazgowością. Zdaje się, że jego skóra pod oczami zwiotczała trochę, oczy straciły blask, pogmatwane kędziory wydawały się być już mniej pogmatwane, sterczały niechlujnie we wszystkich kierunkach, w ciemnym brązie widać było srebrne nitki wieku i zmartwień. Postarzałeś się, chłopie? Chyba się postarzałeś! Pamiętałam tamten urok, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Kiedy to było? Pięć miesięcy temu? Pięć tysięcy lat temu? Pięć wszech czasów temu? W okolicy żołądka poczułam chłód. Serce biło miarowo. Umysł pracował jasno. Obserwacja nasuwała konkluzję. Oto on! Sprzedawczyk, złodziej i kłamca. Drobnoziarniste oszustwa, które prowadzą do oszustw gruboziarnistych, a później do przekrętów tak wielkich, że nikt ich nie widzi. Niech mu kara lekką będzie!

Kobieta w ciąży usiadła w skórzanym foteliku, który sprawna obsługa sklepu postawiła w dziale dla przyszłych matek dla ich wygody. Fotelik jednak nie był wygodny, był za mały i za ciasny. Nie nadawał się dla ciężarnych niedługo przed porodem. Ze spuchniętymi nogami, w pozycji wymuszonej ciężarem dojrzałego brzucha. Z linią bioder, która łukiem wyzierała na zewnątrz, niczym pełne naczynie. Pachniało owocami.

Dominik stał za żoną bez ruchu. Wpatrywał się. We mnie.

Czy mogę? Proszę? Chociaż raz?

Gwar, który wypełniał sklep, ucichł. Jakby ktoś zasunął grubą kotarę, tutaj nie wolno wchodzić, tutaj dobija się ważnej transakcji, nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Szlaban!

Czy mogę? Proszę? Jeden raz?

Myśli niczym szmer. Zaproszenie niczym nieuzasadnione. Możesz? Odważysz się? Obiecujesz? Wiesz? Tyle nas kiedyś łączyło. Ile? Jak długo? Jak mocno? Na zawsze? Rzeka skojarzeń, pragnień, wspomnień płynęła szybko, coraz szybciej. W każdym z nas?

\*

Kiedy tamtego popołudnia wróciłam do domu, prababka ze zdjęcia powitała mnie jednym ze swoich najbardziej urokliwych uśmiechów. Zmysłowym, znaczącym, choć co miał znaczyć, tego jeszcze nie wiedziałam.

*Kochasz go jeszcze?*

- Nie kocham.

*A jednak tkwi w tobie niczym zadra, co?*

- Ależ babciu!

*Zadrę trzeba wyjąć jak najprędzej. Jeśli jej nie usuniesz, może wdać się gangrena. Uwierz mi, dziewczyno!*

- Jak? Chcesz mi coś powiedzieć? Co wiesz? Czego ja nie wiem?

*Wyjąć. Połamać. Wyrzucić. Na zawsze. I bez powrotu.*

- Zniszczyć?

*Zniszczyć. Bez skrupułów. Oczywiście. Zemsta smakuje słodko i dodaje sił. Musisz być silna, dziewczyno.*

- Jak można zniszczyć człowieka?

Był siedemnasty maja. Wiosna taka sama jak co roku, a jednak zupełnie inna. Cienista aleja Fragonarda. Domyślność kolorów i niedostatek linii. Żeby tak móc pójść wzdłuż, zniknąć tam, gdzie za drzewami jaśniej niezbadała przestrzeń.

- Babciu! Jak można zniszczyć człowieka?!

Prababka nie odpowiedziała.

\*

Jakie to proste. Jeden telefon. Jedno *tak*. I los zdaje się być przypieczętowany. Na dobre. Lub na złe. Niezbadane są wyroki Sądu Najpotężniejszego. Czuję pewność siebie, spojrzeniem sięgam daleko, wyczuwam gorycz porażki, uniesienie nadziei. Doceniam mądrość alchemika i cwa-  
niactwo tysiącleci.

*Rzeka doświadczeń. Własnych, cudzych. Tak trzymaj, dziewczyno. Tak trzymaj. I idź przed siebie.*

Cichy głos szemrze w mojej głowie, czy to znowu ty, babciu? Tym razem chyba mi to tak nie przeszkadza. Po-  
łyskliwe włosy, niczym srebro ikony, okalają moją twarz.



*Jesteś piękna, dziewczyno. Jesteś bardzo piękna.*

Sięgają ramion, odpoczywają na barkach, mrocznieją jak bezksiężycowa noc. Przeczesaują je palcami. Mam długie palce, które są wrażliwe i delikatne.

*Masz moje dłonie, dziewczyno. Masz moje dłonie. Silne. Dłonie, które nigdy nie puszczą tego, co do nich należy.*

Dłonie mocne i nawykłe do pracy. Wszystkiego po równo. Jestem. Czekam. Trwam. Niejako w bezruchu. Cierpliwie.

Dominik przychodzi po południu. W rękę trzyma kosz kwiatów. Czerwonych. Begonie? Pelargonie? Staje w progu. Patrzy. Milczy. Och!

Naga.

Staję przed nim naga. Niczym posąg. Daleki. Bliski. Dościgły. Niedościgły. Moje ciało mieni się wszystkimi kolorami kobiecości. Utkane jest niemi pożądania. Narysowane smukłymi, secesyjnymi liniami. Lekko i zwiewnie. Jak mgła. Jak marzenie. Jestem kwiatem, ptakiem albo ornamentem malarskiej wyobraźni. *Nie mogę bez ciebie żyć*, Dominik sięga po moją talię, moje biodra, ramiona, przyciąga mnie do siebie. Szept pełen tęsknoty za gibkością ciała, niespiesznymi ruchami, za muzyką, która zawsze nas otacza.

Też... Jestem też wilgotną samicą, na widok której samiec tylko się ślini i sapie. Mój samiec ślini się i posapuje. Na czole połyskują kropelki potu, w kroku spodni pojawia się wybrzuszenie. Pełna erekcja i obietnica. Na moich piersiach lśni naszyjnik z łoż. Tylko ja wiem, że są to łoży rozpacz. Odbijają się w nich uroda, bogactwo, ubóstwo, moje wszystko. Cały świat wydaje się być zamknięty w zmarzniętych kropkach żalu i śmierci. Cały mój świat. Och! Lekki szmer, niczym muśnięcie zapachu jaśminu. I tylko tyle.

Tego wieczoru rozpoczynamy nasz romans. Będzie trwał sto siedem dni, ale tylko dwadzieścia dziewięć z nich będzie odpowiadało definicji romansu. Dwadzieścia dziewięć dni typowego, oszukańczego romansu, w którym Dominik wykaże się ogromną pomysłowością. Oszustwa, kłamstwa, przemilczenia. *Nie mogę być na kolacji, kochanie. Wybacz, spóźnię się dzisiaj. Też żałuję, kochanie. Przyjadę później.* Jakie to wygodne. Będę obserwować pokrętne wybiegi, najlepszy powieściopisarz nie powstydziliby się tak różnorodnych pomysłów. Wyjazdy w delegacje krajowe i zagraniczne, niespodziewane pogrzeby kolegów po fachu, śmiertelne i długotrwałe choroby serdecznych przyjaciół, odwiedziny u matki staruszki, wypadki samochodowe, zatrucia pokarmowe, zaniki pamięci, kace giganty.

- I co? Ona w to wszystko wierzy?

- Wierzy, nie wierzy, to nie ma znaczenia. Liczymy się tylko my. Tylko my. Kocham, pragnę, chcę, jeszcze raz i jeszcze...

Jego zmysłowość pobudza moje zmysły, jego seksualne zaangażowanie wzmacnia mój popęd.

Niechlujny, wulgarny, wąskie spodnie opinają pośladki, ma to być bardzo śmiałe opinanie. Z pośpiechem ściąga je kilka razy dziennie. *Dotknij mnie, dotknij, ściśnij, potrzyмай, weź.* Prosi. Romantyczny. Wydaje mu się, że ma w sobie coś z maga, z energicznego rozmachu Delacroix, jest pełen patosu, czuję wokół niego poryw wiatru i rozmarzenie natchnionego poety. *Czy to jest miłość? Czy to jest przeznaczenie? Czy to jest sen?* Jest też próżny. Nosi buty na niewielkim

obcasie, które sprawiają, że wydaje się być wyższy niż w rzeczywistości, taki sztuczny wzrost, sztuczna gibkość. Dziwaczny, powierzchowny. I zakochany po uszy.

- Jesteś piękna! Niesamowita! Niepowtarzalna! - Wpatruje się we mnie zachwycony.

Nie wie, że powstałam z ziemi, z wiatru, z soli, a także z bólu, z cierpienia i z dojrzałej mądrości. Rozczesuje moje włosy, ciężkie jak węgiel zgromadzony na opał i migotliwe jak rwąca rzeka w lecie. Obejmuje mnie i uważa, że wszystko jest jak dawniej, nic się nie zmieniło, nie przeżyło, nie zmroziło. Naiwny i zadufany w sobie. Mężczyzna.

★

Czy żona Dominika wierzyła w te niekończące się opowieści? *Tak, tak, skarbie, muszę się spieszyć, wiem, wiem, ależ, ależ, mam huk roboty, wrócę jak tylko... oczywiście, ja ciebie też. Ja ciebie też.* A dlaczego miała nie wierzyć? Dziewięćdziesiąt procent żon lub stałych partnerek nie wie, że jest zdradzana, oszukiwana, okłamywana. I już. Przecież przyrzekał. I że cię nie opuszczę. I tak mi dopomóż. Czy ja, w swoim czasie, nie należałam do owej procentowej większości? Czy nie wierzyłam, że Dominik jest niepowtarzalny, upragniony, tkliwy i mój? Tylko mój? Zawsze mój? *Jesteśmy sobie przeznaczeni. Prawda? Prawda? Prawda, Dominiku? Misiaczk, słyszysz mnie? Kocie, zamrucz jeszcze. Przytul, weź, pomóż, połóż, podaj, sięgnij. W dowód największej intymności regularnie prałam jego brudne gacie i śmierdzące skarpetki, w niedzielę gotowałam ulubione potrawy, *buraczki czy marchewkę, kochanie?* Na stole stawiałam kolorowe kwiaty, żeby było przyjemnie i pachnąco. A w ubikacji*

opuszczałam deskę, która po użytkowaniu Dominika na ogół była podniesiona. Kiedyś. W innym świecie. W innej przestrzeni. Tak. *Kocham, kocham, kocham*, mówi wiarołomny kochanek, powtarza wielokrotnie, bardzo dobrze, przecież w powtarzaniu tkwi siła perswazji. Uśmiecham się z pobłażaniem. Kochaj, korzystaj, kochaj. Bo któż ci zabroni? Zanim przyjdzie dzień zapłaty rachunku. Tak?

## Rozdział 11

Czas leczy rany. Od pamiętnego dnia, kiedy to Dominik postanowił mnie opuścić, żeby sprawdzić się jako mąż innej kobiety, minęło już prawie sto dziewięćdziesiąt dni, które przebiegają standardowo. I raz, i dwa, a w konsekwencji i trzy, i cztery. Osiemnastego maja były kochanek przeobraził się znowu w aktualnego kochasia, i pięć, i sześć, i siedem, i osiem. Tym razem w sekrecie i nikt o tym nie wie. I dziewięć, i dziesięć. Ale tym razem jestem panią sytuacji.

— Dlaczego nie możemy spotkać się dzisiaj? Zaniedbujesz mnie! A może nie kochasz?! - Dominik wystukuje swoje uczucia na maleńkich przyciskach telefonu, stuk, stuk,

stuk, ćwiczysz sprawność palców, *dzień dobry, witaj, Kocham, kiedy się zobaczymy?*

- Dzisiaj biegam — odpowiadam zgodnie z prawdą, biegam przecież regularnie.

W parku naprzeciwko. Wdycham wolność. Wydycham zniewolenie. Kontroluję pracę prężnych mięśni nóg, zwartych pośladków, rozkołysanych piersi. Zwyciężam. Bicie serca dudni mi w uszach.

- Czy mógłbym pobiegać z tobą?

- Nie mógłbyś.

Słyszysz jego wzburzenie, przyspieszony niepokojem oddech, nieomal widzę, jak maleńka żyłka drga mu na skroni.

- Dlaczego?

- Masz ładnych parę kilogramów nadwagi. Tylko byś mnie spowalniał. — Jestem okrutna, przeglądam się w lustrze, podziwiam swoją figurę, która jest bez zarzutu. Wciężta talia, kształtny biust, niezbyt szerokie biodra i długie smukłe nogi. Dominik milczy. Obrażony. Do następnego razu. Prababka Augusta uśmiecha się z kpina.

- Czy mogę wpaść po ciebie do muzeum? - Dominik często odwiedzał mnie w Muzeum Starych Mistrzów. Kiedyś. W poprzedniej epoce. Kiedy miłość znaczyła zaufanie, a nie fałsz. - Pójdziemy na pizzę albo do chińskiej knajpki. Na spacer?

- Nie możemy pokazywać się razem.

- Kiedyś się pokazywaliśmy.

- Kiedyś byłeś wolny. Teraz jesteś żonaty. Pamiętasz?

- Kiedyś byłem głupi, teraz jestem mądry. Wiesz?

Żonaty Dominik, który podobno zmądrzał, który ma kochankę, spotyka się z nią w sekrecie, *dzisiaj nie mogę zostać, muszę pójść z żoną do przychodni, do sklepu, wiesz, trzeba kupić*

wózek, materacyk, kilka kocyków, moskitierę. Będę ojcem. W końcu będę ojcem. Będę miał syna. Czy to nie cudowne? Żonaty Dominik, który wkrótce będzie ojcem, i jakie to szczęście brzemiennie w skutki! Ten wielokilogramowy brzuch, te nabrzmiałe mleczne piersi, które już pewnie pachną niemowlakiem, nieustanne parcie na pęcherz i skóra pulchna niczym ciasto. Nic romantycznego.

— Skąd wiesz, że będziesz miał syna? A może córkę? — dokuczam, prowokuję.

— Czuję, że to będzie syn. - Dawca nasienia dumnie wypina pierś. Udało się! Jednak się udało! Żywe plemniki wiedziały, kiedy zaatakować, przebrnęły przez płodny śluz, najbardziej energiczny bohater na czele, prędzej, prędzej, nie daj się wyprzedzić, do celu, do celu, niby rycerz na czarnym koniu, do zwycięstwa! I niech to będzie męska zygota! Zdrowa, męska zygota! Plemnik zuch! No, oczywiście. Jakżeby pierwotne stuprocentowego męzczyzny nie miało być pierwotnym! Dziedzicem!

— A jeśli jednak córka? - nie daję za wygraną.

— Hm... — zastanawia się Dominik, *dziedzic* brzmi przecież lepiej niż *dziedziczka*. - Jeśli będzie córka, to zawsze jest nadzieja, że następnym razem będzie syn - odpowiada mój kochanek. Szczery. Mało taktowny. Jak zwykle.

A gdyby to było nasze dziecko...

— Gdyby to było nasze dziecko...

— Ale nie jest — przerywam, jakoś nie wyobrażam sobie siebie przy boku podtatusiałego Dominika, z garstką szkrabów przy boku. Na szczęście żadne plany rodzicielsko-rodzeczne nam nie grożą, choć wyznania typu: *chciałbym, Żebyśmy mogli być razem, chciałbym być z tobą na zawsze*, albo: *kiedys się rozwiode, zobaczysz i wszystko jeszcze się ułoży*, należą

do repertuaru stałych deklaracji, którymi Dominik karmi mnie systematycznie. W chwilach przed, a czasami i w chwilach po. Pewnie po to, żeby nam się lepiej współżyło. I barszkowało.

- To wybierzmy się chociaż do przyjaciół.

- Nie mamy wspólnych przyjaciół.

- A Benny?

- Benny jest moją przyjaciółką, nie naszą. I przypuszczam, że nie chciałaby cię oglądać.

Co powiedziałyby Zielona Benedykta, mów mi Benny, gdyby zobaczyła mnie z Dominikiem? Że oszalałam? Że nie mam ani honoru, ani ambicji? *Gdzie twoja godność! Gdzie twoje sumienie!* Że jak mogę? I po co właściwie? Bo to na pewno nie jest miłość. Bo miłość opiera się na prawdzie. Nie na oszustwie.

*Takie sprawy załatwia się samemu. W sekrecie. Nikomu o tym nie mów, dziewczyno. Nikomu o tym nie mów.* Głos odzywa się obok mnie, we mnie, jak zwykle. O czym mam nikomu nie mówić, babciu? O czym nie mówić? Przecież nie kocham Dominika. Nic mnie z nim nie łączy oprócz kłamstwa i dobrego rżnięcia. Przepraszam za wyrażenie. Że ogólnie jest nudno? Że czekam? Czekam na coś... Bo coś się wydarzy...

- Zuzanno? — Głos Dominika w słuchawce telefonicznej pokorniej, staje się płaski i bezbarwny. Dominik prosi, żebrze, chce. Czy odmawia się datku potrzebującemu?

- Zuzanno, kochanie moje - brzmienie przechodzi w szept, przymykam oczy, jeszcze tak niedawno ten szept tyle dla mnie znaczył... Wirowanie w tanecznym pędzie... Namiętne, rozkoszne, splecione palce, nogi, włosy.

Dryfowaliśmy unisono. Szybowaliśmy amoroso. I co z tego zostało?! Kurwa! Kurwa! Kurwa!

- Zuzanno? Jesteś tam?

Jestem. Czekam. Poluję.

— Czy mogę przyjść w sobotę? Wieczorem? Zuzanno? Dominiku?

- Przyjdź! - odpowiadam. Czarny pająk tka pokątną pajęczynę. A nuż wpadnie jakaś tłusta mucha?

Przyjdź, Dominiku. I pieprz się! Na zatracenie.

\*

W sobotę wieczorem. Koło siódmej. Przyszedł do mnie w sobotę wieczorem, koło siódmej. Miał na sobie krótkie przewiewne spodnie w drobną kratkę, oliwkową koszulę, krawat. Krawat? Do szortów? W taki upał? Tak. Krawat. Dominik zawsze był nieprzewidywalny, jeśli chodzi o wybór stroju. W prawym uchu podzwaniał wesoło rozedrgany kolczyk. Dostał go ode mnie w prezencie na urodziny. Dwa kolczyki. Nie jeden. Więc gdzie jest ten drugi? Dominik poruszał głową, pewnie żeby zwielokrotnie zalotne dzwonenie.

— Jestem — wymamrotał, wyciągnął przed siebie ręce, jak ślepiec, szukał, *chodź, podejdź bliżej, jeszcze bliżej.*

Pocałował mnie na powitanie.

— Napijemy się wina?

Wyjęłam smukłe kieliszki, rozlałam trunek, cierpki jak gorycz samotności, chłodny jak woda w górskim strumieniu, *chętnie, chętnie.* Wokół nas wszystko było chętne. Filiżanki, wanna, stół, łóżko. Myśli, pragnienia, śmiałe wizualizacje. Seks, seks, seks. Poszukiwanie. Oczekiwanie.



Bliskość. Odległość. Oddalaliśmy się od siebie tylko po to, żeby złączyć się jeszcze bardziej. Po chwili.

- Rozbierzesz mnie?

Mruczał. Gotowy. Miał obrzmiałe wargi, gładką skórę, zamglone oczy. Rozbierzesz, przytulisz, potrzywasz. W mieszkaniu rozbrzmiewała muzyka cygańskich tańców i ballad, moja ulubiona, rzewna, tkliwa, tajemnicza. Rozbierałam go wolno, pod szortami miał białe bokserki z serduszkami na prawym pośladku, co za gust! Czarne skarpetki z różowym wzorkiem i skórzane sandały. Dotykałam spoczonej piersi, czułam ból w brzuchu. Pożądanie wypełniało przestrzeń między nami, obserwowałam zwierzęcą zachłanność, słuchałam świntuszenia, och, tak, tak. Obrzydliwy! *Co mówisz?* Jeszcze i jeszcze. Granice umknęły daleko, pojawiła się wielobarwna płaszczyzna wypełniona tonami ars amandi. I nic więcej. Na nagim ciele został tylko krawat, atrybut przyporządkowania.

- Kochasz mnie? Powiedz, kochasz?

Szeptał, prosił, wtulał się w prężne ramiona, był, chciał, tak, tak. Rytmicznie i do końca.

- Nie mówiłam?

Oczywiście, że nie mówiłam. Moja miłość uleciała, jak ptaki ulatują na zimę. Za siódmą górę, za siódmą rzekę. Za nieprawdę, za utracone szanse, do piekła! Dominiuku!

- Kochasz mnie? Powiedz.

Nie było jednak czasu na miłosne wyznania. Długi wieczór pod znakiem rozochoconego penisa obfitował w różne smaczne niespodzianki. Zmiany pozycji, czasu, intensywności ruchów. W fotelu, na biurku, na dywanie. Na balkonie też.

— Oszalałeś? A jeśli ktoś nas podgląda? Chyba oszalałeś, Dominiku!

- Oszalałem! Zgłupiałem! Oszalałem! Koniec ze mną! Och, Zuzanno!

- Co, Dominiku?

Igranie z rzeczywistością i fantazją. Beztroski śmiech. Bezmyślne toasty.

— Chyba mnie wykończysz!

Naprężone mięśnie, rozchylone uda, pełna gotowość.

- Chyba? Wykończę cię na pewno. Zuzanno! Moja Zuzanno!

Głęboka wilgoć, która obiecuje. I sztywny członek pracowitego kochanka, który użył w pocie czoła, raz, raz, raz, bardziej, coraz bardziej. Ponad kanony. Pożądanie jest przecież ponad kanony egzystencji.

- Zuzanno?

— Dominiku?

- Pieść mnie.

— Znowu?

— Pieść mnie bez przerwy.

Pocałunki są ponad czasem, zmysłowość ma kolor ognistej czerwieni. Niecierpliwe dłonie, które plądrują, chwytają, miętoszą. Wyprężone plecy, pośladki, nogi. Zapał, pełne zaangażowanie. Pieść, trzymaj, ściskaj, głaszcz, całuj i gryź. Według zasad równouprawnienia płci, ty mi i ja tobie, według wypowiedzianych fantazji, czego to człowiek nie wymyśli, według nakazów i zakazów. Statystycznie. Sześćdziesiąt procent par wybiera w zbliżeniach pozycję klasyczną. Trzydzieści procent preferuje boczną, dwadzieścia procent kłęczącą i piętnaście procent ujeżdża. Aż miło! W naszych działaniach mieściliśmy się we wszystkich

grupach procentowych. Plus jeszcze to i tamto. Oraz tamto i to.

- Zuza! Zuzanno!
- Dominiku?
- Czy tak?
- Tak. Właśnie tak.
- I tak?
- Tak!
- A jeszcze jak?

Obejmowałam go mocno, słyszałam krótki urywany oddech, moje palce ślizgały się po spoconym ciele. Właśnie tak. Dominik pracował wytrwale. Sapał, stękał, spowalniał, kiedy trzeba. W rytmie i w trudzie. Jakby od tego miało za-  
leżeć jego życie.

- Och! Zuzanno! Kochanko! Najdroższa!

Byliśmy jak morski prąd, który niósł nas po horyzont, w nieznanne, w niezbadane. W aktach kopulacji, wyuzdania, zapamiętania. Dominik uśmiechał się. Kąciki ust drgały delikatnie niczym motyle przed pierwszym lotem. Kropelki śliny spływały po podbródku. Czy byliśmy szczęśliwi? Za oknem rozciągała się noc. Moja przyjaciółka. Srebrzysta. Szeptła o nieuniknionym. Co będzie? Gdzie to będzie? I kiedy?

\*

Był piętnasty czerwca. Pachniało nagietkami. Zapach silny niczym czerwień zachodzącego słońca. Ostatni raz.

Tego wieczoru kochaliśmy się ostatni raz.

## Rozdział 12

Tamten dzień. Dzień, który zmienił moje życie. Dzień ciężki jak ołów, który przygniata istnienie masą gatunkową. Który boli wspomnieniem. Wstydlivy dzień rumienił się różową poświatą. A jednak! Później oceniłam go jako nieoczekiwany, choć przecież oczekiwany był jak najbardziej.

- Spotkamy się? Musimy się spotkać. Zrób wyjątek, pójdziemy do nowej kawiarni, którą właśnie otwarto w twoim parku, proszę!

- W parku koło mojego domu?

- Tak. W twoim parku. Nikt nas nie zobaczy, a my musimy coś uczcić.

- Uczcić? Ważnego? Coś ty wymyślił?

I cóż on znowu wymyślił! Ten Dominik. Poszukiwacz przygód. Nieprzewidywalny towarzysz. Najgorszy wróg.

- Nic nie wymyśliłem. To coś bardzo ważnego.

- Dla kogo?

- No... dla mnie.

Coś ważnego. Co może być aż tak ważnego, żeby chcieć to uczcić w miejscu publicznym, wbrew wszelkim zasadom

konspiracji grzesznego związku? Dziecko? Może dziecko się urodziło?

- Nie możemy tego uczcić u mnie?

*Ważne wydarzenia czci się zawsze w eleganckim miejscu. Szampanem. Pamiętaj, dziewczyno. Pamiętaj, dziewczyno?! O czym mam znowu pamiętać?! Och, babciu, babciu! Czy zawsze musisz wiedzieć wszystko? Wszystkiemu się przysłuchiwać? Wszystko komentować?*

- Chciałbym, żeby było uroczyście. Proszę, Zuzanno. Proszę!

- O której?

- Przyjdę po ciebie o piątej. Może być?

Nie powinnam. Nie powinniśmy. Ostrożności nigdy przecież za wiele. Rozterki, poszukiwania, decyzje. Nasze. Prawdziwe. Po co prowokować nieprzewidziane sytuacje, nie pójdę, nie chcę, nie tam, nie dziś, nie trzeba, nie mogę, nie może być...

- Zuzanno?

- Tak?

- O piątej. Może być?

Nie! Nie! Nie! Ostatni głos ostrzeżenia nakazywał sprzeciw. Nie kuś, nie proponuj, nie zamierzam, nie przyjdę.

- Zuzanno? Może być?

- Może być.

- Dziękuję.

Jednak może być. Cicho i z westchnieniem przypieczętowałam los. Swój. Jego. Nasz. Taka mądra, a jednak taka głupia, taka przewidująca, a jednak ciemna jak tabaka w rogu. Na zawsze? A może tylko tymczasowo? Nigdy przecież nie wiadomo, co przyniesie jutro. Czy mogłam wpłynąć na bieg wydarzeń? A może właśnie,

w podświadomości, wcale nie chciałam nic zmieniać, na nic wpływać? I może to niespodziewane wcale nie było takie niespodziewane? Ludzkie, ludzkie, wszystko jest ludzkie. I niech tak zostanie.

\*

Czy można wyobrazić sobie miasto rozżarzone do czerwoności? Trzydzieści stopni w niewystarczających strzępkach cienia. Spocone budynki, dyszące ulice. Ludzie, którzy przemieszczają się wolno, ostrożnie, żeby nie przykleić się do siebie, żeby nie utknąć w rozmiękłym asfalcie, żeby przetrwać, byle jak, nawet byle jak, co za upał!

Taki to był dzień.

Powietrze stało nieruchomo, wokoło było czuć pot i zmęczenie. Pociło się wszystko, od skóry pod pachami do powierzchni liści w parku. Pot spływał wzdłuż kręgosłupa, do pośladków, do stóp. Rozmazywały się staranne makijaże, rozmazał się mój makijaż, czarny tusz spłynął z rzęs, utworzył sine placki pod oczami. Ale koszmar! Lepki i nieprzyjemny. Ociężały niby walec, który wtłacza wszelkie odpryski drobnych aktywności w niebyt. Jakby czas ruszał do przodu z wahaniem, a może tak, a może nie, a może zatrzymać się i odpocząć?

A jednak tamtego dnia Dominik szedł u mego boku zwawy, nie ma sprawy, dziarski i z podniesioną głową. Wyraz jego twarzy znamionował witalność, zdecydowanie, *patrzcie, patrzcie, oto ja, odnoszę same sukcesy*. Ubrany był w żółty

bawełniany bezrękawnik i szare płócienne szorty. Pod spodem nie miał majtek. *Kto by tam nosił bieliznę w taki upał!*

- Pójdziemy główną aleją - powiedział i pewnym krokiem skierował się ku północnej części parku, gdzie znajdował się różany ogród, plac zabaw dla dzieci oraz skupisko starych wierzb, rozłożystych i swojskich.

— Pamiętasz? Całowaliśmy się pod tamtym drzewem. Lał deszcz. Byliśmy cali mokrzy.

Słowem *pamiętasz* kochankowie wieńczą okres prób i starań osiągnięcia ułudnego szczęścia. Pamiętasz tamto lato? Pamiętasz tamte wiśnie? Pamiętasz tamte przyrzeczenia? Nie pamiętasz? Nie chcesz pamiętać? Dlaczego?

Kawiarnia znajdowała się na skraju parku przy głównej bramie. Nad wejściem pomarańczą lśnił krzykliwy, fosforujący napis *Tropikalna*. Zapraszał od dziesiątej do dwudziestej trzeciej, u nas, tylko u nas. A jakże! W środku było aż duszno od niezliczonej ilości palm, paproci, epifitów, lian, pnączy. Wiecznie zielona roślinność, seksowne storczyki, niektóre chyba sztuczne, kicz, kicz, powiedziałyby profesor malarstwa, och, och, westchnąłby poeta, hm, hm, mruknąłby erotoman. I przymiotniki, przymiotniki: bujny, obfity, złożony. A i rzeczowniki też nie do pogardzenia: symbioza, fotosynteza, zarodniki, kiełkowanie. Wzrastanie. Rozsiewanie.

— Pięknie, prawda? — Dominik spoglądał wokoło z czułością.

Był pod wrażeniem bajecznej przyrody, teraz i tutaj, co za widok, kwiaty i owoce, wszystko w jednym, narodziny i śmierć. Delikatne i z pretensją do elegancji.

- Uroda tropiku.

Jakby tylko tropiku nam brakowało w ten niemiłosierny upał.

- Podoba ci się?

- Oczywiście.

Wcale mi się nie podobało. Nieudolna namiastka deszczowego lasu, mezalians z popkulturą współczesnej cywilizacji. Wystrój kawiarnianej przestrzeni przypominał pijalnię wody mineralnej w uzdrowisku. Subtelny szmer wody w fontannie, szelest skrzydełek opierzonych mieszkańców. Dobrze, że nad stolikami rozpostarto przestronne parasole z napisem *Tyskie*, przynajmniej można się było nie obawiać ptasich odchodów. Super! Za największymi okazami roślin umieszczono potężne klimatyzatory, które sy-  
czały chłodem.

- Butelka szampana, dwie kawy, jedna cola i jeden torcik czekoladowy.

Przy stolikach stały bambusowe foteliki. Dominik ledwo zmieścił się w jednym z nich.

- Torcik dla pani?

- Nie. Torcik dla pana. Cola też.

Kelner ubrany był w białą koszulę i czarne dżinsy. Szkoda. Powinien mieć na sobie trawiastą spódniczkę i świecić gołym torsem. Jak to w tropikach.

- Więc co takiego mamy uczcić? - zapytałam.

Dominik zręcznie otworzył szampana, rozlał spieniony płyn do wysokich smukłych kieliszków.

- Dostałem awans. Odkąd znowu jesteśmy razem, wszystko się układa. Dostałem awans.

- Awans? Jaki awans?

Zastępca redaktora naczelnego? Kierownik działu? Podwyżka uposażenia? Obligatoryjne premie?



- Teraz będę zajmował się wydarzeniami politycznymi. W końcu to, co najważniejsze. Opinie, fakty. Komentarze. No wiesz...

No wiem? Nic nie wiem. Dominik nie nadaje się na dziennikarza politycznego. Jest niefrasobliwy, mało rzetelny, mało dociekliwy. Brak mu tej szczególnej staranności, o której mowa w Ustawie o prawie prasowym, artykuł dwanaście.

- To wspaniale!

- Wspaniale!

- A jak ci się to udało?

Dominik zarumienił się, spuścił wzrok, platerowanym widelczykiem zaczął dłużyć w czekoladowym ciastku. Bez apetytu.

- Mój teść zna naczelnego.

Cicho. Jakby nie było słów. Jakby mogły wystarczyć same domysły. A więc to tak! Korupcja, koligacje, malwersacje, związek przyczynowo-skutkowy, od rzemyczka do stryczka. Dominiku?

## **Rozdział 13**

Otóż. To nie kwalifikacje ani predyspozycje decydują o tym, komu przypadnie w udziale stanowisko. Stanowiska

dostają żony, mężowie, kochanki, kochankowie, siostry, bracia, kuzyni, pociotowie, piąte i dziesiąte wody i dwudzieste popłuczyny. Aby się tylko kręciło, a kasa wpadała do bliźniaczego wora.

W ustach poczułam suchość, która nie pozwalała wyartykułować słowa. Język przywarł do podniebienia. Milczenie między nami wydawało się być ciężkie i namacalne. Ważyło tonę.

— Źle się czujesz?

Ależ skąd! Dlaczego miałabym źle się czuć, cóż się właściwie stało? Członkowie rodziny powinni sobie pomagać, nieprawdaż? Ja tobie, ty mnie. Przyjaciel przyjacielowi. Niektórzy nazywają to nepotyzmem albo kumoterstwem, inni handlem wpływami albo obdarzaniem specjalną przychylnością. Czemu nie obdarzyć specjalną przychylnością swojaka? Należy mu się!

— Nic takiego się nie stało.

- Pewnie.

- To dla mnie szansa.

— Oczywiście.

- Takie jest życie.

- Jasne.

- Wszyscy tak robią.

- Tak?

Czas zakreślił koło, stanął na godzinie zero. Powtórka. Rozgoryczenie. Dominik znowu czymś mnie zadziwił. Sprzedawczyk, judasz, konformista. Miał zwiotczałe usta i obwisłe policzki. I siorbał.

— Ciepły już ten szampan.

Szampan był ciepły, cola też, czekolada na torciku rozpuściła się, tworząc brązową nieapetyczną breję. Parno,

najbliższy klimatyzator chyba się zacinał, na najbliższym parasolu widziałam...

- Muszę przecież dbać o karierę, o zarobki. Teraz dostanę podwyżkę, będę się liczył w środowisku, będę zajmował się ważnymi sprawami. Z pierwszych stron gazet...

O Boże!

Dominik urwał w pół zdania. Spojrzał przed siebie z przerażeniem. Zaczerwienił się. Zbladł. Coś się stało. Co się stało? Podążyłam wzrokiem za jego wzrokiem i zobaczyłam. Przyczynę. Przyczynę strachu i zmieszania.

W drzwiach lokalu stała żona. Żona Dominika. Otoczona wianuszkami koleżanek.

- Co ona tu robi?! Co ona tu robi, do cholery!

Dominik wyszeptał, zadrżał. Chwycił mnie za rękę.

Żona Dominika jeszcze nas nie zauważyła. Jeszcze nie. Patrzyła na swoje odbicie w wielkim lustrze przy szatni. Poprawiała włosy, biust, brzuch, wszystko jakoś obwisło ponad miarę. Koloryt ust, nadmierne lśnienie nosa. Poprawiała kolczyk, jeden z dwóch, mój prezent dla Dominika, jego prezent dla niej. Jaki dziwny jest świat. Karuzela podarunków i kłamstw. Jest co poprawiać.

- Miała nie wychodzić. Miała o siebie dbać.

- Kiedy ma rodzić?

- Za tydzień. Nie powinna już wychodzić z domu. I co teraz będzie?

- Nie panikuj!

- Łatwo ci mówić! Jeśli mnie zobaczy...

Dominik skurczył się w sobie. Uleciały gdzieś entuzjazm, radość i duma z życiowych sukcesów. Sflaczał, policzki obwisły mu jeszcze bardziej, piersi opadły, ramiona

pochyliły się pod ciężarem trosk. Upodobił się do kobiety przed lustrem.

- Powiedziałem jej, że wyjeżdżam w delegację.

- Dokąd?

- Na wybrzeże.

- Plany się zmieniły. Wróciłeś. Przeprowadzasz wywiad z pracownikiem Muzeum Starych Mistrzów. Zaraz po wywiadzie miałeś iść do domu.

- Nie da rady. Od razu by coś zwęszyła, zaczęłaby sprawdzać, zrobiłaby się pyskówna, zabrałaby mi fundusze.

- Co proszę?!

- Fundusze! A co myślałaś? Jest dziana. I ogranicza mi wydatki. Nic nie rozumiesz?

- Wydziela ci pieniądze?! Samo życie. Dupa i kasa. Jakżeby inaczej!

- Oszczędź! I nie bądź wulgarna.

- Żona daje ci forszę, teść załatwia robotę. Gratuluję. Mamaśka też ma jakiś udział w twoim życiu?

Życie pełne sukcesów.

Pomimo upału dłonie Dominika były zimne, prawie lodowate. Nic dziwnego. Strach jest przecież lodowaty. I wstyd. I zemsta. Jak sople lodu.

- Co robić?

- A co mnie to właściwie obchodzi.

- Pomóż mi!

- Po co?

- Proszę...

- Nie uciekniesz.

Uciec czy się ukryć? Zbrodnia? Rozstanie? Separacja? Gdzie się schować? Jak zniknąć? Dominik rozglądał się

rozpaczliwie. Nie oddychać. Nie istnieć. Wcisnąć się w ciemny kąt, zasnuć wieloletnią pajęczyną. Odejść.

Żona Dominika śmiała się głośno. Prawą ręką podtrzymywała brzuch, drugą rękę położyła na lewej piersi. Tkliwie. Z uczuciem. Miała na sobie białą bluzkę z podniesionym stanem i szeroką spódnicę, która maskowała ciążę. Była ogromna i zdawała się wypełniać całą przestrzeń.

- Nie ma żartów.
- Nigdy nie było.
- Zaraz nas zobaczy.
- Zapewne.

Strużki potu ciekły Dominikowi spod pach, wzdłuż boków, do bioder, naznaczały płócienne szorty. Kropelki potu osiadały na czole, na nosie, wpadały do oczu, powodowały pieczenie.

- I co będzie?
- Za wiarołomstwo płaci się prędzej czy później.

I można się na nim nieźle przejechać. Jak po źle ośnieżonym, wyboistym stoku.

- Jestem bezradny.
- Jesteś. Och, Dominiku!

Bezradny, bez wyjścia, bez sensu. Atmosfera stała się gęsta, można było kroić ją nożem. Żona zaraz się odwróci i przyjrzy gościom w tropikalnej kawiarni. Zobaczy. Uwierzy? Nie uwierzy. Czy można cofnąć czas?

- Niepotrzebnie się denerwujesz.
- Łatwo ci mówić.
- Może trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy?  
Bardziej, bardziej.

Dominik zamknął oczy, złożył ręce jak do modlitwy. Powinien trzymać w nich różaniec, błagać o rozwiązanie, koncentrować się jeszcze bardziej, być jeszcze bardziej. Zaciśnięte palce, zbielałe kłykciki, powolne kołtysanie. Sieroco. Beznadziejne.

- Nie wytrzymam tego. Wszystko się wali.
- Przestań. To nie koniec świata.
- Dla mnie koniec. Nie mogę. Nie mogę.

Patrzyłam z niedowierzaniem. Lekkie wirowanie powietrza, które otaczało jego i mnie, powodowało ucisk w piersiach, trudności z oddychaniem.

- Dominiku?
- Nie mogę, nie mogę.
- Co się dzieje?
- Nie wiem, nie wiem.
- Czujesz coś?

Drobiny niewiadomego, które nagle jakby zwolniły, stały w miejscu, powodując niepokój i niepewność.

- Pewnie będę miał zawał.
- Pieprzysz!
- Będę miał zawał.
- Co się dzieje?
- Coś dziwnego.

Czułam przyspieszone bicie serca. Wiedziałam, że coś się zmieniło. Nic już nie będzie takie samo. Nigdy. Bardziej. Mniej.

Naprawdę?!

Dominika było jakby mniej. Czy to możliwe? Mniej? Mniej i mniej!

- Dominiku?!

Dominik milczał.

- Dominiku?!

Dominik kurczył się w szybkim tempie. Czy jest możliwe niemożliwe?

- Dominiku?!

Przypominał balon, z którego uchodzi powietrze. Prawie było słycać syczenie. Przez niewidoczny otwór ulatywało całe *być* kłamliwego kochanka. Oszusta, partacza, krętacza. Męża i przyszłego ojca. W strachu przed dekonspiracją. Kaliber najmniejszy z możliwych.

- J e z u !

Najpierw pomału, potem coraz szybciej, jakby pośpiech miał tutaj zasadnicze znaczenie. Dominik nie wypełniał już bambusowego fotela nadmiarem ciała. Wyglądało, jakby się topił. Duży bałwan, mniejszy, mały, malutki. Ubywało go. Gdzieś tam w środku. Ubywało go na zewnątrz. Scena jakby prosto z tandetnego horroru. Kto mógł napisać tak nedorzeczny scenariusz? Przyglądałam się z przerażeniem. Z zainteresowaniem. Z niezdrową ciekawością. Kurczenie się jest przecież zjawiskiem niecodziennym, wartym wnikliwej obserwacji. Coraz mniejsza twarz. Coraz mniejszy nos. Coraz mniej widoczne pory. Niemożliwe! Mniejszy i mniejszy, przecież takie rzeczy się nie zdarzają!

- Dominiku? - szeptem, jakby w strachu przed rzeczywistością.

*Widzisz, dziewczyno?! Widzisz?! A jednak warto było!*

- Dominiku?

*Daj mi spokój. I tak cię nie słyszy.*

Dlaczego ma mnie nie słyszeć? Dominiku?! Dominik taki jak ja, mniejszy ode mnie, sięga mi brzucha, ud, kolan, pół łydki. Bambusowy fotel zrobił się nagle zbyt wielki,

mógłby pomieścić kilku maleńkich Dominików. Dosyć! Dosyć! Wystarczy!

- Zuzanno! Zuzanno! Co się dzieje?

Zdumiony Dominik siedział w przepastnym fotelu. Oczy miał szeroko otwarte. Minę głupią. Chyba udało mu się uniknąć małżeńskich kłopotów. Był nagi.

- To ja? Udało się? Zuzanno?

- Dominiku? To ty? Czy się udało?

Dominik był nagi. Rozglądał się z niedowierzaniem, kręcił maleńką główką. Siedział na kupce ubrań, które opadły z niego w procesie zmniejszania.

*Za duże ubrania, za mały człowieczek.*

Głos babki rozbrzmiewał w mojej głowie. Daj spokój, babciu! Nie teraz! Nie teraz!

Surrealizm, który przemawia do uczuć i marzeń. Niekonwencjonalne rozwiązania. Czasami z trudnej sytuacji można wyjść tylko przez piekło. Słyszysz mnie, Dominiku? Przez piekło! Przez samo piekło! Żar wykrętów i kombinacji. Potęga wyobraźni. Dlaczego obrazy wyobraźni miałyby być mniej prawdziwe od sennych widziadeł? Albo wytworów rzeczywistości? Wszystko i tak dzieje się tylko w mózgu. Prawda?

- Nic z tego nie rozumiem. Gdzie ona jest? Widziała mnie? - spytał Dominik. Jeszcze nie zdążył się przestraszyć, nie zdążył pomyśleć, pożar przecież został ugaszony, cel osiągnięto.

- Zdaje się, że wszystko w porządku. Twoje zdrowie! - Sięgnęłam po butelkę, odetchnęłam z ulgą, nalałam szampana do kieliszka. Dominik był zbyt mały, żeby mnie obsłużyć. Wysokości butelki, którą trzymałam w ręku. Coś podobnego! - Za sukces!



- A więc udało się.
- Za ślepe żony!
- A więc jestem bezpieczny.
- Za wszystkie maleńkości tego świata!

Chciało mi się śmiać.

Dominik miał maleńkie rączki, maleńkie nóżki, maleńkie stopki i fiutka maleńkiego. Siostra miała rację. Łysiał. Na czubku głowy wyraźnie zobaczyłam przerzedzone włosy. Ogląd z góry jest jednak bardziej obiektywny niż ogląd spod. Dominik rozglądał się skonsternowany. Perspektywa jego postrzegania ograniczała się teraz do blatu kawiarnianego stolika, który mógł obserwować tylko od dołu. Nikogo nie widział poza mną. Nikt jego nie widział. Uśmiechnęłam się, żeby dodać otuchy jego maleńkości. Dawna złość wyparowała. Tyle ważnych rzeczy się zdarzyło.

- I co? I co? — zapiszczała.
- Wszystko w porządku. Niczego nie zauważyła.
- Gdzie jest?

Bicie serca trochę się uspokoiło, oddech się unormował.

- Zaraz wybierze stolik. Zaraz podejdzie, rozejrzy się...

Żona przestała przeglądać się w lustrze, byстрым spojrzeniem zlustrowała salę tropikalnej puszczy i wraz z koleżankami wybrała miejsce niedaleko naszego. Gdyby Dominik nie zmniejszył gabarytów, na pewno by go spostrzegła. *Zuch chłopak! Odważna dziewczyna!*

- Zamówiła lody i herbatę z cytryną.
- Nie powinna jeść słodczy. I tak jest za gruba.

— O! I jeszcze torcik czekoladowy. Taki sam jak twój.

— Zawsze była łąkoma.

— Przytyła w czasie ciąży czy przed?

Ale Dominik machnął ręką ze zniecierpliwieniem. Trzeba jak najszybciej opuścić kawiarnię. Nie ma czasu na pogaduszki, na igranie z przeznaczeniem. Kuj żelazo, póki gorące! Tak jakbyśmy właśnie zagrali z losem o najwyższą stawkę. Pokerowa zagrywka.

— Musimy stąd wyjść. Musisz mnie stąd zabrać. Trzeba uciekać! - Dominik prosił, podskakiwał na swoim siedzisku. Już, teraz, zaraz. Natychmiast. Raz, dwa, trzy. Niecierpliwy.

— Skoro tak...

Dopiłam szampana, zwinęłam ubranie Dominika w ciasny rulonik, na szczęście nie było tego zbyt dużo, schowałam klapki. A później włożyłam ciało mojego niefortunnego kochanka do plecaka. Ostrożnie. Delikatnie. Na miękkie tekstylia. Kto by pomyślał! Taki lekki, taki miniaturowy, takie nic. Człowiek, który odszedł w zminializowaną przestrzeń dziwnego świata innej rzeczywistości.

Kelner pożegnał mnie uśmiechem i kiwnięciem głowy. Otworzył przede mną drzwi. Wyszłam. Skończył się pewien etap. Myślenia i postępowania. Na zawsze.

## Rozdział 14

*Trzymaj się, dziewczyno! To dopiero początek. Przed tobą wiek do zrobienia. Głos prababki jest nie do zniesienia. Irytuje. Przeszkadza. Zamknij się, babciu. Proszę. Nie dzisiaj. Och, dziewczyno!*

W sypialni czeka na mnie wygodne łóżko, na którym kładę się zmęczona. Dawno nie byłam tak zmęczona. Nigdy nie byłam tak zmęczona. Jestem robotnicą, na bar-kach której spoczywa cały świat. Delikatnie wyjmuję Dominika z plecaka, kładę go na poduszce, z dala ode mnie, boję się go uszkodzić. Przepraszam, nie chciałam. Nie chcę na niego patrzeć. Zamykam oczy, zapadam w sen, odpływam w nieświadomość. Duszną i mroczną. Jestem w piekle.

Kiedy budzę się późnym wieczorem, moje spojrzenie napotyka wzrok maleńkiej istoty, która leży obok. Koszmar nie zniknął, sen okazał się nie być snem. W labiryncie wydarzeń trudno jest znaleźć właściwą drogę do wyjścia. Patrzymy na siebie przez jakiś czas, boimy się powiedzieć niepotrzebne słowo, które spłoszyłoby namiastkę normalności. Udajemy, fałszujemy. Jak zwykle. Ten sam pokój, to samo łóżko. Dwoje ludzi. Tych samych, a jednak nie takich samych. Kulawa rzeczywistość czy halucynogenne wi-dziadło?

— No i co? — odzywam się w końcu.

Dominik wzrusza ramionkami, robi buzię w ciup, nie wiadomo, czy z ochoty do płaczu czy do śmiechu. Mały,

maleńki, niegroźny i wzruszający. Czy dusza też mu się zmniejszyła?

- Musisz mówić ciszej. Bębenki mi pękają — piszczy. Człowieczek. Jego świat jawi się w innych wymiarach kształtu i dźwięku. Bezpieczeństwa. Zagrożeń. — To przez to, że jestem taki mały. A ty taka duża - dodaje, kiwa główką.

Jakbym nie wiedziała.

- Ale to nic. Kiedyś przecież minie. Najważniejsze, że się udało, co? Niczego nie zauważyła.

Mały Dominik śmieje się. Pod wpływem śmiechu drgają mu maleńkie ramionka, maleńki brzusek, podryguje maleńka główka. Podskakuje maleńki penisek. Dominik ciągle jest nagi. W ferworze niespodziewanych wydarzeń zapomnieliśmy ubrać go w cokolwiek, zresztą, w co można ubrać takiego ludzika? Och, Zuzanno! A to się udało! A to się przechytryło! Ha, ha, ha! Tyle tego! Tyle wszystkiego!

- Zawsze jest tak mało spostrzegawcza? - pytam, żartuję, chociaż szczypta poczucia humoru. Potrzebna nam jest chociaż szczypta poczucia humoru.

- Nie zawsze. Ale tym razem się udało. Wypijmy za pomysłność dzisiejszego dnia!

Wyciągam z szafki dwa kieliszki do wina, waham się przez chwilę, jeden kieliszek jest zbędny, trudno sobie wyobrazić, żeby zminimalizowany Dominik pociągał trunek z wyżyn znormalizowanego kieliszka. Decyduję się na niewielki kieliszek do likieru, kieliszki do likieru stoją na najwyższej półce, dawno nieużywane, zakurzone, teraz mają się przydać.

- To jest mój smuteczek. O, jaki malutki. Utopię go dzisiaj w kieliszeczku wódki. - Dominik wznosi kieliszek do

góry, uroczystym piskiem ogłasza, że pije za nieograniczone możliwości natury, za przydatne anomalie, za krasnali, za górali, za niewiadome, za przygodę. Wszystkiego najlepszego! I bardzo dobrze.

Pijemy kieliszek do kieliszka, tym razem nie oznacza to jeden do jednego. Figlujemy bezwstydnie. Śmiejemy się bez sensu i do rozpuku. Zuzanno! Dominiku! Jesteśmy pijani? Podśpiewujemy, świntuszymy, kołyszemy się do rytmu, do taktu albo jak kto chce.

— Pijany smuteczek oczkiem mnie przyzywa, nic nie może mówić, głowa mu się kiwa. Ależ jesteś wielka!

Wyobrażam sobie! Wielka i okropna. Wyraźnie zaznaczone pory skóry, ogromne dziurki od nosa, język, który przypomina ochłap mięsa. Podobam ci się, Dominiku?

- Ależ jesteś mały! - rewanzuję się i wybuchamy śmiechem. Chichoty wypełniają przestrzeń niewielkiego mieszkania, udają bez troskę, jeszcze, jeszcze, dalej, dalej, będzie, co ma być! Mały, mniejszy, najmniejszy. Wielkości lalki, wielkości butelki po szampanie, numer buta - nie do osiągnięcia, takich się nie produkuje. Numer kołnierzyka siedem centymetrów, ale też nie do kupienia. A to się narobiło! Bez dwóch zdań.

- Spadły ze mnie wszystkie ciuchy! — Dominik rozpa miętuje wiekopomne zdarzenie. - W biały dzień! W miejscu publicznym!

Tak. Tak właśnie było.

— Siedziałem goły jak święty turecki! Ale by było, jakby ktoś mnie zobaczył! Ale by było, gdyby ona mnie zobaczyła! A jakby zobaczył mnie kelner? Jak to się mogło stać?

Na to pytanie nie znamy odpowiedzi. Nauka nie wspomina o zjawisku pomniejszenia się istoty ludzkiej. Historia

takich przypadków także nie odnotowała. W sztuce problem małego w stosunku do dużego pojawił się, a jakże, ale spokojnie można go złożyć na karb wyobraźni. Tylko wyobraźni. W pociągnięciach pędzla lub pióra. A magia?

- Nie wierzę w czarne siły. Zjawiska paranormalne nie są magią. Akademicy ich jeszcze nie rozpracowali. I tyle.

I tyle. Prababka śmieje się. Ironiczna. Złośliwa. Czy do prawdy musi być aż tak wścibska? Czy ciągle musi śledzić? Co się ze mną dzieje? Z Dominikiem? Z nami? Podchodzę do półki, na której stoi jej fotografia. Zdażyłam już oprawić zdjęcie w posrebrzaną ramkę, ramkę opatrzyłam szkłem. Żeby się nie kurzyło. Żeby zadbać. Żeby okazać szacunek. Teraz mam ochotę schować zdjęcie do szafy, pod grubą stertę koców, wyrzucić na śmietnik, leż tam sobie, nie patrz, nie przeszkadzaj, nie podglądaj! I natychmiast znowu słyszę śmiech babki. Tym razem głośniejszy.

- Z czego się śmiesz? - pyta Dominik. Usłyszał? Zgadł? Spogląda podejrzliwie.

- Nic, nic. Przypominam sobie twoją minę. Tam. Czy coś poczułeś?

- Czy coś poczułem? Wszystko odbyło się tak szybko. Chyba najpierw poczułem mrowienie w palcach. U rąk i u nóg. A potem...

Mrowienie w palcach rąk i nóg, które później przeszło w mrowienie na całym ciele. Jakby ukłucia sosnowych igieł na rozpalonej słońcem skórze. Uczucie duszności, powietrza za mało, lekki zawrót głowy, cienie wirujące przed oczyma. Panika? Nie. Nie było czasu na panikę. Zdziwienie? Tak. Trochę. Zdziwienie.

- Świetne miejsce na znikanie, nie sądzisz?

Pośród zielonej imitacji tropikalnego lasu, przy szczerbiotliwym szmerze obiegu wody w fontannach. Można zniknąć, przemieniać się, przeistaczać. Do woli. Nikt nie zauważy.

- Zniknąłem z jej życia. Przemieniłem się. Nic nie zauważyła. Jestem bezpieczny. Napijmy się jeszcze?

W rubinowym blasku czerwonego wina, które pachnie chryzantemami, załamują się promienie światła. W głowie mi szumi, alkohol rozgrzewa krew, wiem, że usta przybrały kolor jeżyn, a serce tłucze się w przyspieszonym tempie. Puk, puk, puk. Jest tam kto? I gdzie jesteś, moje przeznaczenie? Potrzeba picia jest odzwierciedleniem stanu niepokoju. Pijemy tego i z pełnym zaangażowaniem. Do dna! Żeby nie upaść jeszcze niżej!

- Może wystarczy?

- Może. - Dominik zgadza się ze mną. Jest śpiący, zmęczony, pijany. Chce mu się sikać.

Stawiam go ostrożnie przy doniczce z fikusem i pozwalam podlać drzewko. A niech tam! Później coś się wymyśli. Szykuję mu posłanie na kanapie w saloniku, kładę na poduszce, przykrywam ręcznikiem. Kiedy wychodzę do drugiego pokoju, w którym zamierzam spędzić noc, *nie będziesz spać przy mnie, dlaczego?*, Dominik przywołuje mnie jeszcze na chwilę.

- Wiesz... w kawiarni...

- Tak?

- Jak o głupio wyszło...

- Głupio?

- Z tym teściem.

- Co z teściem?

- Ale inaczej nie dostałbym awansu.

- Aha. To. Na pewno nie.
- Czy to mnie usprawiedliwia?
- Przecież wszyscy tak robią.
- Trochę to nieetyczne.
- Przesadzasz.
- Tak myślisz?
- Tak myślę.
- I nie gniewasz się?
- A o co tu się gniewać. Dobranoc.

Dobranoc. Zminimalizowany kutasie! Dobranoc. Niech ci się przyśnią koszmary! I żebyś tak zniknął z mojego życia. Na zawsze.

\*

Noc jest pogodna. Przez otwarte okno widzę lśnienie gwiazd, czuję miękkość nieba, które kołysze do snu. Patrzę w przyjazną ciemność i wyciągam ku niej ręce.

*Wszechświat zawsze jest skłonny użyć mocy wszystkim tym, którzy są gotowi ją przyjąć.* Młody wietrzyk szumi wśród liści. Oddycham głęboko.

*Trzeba być otwartym i wierzyć w istnienie magicznych sił.*

Tak myślisz, babciu? Tak myślisz? Wietrzyk z moką głową. Roztrzepany. Nieuważny.

*I wypracować w sobie dar. Dar wypracować.*

Czerń kosmicznej przestrzeni wkrada się do pokoju, wciska w kąty, w szpary. Jaki dar? Czy jest jakiś dar, który miałabym jeszcze się przyjąć?

*Oczywiście, dziewczyno! Trzeba tylko uwierzyć i nie podawać w wątpliwość. To wszystko. Uwierzyć i nie podawać w wątpliwość.*



Ach tak. Jeden dzień. Jeden dzień, który jest na wagę tysięcy. Nieznany Sprawca wymyślił żart. Żarcik. Dowcip. Wielki Architekt chce się pośmiać cudzym kosztem. Żart odbija się pijacką czkawką. Grozi kacem. Jasna cholera! I śmieję się, pajacu!

## Rozdział 15

Następny dzień obudził się do życia jak zwykle za wcześnie. Trochę szary, trochę niemrawy, trochę byle jaki. Wieczne odpryski znużenia, które wróciły wraz z niechętnym otwarciem oczu, a było, kurwa, nie pić, nie wygłupiać się, umiar zachować, pójść spać o przyzwoitej porze! Aspiryna, kefir, jogurt, sok z kiszzonej kapusty, co jeszcze, wszystkiego za dużo, za obficie, aż wczorajsze odepdzie w niepamięć, a dzisiejsze znowu będzie nie kontrolowane.

I ten tam...

Ten! On!

Jest jeszcze?

Jest ten tam jeszcze?!

Otwarte drzwi do sypialni. Wątpła nadzieja. Pojawiła się. Znikła.

Ten tam! Dominik! Najmniejszy z kochanków! Jest tam jeszcze? A może go nie ma?

Dominik spał na różowej poduszce, ręce podłożył pod maleńkie policzki. Zaróżowione. Pochrapywał. Mój zminimalizowany problem. A może problem odwrotnie proporcjonalny do gabarytów?

- Mamo? - Matka odebrała telefon po drugim sygnale.  
- Mamo? Nie przyjdę, tak, tak, nie mam czasu, zrozumiem, jestem zajęta, przygotowuję nową wystawę, tak, nie wiem kiedy, tak, będę, zadzwonię.

Rozmowa krótka, zwięzła, treściwa. Cel, zdaje się, osiągnięty. Miałam odwiedzić matkę przed jej wyjazdem nad morze, niestety, okazuje się to niemożliwe. Życie płata figle. Fagle płata. A jakże!

- Iwona? Nowa wystawa, tak. Oczywiście. Wiesz. Bardzo interesująca, no pewnie, musisz zobaczyć. Musisz. Motyw śmierci w malarstwie europejskim. Dam znać. Do zobaczenia.

- Benny? Nie mogę być jutro w pracy. To nic. Tak. Wyjeżdżam dzisiaj. Wszystko ci opowiem. Dam znać. Nie, nie. No coś ty! Jakaś sprawa rodzinna. Odezwę się. Cześć. Cześć. Pa.

Pożar ugaszony. Wszyscy potencjalni zainteresowani odsunięci od problemu. Na pewien czas. Na jak długo?

*Świetnie sobie radzisz, dziewczyno! Świetnie sobie radzisz! Coraz lepiej ci idzie.*

Głos prababki rozbrzmiał obok mojego ucha, ani chwili spokoju, ani chwili intymności. Ból głowy rozsadał mi czaszkę. Nie do wytrzymania! Ile można znieść, do cholery!

- Znowu ty! Znowu! Do ubikacji przynajmniej mogę iść sama? Prysznic na golasa mogę wziąć w samotności? Upić się bez podpatrywania? Pieprzyć się bez podglądania? Mogę?

*Wszystko możesz, dziewczyno, cały świat jest twój, chociaż jeszcze o tym nie wiesz. Dziewczyno! Nad dziewczynami!*

Prababka śmieje się cicho. Dźwięcznie. Jakby srebrny dzwoneczek rozdzwonił się w jasny, beztroski dzień. Na radość. I na pogodę.

- Zakłąć mogę? Puścić baka mogę? Cały czas będziesz tak komentować, szpiegować, judzić i instruować?

- Mówiłaś coś?

Dominik patrzy na mnie uważnie. Już nie śpi. Od kiedy nie śpi? Co słyszał? Co sobie o mnie pomyślał? Wariatka.

- Rozmawiasz sama ze sobą?

- Tak. Rano zawsze rozmawiam sama ze sobą. Taki już mam zwyczaj. A tobie nic do tego.

Ale...

Zawsze jest jakieś „ale”. Umożliwia odwrót, zmianę zdania, pożegnanie. Kłamstwo.

- Ale jeszcze nie oszalałam. Chociaż niewielu pozostałoby przy zdrowych zmysłach po tym wszystkim, co się tutaj wyczynia.

- To przecież nie moja wina.

- Nie twoja, nie moja, czyli nikt nie zawinił, a normalność diabli wzięli.

- Po co się tak złościć!

- Bo łeb mi nawala po wczorajszym pijaństwie. A może po stresie.

- J a k i m stresie?

- A co? Nie było powodu do zdenerwowania?

- Dla mnie był. Ale jakoś nie gadam do siebie.

- Mądrała!

- Mogłaś tyle nie pić.

- Mogłeś się nie zmniejszać!

- Nie planowałem się zmniejszać.

- Nie planowałam się upić.

- Dobrze sobie! To po co się kłócić?

- Widocznie taka kłótniwa jestem. Miałam nadzieję, że to był tylko zły sen, a tu proszę. Jak było trzydzieści parę centymetrów wczoraj, tak jest i dzisiaj. Nawet słowo „kurdupel” nie pasuje do tej kategorii.

- Daj spokój.

Dominik milknie. Zamyka oczy. Po małej twarzyczce toczy się jedna, samotna łza. Ni stąd, ni zowąd. Łza jest normalnej wielkości. Nie powstydziłby się jej i dwumetrowy olbrzym. Na pewno nie. Czują się podle.

- Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Muszę wziąć się w garść. Przemyśleć, zaplanować, postanowić. Nie jest mi łatwo. Wiesz?

A komu byłoby łatwo? Nie co dzień dane jest zmierzyć się z problemem malutkim, kiedy nic nie jest proste, Dominik krótki niby wystrugany ołówka, temat przyciasny jak za wąska sukienka. Nowa rzeczywistość wymaga zdecydowanych działań, nie ma co ich odkładać na wygodne później, teraz, już, szybko, podstawowe życie, podstawowe potrzeby, prędkie rozwiązania.

- Kiedyś przecież wrócę do poprzedniego wzrostu, prawda?

- Oczywiście. Nie mam wątpliwości.

- Będziemy to wspominać ze śmiechem.

- Na pewno tak. Uśmiejemy się po pachy.

— No co? Nie wierzysz?

— Ja to wiem — odpowiadam.

Nadaję głosowi odpowiednią pewność, tak, tak, nie ma powodu do zmartwień, kiedyś wszystko wróci do normy, słońce wstanie na wschodzie, jak zwykle, a na śniadanie zjemy bułkę z kawiozem. Jak nigdy. Ja to wiem.

Tamtego dnia kupiłam w pobliskim sklepie z zabawkami wszystko to, co wydawało się być niezbędne do uduziwnionego życia Dominika. Mebelki. Seledynowy stół i trzy krzesła, ekspedientka nie chciała słyszeć o kupnie jednego. Wiadomo, komplet to komplet i już. Łóżeczko z miękkim materacykiem. Kilka ubrań, koszulki, sweterki, dresy, dużego wyboru nie było. Niestety, nie udało mi się kupić żadnej bielizny. *Majtki? Skarpetki? Kalesony? Nie ma, nie ma, nie ma.* I nie ma. W dziale z lalczynymi artykułami gospodarstwa domowego dostałam zestaw filiżanek, spodeczków, talerzy płytkich i głębokich, kilka plastikowych noży, widelców i łyżeczek. Kieliszków nie było. Szklanek do drinków nie było. Kufli do piwa też nie było. Lalki widocznie napojów wyskokowych nie pija.

— Może kupi pani też czajniczek do herbaty? — spytała sprzedawczyni, pokazując różowe naczynie w chabrowe kwiatki. Śliczne, cukierkowe, tylko gości zapraszać.

— Za mały. Plastikowy. Roztopi się na gazie.

— Przecież to na niby. Nie trzeba tego traktować poważnie.

Nie. Chyba nie. Ekspedientka spojrzała ze zdziwieniem. Przecież nie. A może tak? W końcu klient nasz pan. I jak kto woli.

W dziale wyposażenia łalczynego domu kupiłam kilka zestawów pościeli. Małeńkie poduszcзки, kołderki, prześcieradła w serduszka, w kwiatki, w obłoczki. Śliczne ręczniczki w pastelowych kolorach. Kąpielowy szlafroczek, puszysty i w sam raz. Doprawdy, żyć, nie umierać! I to w każdym stanie.

Wracając do domu, wstąpiłam też do sklepu zoologicznego, skąd wyszłam z kocią kuwetą i workiem żwirku. Dla zminimalizowanego kochanka. W ważnej potrzebie. Był dwudziesty czerwca. Temperatura dwadzieścia sześć stopni w cieniu, bezwietrznie i bezdeszczowo. Pogoda przed burzą. Czy na pewno wszystko się jakoś ułoży?

## Rozdział 16

Na pewno wszystko się jakoś ułoży. Wróci zdrowy sen, nastaną spokojne poranki, śniadanie będzie podane na talerzu normalnej wielkości, w zwykłej szklance będzie herbata, w zwyczajnej filiżance kawa. Kieliszki do likieru nie będą już potrzebne, wyrzucę je na śmietnik wspomnień, daleko, jak najdalej. Telefon w końcu też przestanie dzwonić, esemesy przestaną przychodzić. *Gdzie jesteś?! Co się z tobą dzieje?! Odezwij się! Czy mam zawiadomić policję?!* Niepokój

żony, który powoduje mój niepokój. Mój niepokój, który zamienia się w zdenerwowanie, zdenerwowanie, które wywołuje złość, bo i niby co mam zrobić?! Wyrzucić telefon, zatrzeć ślady, ot co! A wybryk natury? Wybryk natury, jakim stał się Dominik, przestanie istnieć. Przystanie istnieć!

— Jestem homunkulusem — określa swój stan Dominik, łatwiej mu zmierzyć się ze zjawiskiem, które jest już nazwane, choćby i płynne, choćby i sięga alchemicznych korzeni.

*Jesteś nie wiadomo czym*, myślę, oceniam, zastanawiam się, ile mocy użytkowej i sprawczej trzeba by zaczerpnąć z zasobów wszechświata, żeby sprostać zadaniu, które w zwykłym osądzie uznano by za niemożliwe. W okolicach żołądka czuję strach i niepewność. Strach zawsze lokalizuje się w dolnych partiach ciała, przenika układ trawienny, aż do wydalenia. A jeśli się nie uda? I gdzie jest ta magia, która pozwoli przywrócić życie prawidłowemu bytowi? Przecież nie ma sytuacji bez wyjścia. Nawet jeśli wszystko wywróciło się do góry nogami. Na pewno wszystko się jakoś ułoży?

Dni przebiegają rutynowo i bezbarwnie. Zminimalizowane śniadanie. Kawałeczki bułki z masłem, ociupina dżemu, biały serek. *Nie lubię białego sera. Nie lubię dżemu, nie lubię białego pieczywa!* Dominik krzywi się z niechęcią, nie lubi coraz większej liczby potraw. *Mam ochotę na sardynki w oleju, na sałatkę z tuńczyka albo na śledzie w occie.* Powoli zaczynam tracić cierpliwość, jestem jednak istotą społeczną, społecznie dzielę przestrzeń życiową z potrzebującym, choćby i najmniejszym, potrafię żyć w stanie napięcia między własną indywidualnością a konformizmem. Potrafię? Potrafię! Później przychodzi pora na zminimalizowany

obiad i kolację. *Chińszczyzna?! Znowu chińszczyzna?! Kiedy będzie jakiś normalny schabowy z kapustą?! Albo golonka?! Pomidorowa na rosole, a nie z torebki!* Dominik krzyczy, piszczy, z każdym dniem dąsa się coraz bardziej. Jak to wytrzymać! I starannie wyjada wszystko do ostatniego kęsa. Apetyt mu dopisuje. Humor nie. Widocznie małość jest odwrotnie proporcjonalna do pogody ducha i umysłu. *Nie patrz tak na mnie, nie patrz tak na mnie, w końcu muszę się odżywiać, jeśli chcę urosnąć. Muszę jeść. Nawet takie świństwa.* Staram się nie patrzeć i nie słuchać. Poprzestaję jednak tylko na staraniach. Następnie przychodzi czas na pranie, sprzątanie, opróżnianie kuwety, kąpiel i czynności związane z higieną osobistą. Dominik brudzi się na potęgę. Ciągłe ma uwalane czymś ręce, nogi, twarz, ubranie. *Cały się lepię! Pomóż mi! Muszę się umyć!* Woła zniecierpliwiony, już, już, natychmiast, prędko! Nalewam wody do plastikowej miski, sprawdzam temperaturę, wlewam mydło w płynie albo płyn do kąpieli, podaję kawałek miękkiej gąbki, szampon. Dominik myje się energicznie, *po całości, myję się po całości*, tak mówi. Pluszcze się w wodzie jak dzieciak, zanurza głowę, kręci się w kółko. Chłapie. Wreszcie ma dość. Wylewam brudną wodę, czyszczę miskę, stawiam na miejsce, a za dwie, trzy godziny cały rytuał zaczyna się od początku. *Zobacz, znowu się pobrudziłem. Muszy się wykapać.* Gorzej jest z myciem zębów, szczotek dla tak małych osobników się nie produkuje, podaję więc Dominikowi odrobinę pasty, którą on rozprowadza palcem w ustach. *Co to za smak! Nie znoszę owocowych past do zębów! Kup mi miętową! Albo neutralną!* Rozkazuje, wzrusza ramionami, znowu jest obrażony i trudno z nim wytrzymać. *I obetnij mi brodę, swędzi jak cholera!* Obcinam kilkudniowy zarost nożyczkami do paznokci, na rynku nie ma maleńkich



maszynek do golenia, a szkoda. Obcinam paznokcie u rąk i u nóg, czyszczę uszy i nos. *I wyczyść ten dywan! Pełno na nim brudu!* Mogą być też na nim jakieś robale. Muchy, mrówki, biedronki. Zagrożenie. Ciągłe zagrożenie. Odkurzam, zamiatam, wycieram. Pamiętam, żeby zamknąć okno, kiedy wychodzę z pomieszczenia. Boję się, że do pokoju wpadnie wiatr i zdmuchnie małego człowieczka w niezmierną dal beztroskich porywów. Boję się, że przygodny wróbel albo sroka zechcą zawrzeć z nim bliższą znajomość i być może wydziobią mu oko. *Pewnie byś chciała, żeby coś się ze mną stało! Pewnie masz mnie już dość! Na tekturowe pudło po komputerze, w którym Dominik śpi, albo siedzi i rozmyśla, narzucam w nocy gęstą firankę, żeby odstraszyć komary, pająki i inne paskudztwa. Staram się. Bardzo się staram. Poza tym źle śpiam i ciągle wypatruję rozwiązania wśród bezkresu czerni i dali. Bezskutecznie.*

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdza Dominik z nutą złośliwej satysfakcji w głosie. Pewnie, pewnie. Zaczerwienione oczy, blada cera, gniewne spojrzenie. Nawet nos mi się chyba trochę wydłużył i wyostrzył. Prawdziwa czarownica.

- Ty nie wyglądasz najlepiej, ja nie wyglądam najlepiej, naprawdę dobrana z nas para. Masz na to jakąś radę?

- Mam. Codziennie ćwiczę, jestem coraz sprawniejszy. I chyba trochę urosłem.

- To świetnie.

- Możesz sprawdzić?

Dominik staje wyprężony przy centymetrowej podziałce, którą zawiesiłam na drzwiach na jego wyraźne życzenie.

- Ile ?

- Trzydzieści trzy?

- Trzydzieści trzy i pół! Trzydzieści trzy i pół! Pół centymetra w tydzień. To już coś, nie? Na dobry początek.

Patrzę na bukiet kwiatów w wazonie na stoliku pod ścianą. Nieuczestny bukiet różnorodności, pachnie, gnije. Przemija. Do pierwotnej świeżości nie wróci już nigdy. Niestety. Odchodzi. Wszystko odchodzi w przeszłość. Dominiku, czy wiesz?

— Chciałbym wrócić do normalnego wzrostu przed porodem. Zdażyć przed porodem. To najważniejsze. Zdażyć przed porodem.

— Staramy się, prawda?

My. My się staramy. Czy upoważniono mnie do używania liczby mnogiej, tak jakbym miała udział w cudzym nieszczęściu?

— jeżeli zdołałeś się zmniejszyć, to na pewno istnieje też sposób, żeby się zwiększyć, nie uważasz? Może nie jesteś żadnym wybrykiem natury, może takie rzeczy się zdarzają, ale się o nich nie mówi? Nie słyszy? Po prostu się nie słyszy? I już! Kto wie, co przydarza się ludziom, których nie znamy? Może w domowych zaciszach pełno jest dziwadeł, cudaków, pogrubionych, pomniejszonych, sfatygowanych? Wyblakłych?

Pocieszam, zapewniam, obiecuję. Wszystko jest tylko kwestią czasu, działa w dwie strony, taka nietuzinkowa przygoda, inna perspektywa, inny kąt widzenia. Może. Może.

- A jeśli tak zostanie? To co? Taki mały, takie nic. Nie będzie mnie. Dla świata już mnie nie będzie. Równie dobrze

mogę umrzeć i tak nikt nie zauważy. Koniec i kropka?  
To co?

— Daj spokój! Niemożliwe. Każdy proces można odwrócić. A jeśli to biofeedback, dużo silnej woli, stres okolicznościowy, panowanie nad sobą, władza nad ciałem? Usilne pragnienie, które przeradza się w żądanie spełnienia? Koncentracja?

Dominik słucha uważnie. Bardzo chciałby, żeby było właśnie tak, jak mówię. Biofeedback? Czarna magia? Psychotronika? I co jeszcze?

— Psychotronika jest taką samą gałęzią wiedzy jak każda inna. Jest tylko mniej znana, ponieważ zajmuje się zjawiskami nieukształtowanymi w materię. Nikt jeszcze nie napisał wzorów na potęgę duszy i umysłu. Ale to nie znaczy, że one nie istnieją.

*Dziewczyno, dziewczyno! Co ty wygadujesz!*

— Wynika z tego, że nie zmieniłeś się w krasnoludka. Po prostu, pod wpływem silnej woli i ogromnej koncentracji zmniejszyłeś wymiary ciała do niezbędnego minimum. Na potrzeby chwili. I nic więcej. Rozumiesz?

Prababka prychnęła pogardliwie, Dominik westchnął z żalem. Psychotronika czy nie, nie będzie łatwo wrócić do tego, co było. Do rozmiarów typowego, dorosłego mężczyzny, rasa biała, wiek średni. I najlepiej przed przyjściem na świat potomka, którego dobrze byłoby powitać, będąc znormalizowanym rodzicem gatunku *long sajs*.

— Nic nie rozumiem.

— Zjawiska normalne, tylko jeszcze nieznanne albo raczej nieopisane, nieprzetrawione. Naukowcy nie zdążyli ich zanalizować.

*A kiedy je zanalizują? Prababka ironizuje, chichocze ci-  
chutko. Prawie czuję drżące wokół drobiny powietrza. Masz  
wyobraźnię, dziewczyno, doprawdy! Masz wyobraźnię!*

— Pocałuj mnie — szepcze Dominik.

Chyba jest bardzo samotny w swojej maleńkości. Samo-  
tność wydaje się być bardziej samotna w istnieniu odbie-  
gającym od standardowych norm. No cóż...

Wieczorem dwudziestego szóstego czerwca prababka  
Augusta postanowiła wreszcie ze mną porozmawiać. Naj-  
pierw w pokoju pojawiła się sina mgła, która powoli przy-  
brała zwiewny kształt ludzkiej postaci. Przepływała nieco  
na boki, jakby nie mogąc zapanować nad utrzymaniem sta-  
bilnej, pionowej postawy. Później kształt przysunął się  
w moją stronę, cicho, tanecznie, raz, dwa, trzy. Jak jej się to  
udało?

*Czas najwyższy wyjaśnić sobie pewne rzeczy, usłyszałam obok  
siebie szept, przypominał dmuchnięcie, westchnienie, ach,  
drżąca chybotliwa mgiełka, niby senne opary, które nie  
miały dość siły, żeby uformować rysy twarzy, tylko domyś-  
lne oczy spoglądały z uwagą.*

— To ty? Co za niespodzianka. I cóż to za postać?

*Nie jest łatwo się materializować. Choćby i w drobinach jawy czy  
snu. Doceń to. Doceń. Zjawa zakołysała się w przód i w tył,  
niby łodyga kołysana podmuchem wiatru, lekko, lekko, już  
dobrze, już dobrze, to ciemność tak szemrze, musimy poroz-  
mawiać.*

— Cały czas rozmawiamy. Ciągłe masz mi coś do powie-  
dzenia. Czy mi się to podoba czy nie.

Cały czas jesteś przy mnie...

— Do kogo tam mówisz?! — Z pokoju obok doszedł głośny pisk Dominika. - Słyszę, że z kimś rozmawiasz! Albo znowu gadasz do siebie!

— Wydaje ci się. To pewnie radio. Albo ludzie na ulicy.

Ciszej, ciszej, mam mówić ciszej, to nic, że ktoś przeso-  
lił mi życie, dodał dziegciu do słodkiego deseru, uśmieł się  
z setnego dowcipu. Cudzym kosztem. Zawsze cudzym  
kosztem. Nic to!

- Kim jesteś? Mamidłem z zaświatów? Zwidem?  
Dymem? Strachem? Dlaczego mnie niepokoisz?

*Jestem tobą, tak jak ty jesteś mną. Nasza świadomość trwa wieki.  
Jest celowa i przyporządkowana wyższym pragnieniom. Nic nie jest  
w stanie nas powstrzymać. Powstałaś z moich marzeń i osiągnięć. To  
wszystko.*

— Nic nie rozumiem. Jesteś nieśmiertelna?

*Nie. Nie w materialnym znaczeniu. Ale żyję w świadomości. Ze  
świadomości. Przekazuję energię. Tobie, na przykład.*

- Dlaczego akurat mnie? Bo jestem twoją prawnuczką?

*Rzeczywiście, łatwiej jest wejść w kontakt z kimś, z kim jesteśmy  
spokrewnieni, jednak to nie jest konieczne.*

- Po prostu tak sobie wybrałaś? Właśnie mnie, prawda?  
I nawet nie raczyłaś zapytać, co mam na ten temat do po-  
wiedzenia!

*Nie muszę pytać. Wiem, kto został wybrany i dlaczego.*

— To może mi powiesz!

*Na razie musisz być cierpliwa. Jeszcze za wcześnie na wyjaśnia-  
nie szczegółów. Zaufaj mi. Wszystkiego się dowiesz, kiedy przyjdzie  
pora.*

- A do tego czasu...

*A do tego czasu powinnaś słuchać i wierzyć.*

— Doprawdy! Słuchać i wierzyć! I borykać się z tym małym dużym problemem, między przygotowywaniem posiłków dla jednej osoby i ćwierć, między opróżnianiem kuwety z nieczystościami owego ćwierć, między praniem, gotowaniem, między...

- No przecież ktoś tam jest! Nie jestem głuchy!

- Nie jest głuchy! Słyszałaś?! A już myślałam, że takie nie słuch też ma do bani.

*Cozienny, zmęczony, postarzały. Boi się. Nie zwracaj na niego uwagi.*

Postarzała młodość. Postarzały Dominik, który nie ma już skrzydeł, żeby latać nad chmurami, którego spojrzenie gaśnie, a blask słoneczny nie odbija się w źrenicach. Jakby słońce wschodziło w innej szerokości geograficznej. Wyżej, niżej, nie wiadomo gdzie. Kiedyś. Kiedyś kochałam go tym mocniej, im bardziej był niedoskonały. Miłość potrzebuje niedoskonałości. Przywiązuje się do nich i wzrusza. Dzisiaj...

*Dzisiaj on nic dla ciebie nie znaczy. Czas skończyć tę zabawę i definitywnie zakończyć dzieło.*

— Zakończyć dzieło?

*Zakończyć dzieło. Zniszczyć, zepsuć, zutylizować... Potraktować instrumentalnie.*

- Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytania! Chodź do mnie i powiedz, z kim rozmawiasz! - Dominik denerwował się coraz bardziej, nigdy wcześniej nie okazywał takiego rozdrażnienia.

*Zabić, zabić, zabić...*

— Babciu! O czym ty mówisz?!

Prababka zamilkła na chwilę, cisza przygniotła nas ciężarem, była jak za ciężka kołdra, przeпоcona, wilgotna,

nieświeża, pewnie dawno nieprana. Przeczuwałam... coś złego. Coś złego pełzło niczym wąż, zaszeleściło niedopowiedzeniem, milczące, zimne. Strach. Czekanie zawieszona w próżni.

— Rozmawiasz z kimś przez telefon? Umawiasz się z kimś?!

*Dobrze wiesz. Nie powstrzymasz biegu wydarzeń.*

Słowa spadały między nas niczym ciężkie, deszczowe krople. Och, babciu! Jak możesz?!

*Musisz się go pozbyć. On cię dekoncentruje.*

— Zuzanno! Co się dzieje?!

*Jest głupi, tępy, brzydki i niechlujny.*

— Zuzanno! Odpowiedz!

*Dziwię się, że jeszcze go tolerujesz.*

— Zuzanno! Czy mówisz do siebie?!

*Powinnaś się go pozbyć, dopóki jest mały.*

— Dopóki jest mały?

*Dopóki jest mały. Zadeptać, zakopać, wyrzucić z piątego piętra, otruć, udusić, utopić, powiesić. Sposobów jest mnóstwo. Dziewczyno! Sposobów jest mnóstwo. Tylko wybierać.*

— Zabić? Mam go zabić? Zamordować z zimną krwią? Nie mówisz poważnie.

— Co tam się dzieje?! Zuzanno! Co tam się dzieje?!

*Zabić.*

Cień prababki przysunął się w moją stronę bliżej, jeszcze bliżej, powiało chłodem. I co teraz będzie?

*Nieudacznik, oszust, wiarołomca. Nie jest cię wart.*

— Ale nie można decydować o człowieku w takich kategoriach!

*Miernota, marnota, głupek i pętał. Przecież nie jest ci go żal?*

- Nie, nie jest. Ale dlaczego mam go zabić? Zabić ludzką istotę?! Nie potrafię. Nie chcę.

- Zuzanno!

- Przestań się wydzierać! Gadam sama do siebie. Nikogo tu nie ma. Daj mi się skupić i zamknij się wreszcie!

- Zuzanno?

- Dominiku!

*Dziewczyno, nie bądź sentymentalna. Ten kretyn musi zniknąć z twojego życia. Tyle już zostało zrobione! Rozwiązanie samo wchodzi ci w ręce. Tak łatwo pozbyć się kogoś, kto zajmuje pół metra przestrzeni, kogo można włożyć do torby, do walizki, schować w szafie, w kredensie, na pawlaczku, w spiżarni. Można go nadać na pocztę, podrzucić do pociągu, samolotu, na statek transatlantycki. Możliwości są nieograniczone. Małe ciało rozłoży się szybko, zakopiesz je byle gdzie, spalisz, potniesz, wyrzucisz. Co chcesz*

- Proszę cię, przestań! Nie mogę tego słuchać!

*Wrzucisz je do rzeki i ryby uporają się z nim w ciągu kilku godzin. Daj spokój. Na coś przecież musisz się zdecydować. Taka sytuacja nie może trwać wiecznie.*

Sytuacja, która nie może trwać wiecznie. Pytania i spekulacje, brzemię pękate od niejasności i niedopowiedzeń. Zapętlony wątek. I ja. Z której strony sznura?

- Nie jestem morderczynią.

*Takich etykiet nie przyczepia się takim jak ty. Nie jesteś ani morderczynią, ani oszustką, ani złodziejką. Jesteś sobą. Niepowtarzalna. Jedyna. Inna.*

Zwiewna postać pochyliła się, dymne ramiona ogarnęły moje ciało, tak, tak, nie bój się, *takim jak my nic nie jest straszne*. Piękna, inteligentna i zdecydowana, moja prababka, niczym blask tajemniczej gwiazdy, która sięga wyżyn.



Wyżyn serca i dna umysłu. Sumuje, analizuje, wnioskuje. Głowę podnosi wysoko, żeby widzieć. Żeby lepiej postrzegać cały świat. Niepowtarzalna.

*Jesteś życiem, dziewczyno. Ale jeśli się jest życiem, jest się także i śmiercią. Śmierć jest przecież elementem życia. Sens twojego istnienia sięga poza kanony ludzkich zachowań. Rozumiesz?*

- Och, przestań! Tak się boję.

Dominik od pewnego czasu wcale się już nie odzywał, pewnie podsłuchiwał, sklecał zasłyszane urywki zdań w nieprawdziwe patchworki słów, co się dzieje, co się stało, dlaczego, jak, po co? Wszystkie niespodzianki losu są jeszcze przed nami, czy się to nam podoba czy nie, i może nie mamy na to wielkiego wpływu?

*Poczujesz samo sedno istnienia. Jesteś czarownicą, dziewczyno. Zachowuj się jak czarownica.*

- Czarownicą? Przecież to niemożliwe!

Prababka zaśmiała się cicho. Czy jest możliwe niemożliwe? Czy jest prawdziwe nieprawdziwe? Co mogą znaczyć słowa, skoro jeszcze nie stworzyło się ich na dobre?

*Jesteś czarownicą. Stworzyły cię myśli i tęsknoty innych czarownic. Moje tęsknoty. Masz do spełnienia misję. Pozbądź się go, dziewczyno. Pozbądź się tego pokurcza. Poprzez akt krwi staniesz się silniejsza, będziesz widzieć jaśniej, będziesz mogła więcej. Pozbądź się go, zanim stanie się prawdziwym problemem.*

- Poprzez akt krwi? Jaki akt krwi?! Przecież namawiasz mnie do zwykłej zbrodni! Do zwykłej zbrodni mnie namawiasz! - powtórzyłam, uwierzyłam, nie uwierzyłam.

*Nazywaj to, jak chcesz. Ale i tak musisz przez to przejść. Czarownica nie ma wyrzutów sumienia. Naucz się wreszcie.*

Mgielna postać zadrżała, tak trudno jest utrzymać równowagę, odpłynęła w bok, westchnęła, lekki podmuch wiatru

naruszył strukturę, rozwiął część sylwetki, na pół, na ćwierć, na jedną ósmą. Babciu? *Nic, nic.*

- Babciu! Nie odchodź jeszcze. O tyle rzeczy chcę cię jeszcze zapytać.

*O co chcesz pytać, wszystko jest przecież jasne...*

Przestrzeń przyjęła ją miękko w swoje objęcia. Ciepła i bezszelestna. Babciu? Babciu?

*Zabij go, zabij. Dopóki nie stał się prawdziwym problemem. Dziewczyno.*

Dziewczyno...

## Rozdział 17

— Zuza! Co się z tobą działo! — Benny na mój widok załamała ręce, potrząsnęła czupryną, ciągle zieloną, postukała paznokciami o blat biurka. Także zielonymi. — Telefon wyłączony, ani słowa, nie powiedziałaś nikomu ani słowa, chora czy co? Żeby tak nawet nie zadzwonić. Wyjechała za granicę albo jeszcze dalej. Dyrektor mało co zawału nie dostał, pytał, wściekał się, wystawa zaraz, a tu prawie nic niezrobione...

— Później ci wyjaśnię.

— Powiedział, że nie ujdzie ci to na sucho. Tak powiedział.

- Wszystko będzie dobrze.

Będzie dobrze. Wyjaśnię, nakreślę, opowiem. To, co można, czyli niewiele. Żeby nie naruszyć, nie porysować, nie ułamać. Ciężko jest żyć z brzemieniem tajemnic...

- J u z myślałam, żeby do twojej matki zadzwonić.

- Matka wyjechała nad morze.

- Albo do siostry. Martwiłam się.

- Wiem, Benny. Przepraszam.

- I jeszcze ten komunikat w gazecie. Widziałas?

Widziałam. Oczywiście. Sąsiadka z góry podetknęła mi go prawie pod nos. Zastąpiła drogę, z bocznej kieszeni torby wyciągnęła zmiętą płachtę, palcem wskazała jakiś fragment. *Patrzy pani*, popatrzyłam posłusznie, fotografia Dominika, duża głowa, falujące włosy, uśmiech od ucha do ucha i wesołe iskierki w oczach. Jednym słowem, życie jest piękne i nic złego nie może mi się przytrafić. Nie mnie! O nie! *Wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił, ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Pani, tutaj piszą, że żonaty i dziecko mu się dopiero co urodziło. Widziała pani coś podobnego?! Że aż podobnego!* Nie widziałam.

- Czytałaś coś podobnego?! — Benny jest podekscytowana, wskazującym palcem dźga sam środek twarzy Dominika, masz, masz, masz, na policzki wystąpił jej lekki rumieniec, taki gość, dziecko mu się urodziło, poszedł, nie wrócił, co się stało? Co się mogło stać?

*Wszystkiego po takim cudaku można się spodziewać*, sąsiadka szeptała, szept czasem donośniejszy bywa od krzyku, jest atrybutem dotrzymania sekretu, dopuszczenia do tajemnicy, *wyszedł z domu i przepadł jak kamień w wodę. A wiadomo? A może on od żony i dzieciaka uciekł? Szukaj teraz wiatru w polu, alimenty ściągaj, dziecko sama wychowuj, że wychowuj. Mówię pani,*

*dobrze żęsta się rozstali, że rozstali. Z takim lepiej i znajdować nie warto.*

- Dobrze, żeście się rozstali - powtarza Benny. - Przez takich tylko same zmartwienia, noce nieprzespane, wrzody na żołądku, niespełnione nadzieje. I pieniędzy nigdy za dużo. - Benny przygląda mi się, zapewne chce wysondować, przejęłam się zaginięciem niegdysiejszego kochanka czy się nie przejęłam?

- Przejęłaś się?

- No wiesz...

- Właśnie. Zawsze to człowiekowi głupio, gdy ginie ktoś znajomy. Może już nie żyje?

- Skąd takie pomysły?!

- A co! Wszystko się może zdarzyć. Mógł utonąć albo mieć wypadek samochodowy. Mógł?

- Mógł.

- Mogli zadźgać go nożem w ciemnej uliczce. Mogli?

- Mogli. Benny!

- Bandytów dzisiaj nie brakuje. Ciągłe się o czymś słyszy. Mógł skoczyć z czternastego piętra. Jeśli chciał się zabić.

- Dlaczego miałyby chcieć się zabić?

- A dlaczego ludzie popełniają samobójstwa? Widocznie mają swoje powody.

- Dlaczego akurat z czternastego?

- Nie wiem. A dlaczego nie? Wolisz z dziesiątego?

- Ponosi cię wyobraźnia.

- Albo ma amnezję i nigdy już nie będzie wiedział, kim jest. Na przykład na skutek dotkliwego pobicia.

- Albo. Benny, przestań!

- A czy ja coś mówię? Przecież różne rzeczy mogły się zdarzyć. Może po prostu nawiał. Siedzi teraz w takiej

Brazylii albo w jakiejś innej Argentynie czy Kanadzie, czyta gazetę i śmieje się do rozpuku. Chcesz kawę?

Nie. Nie chcę kawy. Chcę zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę, chcę przez chwilę nie myśleć o feralnym kochanku, o poszukiwaniach feralnego kochanka, o cierpieniach feralnego kochanka i co z nim zrobić, i co to będzie! I gdyby tak! Chyba się nie da! Czekam mnie ciężka praca, przygotowanie wystawy, *niechże się pani weźmie wreszcie do roboty, pani Zuzanno*, wybór płócien, rozmowy z innymi placówkami muzealnymi na temat wypożyczenia płócien, skatalogowanie płócien, szczegółowy opis, kurz, werniks, cisza i nieodwołalne terminy. *Wiadomo, wszystko na wczoraj, pani Zuzanno, wszystko na wczoraj*. Niech to szlag!

*Pani, może on długów narobił albo jeszcze jaką inną kobietę miał na podorzędziu! Przecież on zaufania nie budził, że nie budził. Sama to pani wie najlepiej*, sąsiadka głową pokiwała, spracowane dłonie na wielkim brzuchu położyła, oj tak, tak! Zasłużone są wyroki boskie, niezbadane są wysoki chłopskie!

- Zaufania on po prostu nigdy nie budził - wtóruje nieświadoma Benny. — Tak więc wszystkiego się można po nim spodziewać. Zresztą, nigdy go specjalnie nie lubiłam - dodaje, jakby brak sympatii tłumaczył brak empatii. A może właśnie tłumaczy? Kto to wie?

*Ubrany zawsze jako to dziwadło. Pani, żaden jeden szanujący się mężczyzna takich ciuchów nigdy nie założy. Ze szmateksu pewnikiem. Na wagę kupował. Pamięta pani ten płaszcz czarny, popelinowy, długi, że aż długi? Prawie się o niego potykał. Prawie się potykał. I kozaki czerwone? Jak kocur w butach, albo jeszcze gorzej!*

A żebyś ty, kochana, zobaczyła, w czym on teraz chodzi, pomyślałam, powstrzymałam uśmiech, byłby bardzo

nie na miejscu w chwili tak poważnej. Oczami wyobraźni zobaczyłam maleńkiego Dominika w lalczynych ubrankach, we włóczkowych kapturkach, w niemowlęcych kaftanikach. Doprawdy! Czerwienić się z zażenowania!

- Może wplątał się w jakąś historię... Może się go pozbyli... Może mafia... Co? Myślisz, że mafia?

- Nic nie myślę. Nic nie wiem. Daj mi spokój. Muszę się wziąć za tę cholerną wystawę.

- A najpewniej okaże się, że cały, zdrowy i nic mu nie jest. Jakieś nieporozumienie i tyle. Co? - Całkiem prawdopodobne. - E! Wcale mnie nie słuchasz.

- Słucham, Benny. Słucham. Jakieś nieporozumienie.

- Rafał mówi, że faceci często pozorują zaginięcia. Szybko, sprawnie i po krzyku.

- Skoro Rafał tak mówi...

- Mają kłopoty zawodowe albo długi, albo kochankę, albo żona ich zdradza...

- Albo czekają na narodziny pierworodnego.

- Pewnie tak.

- Poza tym, ciała jeszcze nie znaleźli. Więc jest szansa, że żyje.

- Jest.

- Jest?

- Ale minimalna. A zresztą, on mnie też nie lubił, no i jesteśmy kwita. O! Tu twoje miejsce — Benny odłożyła gazetę na półkę, niech sobie Dominik leży wśród artykułów o sztuce, o tak zwanej sztuce, o fałszerzach sztuki, o pseudosztuce i sztuce jakby. Malarstwo zachodnioeuropejskie, freski, deski, miniatury. Pastele i akwarele. Definitywnie i profesjonalnie. O zaginionych zapomnieć. Zwłaszcza że przecież około siedemdziesięciu procent odnajduje się

szczęśliwie. Czy Dominik znajdzie się w grupie szczęśliwców?

— Może się znajdzie, może się nie znajdzie, to nie nasz problem. Żonaty jest, niech się kobieta martwi. Zawsze był nieszczerzy i nie dotrzymywał obietnic, pamiętasz?

Nie pamiętam. Nie chcę pamiętać. Moje uczucia rozpieczęły się niczym róża wiatrów, w cztery strony świata, trochę tu, trochę tam, na ogół jednak nic. Nic. Nic. Pusto.

*Wiązać się, pani, z takim to tylko nieszczęściem. Cud, że się pani ocknęła w porę. Toby się pani teraz zamartwiała, że aż zamartwiała. Pan Bóg rękę na pulsie trzymał. I dobrze się stało.*

Pan Bóg trzymał rękę na pulsie, o wszystkim pomyślał, o sprawiedliwość zadbał, wiarołomstwo ukrócił. Do trzydziestu trzech centymetrów wysokości. I pół. Niech będzie i pół! Sąsiadka uśmiechnęła się do mnie, zapewne, żeby dodać otuchy, w końcu to i sól, i pieprz, i zawsze liczyć można na drugiego człowieka. I w ogóle.

- Nie martw się, Zuza - pociesza mnie Benny. - Pewnie, że nic przyjemnego. Ale to przecież już nie twój biznes. Tak się wyspał, jak sobie posłał, prawda? Prawda?

Coś w tym jest. Jak sobie posłał, tak mamy. Puchowe kołdry z ziarenkiem grochu pod spodem, który przeszkadza, uwiera, zasnąć nie daje. Strach i zwątpienie od wypędzenia z raju Masaccia, poprzez wydłużone cierpienie na krzyżu el Greca, do triumfalnego korowodu ludzkiego z kostuchą na czele. W kaplicy świętego Bernardyna. W końcu prochem jesteś i w proch się obrócisz. Na sto procent. Biedny Dominiku!

- Jest komunikat o twoim zaginięciu - informuję zaraz po przyjściu do domu.

Rzucam gazetę na podłogę, proszę, proszę, popatrz sobie, sobie popatrz, poczytaj. Co nas zresztą taki komunikat obchodzi? Nikt i tak nie będzie szukał osobnika o wzroście trzydziestu kilku centymetrów, który waży... ile właściwie? Kilogram? Półtora? Bo chyba nie dwa?

- I co piszą? - Dominik siedzi na łóżeczku, ogląda bose stopy, paznokcie są już stanowczo za długie, trzeba je będzie obciąć i wyrównać.

- A co mogą pisać. Takie tam.

- Czyli co?

- Dziecko się już urodziło.

Dominik patrzy z niedowierzaniem, coś takiego, coś takiego! Jest trzydziesty czerwca. Już? Już? Urodziło się? O Boże! Szczęśliwa trójca, pierwszy krzyk, zawsze najpiękniejszy i najbardziej oczekiwany. Jeden plus jeden równa się trzy, klamka zapadła i niech tak zostanie. Ojca i matkę powinny teraz łączyć nieprzespane noce, jęklive wieczory, pospieszne poranki. Zdrowe zupki, śliczne kupki, oczekiwane beknięcia, starannie liczone oddechy. Mąż i żona. Żona i mąż, który zniknął gdzieś, zapodział się, odszedł i zaniechał. Miłość przez zaniechanie. Ale się porobiło!

- Chłopiec czy dziewczynka? - szepcze Dominik. - I co ja tutaj robię?

Domyślam się, że ma do mnie pretensje. O wszystko. O wygląd, o wzrost, o życiowe niedogodności. O upokorzenie.



- Nie napisali, jaka płeć. Nie napisali, czy zdrowe. Nie napisali, ile punktów. No popatrz, taki brak informacji. Nie postarali się. Ale gdyby coś z nim było nie tak, toby napisali, prawda?

Dlaczego staram się być złośliwa? Kąsam słowami, wyrazem twarzy, pogardliwym uśmiechem.

- Pewnie tak. Jestem ojcem. Jezu, jestem ojcem. Nie wierzę!

Ciężki poród, jakoś obyło się bez cesarskiego cięcia, wiele stęknąć i potu. Ból od krzyża, który trzyma ciało jak w obręczy. Nie było od niego ucieczki. I nikogo bliskiego, kto pottrzymałby zaciśniętą dłoń. Czy tak to było? Dominiku? Właśnie tak?

- Jesteś. Jesteś. Ojcem. Przecież tego właśnie się spodziewałeś, prawda? Zaczęło się od przyjemnego zapłodnienia, ciekawe gdzie, ciekawe jak, ciekawe, czy zgodnie z planem, ciekawe, w jakiej pozycji, ile razy, długo czy krótko, później nastąpiło dziewięciomiesięczne oczekiwanie, no i masz! Babo placek! Ojcostwo sfinalizowane!

- O co ci chodzi?!

- O nic.

- No przecież o coś ci chodzi!

- O nic mi nie chodzi!

- Jak to ci nie chodzi, kiedy słyszę, że o coś ci chodzi.

- A o co może mi chodzić?! Pewnie wymyśliłam sobie to wszystko!

- Co sobie wymyśliłaś?! Mam tego dość!

- To zupełnie tak jak ja.

- A czego ty możesz mieć dość?!

- Ciebie?

- Mnie?

- Ciebie?

- Ach tak. Po prostu chciałbym zobaczyć własne dziecko! Czy to takie dziwne?

- Czy ja mówię, że dziwne? Chciałbyś zobaczyć, więc idź i zobacz!

- Bardzo śmieszne.

- Po prostu idź i zobacz!

- Po prostu bardzo, bardzo śmieszne.

Spoglądamy na siebie z dwóch różnych płaszczyzn, dzieli nas wzajemna niechęć, złość i poczucie przegranej.

- Ależ oczywiście, twoje miejsce jest teraz przy małżonce. Mogę cię zanieść. Umoszczę cię w torbie podróżnej albo w koszyku z warzywami. Będziesz siedział w liściach kapusty. Jak nowo narodzony. Połowica na pewno się ucieszy. Podniesie cię wysoko i popatrzy na buźkę niemowlaka. Albo staniesz przy łóżeczku, podskoczysz kilka razy i coś tam zawsze zobaczysz. Chciałbyś?

Dominik przechyla głowę w prawą stronę, ciąży mu kolczyk, który tkwi w prawym uchu. Połyskuje sympatycznie, w drobnej kropli wypolerowanego szkła odbija się świat. Zwichrowany. Chory. Kolczyk pasowałby Cygance, wróżce, tancerce, aktorce. Dominikowi nie pasuje, deformuje postawę, w przyszłości takie stałe przechylenie może spowodować skrzywienie kręgosłupa. Prawostronne. Gdyby drugiego kolczyka nie podarował swego czasu żonie, obciążenie uszu byłoby równomierne i nie powodowałyby zniekształcenia kości. Co najwyżej uszy rozciągnęłyby się do długości ponadprzeciętnej. Widzisz, Dominiku, widzisz? Nie należy dzielić się prezentami, które otrzymało się od

ukochanej. Zapamiętaj i wyciągnij wnioski. Jeżeli jest jeszcze jakaś przyszłość dla zminiaturyzowanych dziwnych osobników.

Dominik wzrusza ramionami, odwraca się do mnie tyłem. Daje do zrozumienia, że gardzi. Gardzi mną, gardzi niewydarzonymi pomysłami, złośliwościami, brakiem zrozumienia. *Jakie zabawne, jakie zabawne, co za zajebiste poczucie humoru*, mamrocze pod nosem. Słowa jakby nadgryzione. Ogryzki zielonych jabłek. Nadgnięte i sfermentowane.

- Nie chcesz, to nie.
- Daj mi spokój.
- Mogę się ewentualnie dowiedzieć...
- Nie musisz.
- Mogę się dowiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczynka.
- Nie musisz. Niczego nie musisz.
- I jak ma na imię.
- To moja sprawa. Tylko moja. Odczep się.

Dziennikarskie potwierdzenie maleńkiego ojcostwa. Rodzic mniejszy od potomka. Życie płata figle i nigdy nie wiesz, czy wyciągniesz z talii asa czy waleta? Króla czy dziesiątkę? A może damę pik?

- Oczywiście. To tylko twój cholerny problem.
- A żebyś, kurwa, wiedziała. Mój!

„Żebyś wiedziała” to słowa, które zwalniają od odpowiedzialności, od obowiązków, od codziennego zaaferowania, czyli radź sobie sam i daj mi święty spokój. Słowa wzmocnione soczystym wykrzyknikiem, tak, tak, *finito*, *finito*. Słyszę cichy chichot prababki. *Świetnie! Znakomicie!* Siadam przy biurku i włączam komputer.

Radź sobie sam!

Poszukuję motywu śmierci w malarstwie zachodnio-europejskim.

Daj mi święty spokój!

Wpisuję pokrewne hasła, szukam, odnajduję. W końcu mam przecież przygotować wystawę. *Samo się nie robi, pani Zuzanno. Samo się nie robi.* Najpierw niech będzie Adam i Ewa, i to nieszczęsne jabłko, od którego wszystko się zaczęło, *smętny pomysł, pani Zuzanno, świetny pomysł*, a może to nie było jabłko, może to był owoc granatu albo cytryna, a dlaczego nie miałyby być żółty i dojrzały banan albo ciężka i smaczna grucha? Później kilka Chrystusów na krzyżu, opłakiwanie, gdyby tak sprowadzić Mantegnę z Mediolanu... Śmierć jako jedna z wielu konsekwencji życia. Podstępna i nieunikniona.

Radź sobie sam! Kurdupłu! Mam cię dość!

Słyszę Dominika, który w drugim pokoju ćwiczy pompki. Ma nadzieję wypracować sprawność i tężyznę fizyczną i wrócić do normalności. Wyrzuty rąk, nóg, przysiady, skłony, brzuszki. Mają być drogą do osiągnięcia prawdziwie męskich gabarytów. Jego życie jest jak odległa planeta, która krąży wokół obcej, nieznannej gwiazdy, tworzy własną wartość. Przemija.

Caravaggio, Rubens, Poussin. Kiedy przeraża nas perspektywa zniknięcia, zaczynamy żyć bardziej intensywnie, a co tam! Czy nasze trajektorie nigdy się już nie spotkają?

*Pozbądź się go jak najszybciej. Na co czekasz? Na kłopoty?* Szept prababki jest jak sączenie trucizny, wytrwały, systematyczny, *in octu oculi*, wszystko to marność, marność, marność nad marnościami, chłodna kolorystyka, półcień, de Valdes Leal. A także Frans Hals i Hans Holbein, i czterdzieści jeden drzeworytów przedstawiających śmierć.

*Za długo się wahasz?. Już powinnaś coś postanowić. Nie widzisz, że on ci po prostu przeszkadza?*

A jednak śmierć niczego nie zmienia, życie toczy się dalej, zawsze tak było, jest i będzie. Czern przybrana eleganckim fioletem, dostojne kalie, obrazy przepełnione ironią i drwiną, linearne, plastyczne. Bosch i Bruegel. Walka i dążenia. Tędy, tędy, do piekła prosto i na lewo. Trzecia brama po prawej. Bez odwrotu.

*Zabij go. Jesteś czarownicą. To nie będzie trudne. Zobaczysz.*

Nic nie jest łatwe. Rembrandt w stworzonej przez siebie lekkiej barwnej mgiełce wie, że nic nie jest łatwe. Zna go-rycz cierpienia i zakątki serca dotąd niezbadane. Czy uda się wypożyczyć jeden z jego obrazów na wystawę? Bardzo w to wątpię. A może? *A może, pani Zuzanno, a może?*

Namiętny Goya, który patrzy, ocenia, potępia i oskarża. Goya na pewno uświetniłby wystawę, krew i szaleństwo. Bezsilność. Strach. Znowu strach.

*Chyba się nie boisz?! Takie jak my nie boją się niczego.*

Niczego się nie boję, nie boję się niczego, ale mam dość! W moim domu mieszka maleńki osobnik. Jego wzrost nie przekracza trzydziestu trzech centymetrów. Trzydzieści trzy i pół? Wszelkie szczegóły anatomiczne wskazują, że osobnik należy do gatunku *Homo sapiens*. Mikro. Otóż to! Mam tego dość! Przepełnieni niekontrolowaną tajemnicą, nieświadomi, bojaźliwi, pozbawieni mistrzów i ksiąg. Różowe myśli, cierniste uczynki. W ciemności. W pustce. *Daemonica magia*. Jednak tak. Przyglądam się owemu wybrykowi natury z wyżyn okrutnej normalności, *ciagle tu jesteś, dlaczego ciagle tu jesteś?* On patrzy na mnie spojrzeniem, które mówi *ciagle tu jestem, dlaczego ciagle tu jestem?* Pytania, zagadki. Odpowiedź widoczna jest jak na dłoni. Mam dość!

Gericault i Delacroix, epika i dramaturgia, uczucie i wyobraźnia. Miłość, która prowadzi na manowce, nie tak to miało być, nie tak to być miało.

*Zabij!*

Babciu! Przestań!

*Zabij!*

Daj spokój! Pozwól mi pomyśleć! To moja decyzja!

- Zuzanno...

*Wkrótce będzie za późno.*

Wszystko jest pod kontrolą.

*Tak ci się tylko wydaje.*

- Zuzanno...

- To ty? Czego chcesz?

To on? Czego znowu chce!

Tak. To znowu on. Cholera jasna! Znowu on! Zmartwiona mina, obwisłe ramiona. Strzép godności. Śmieszność.

*Jak możesz na niego patrzeć!*

- Chciałbym się napić...

*Jak możesz przebywać z nim w jednym pomieszczeniu!*

- Chce mi się pić...

*Jak możesz go obsługiwać!*

- Chce ci się pić? No proszę! Czyli jednak jestem ci do czegoś potrzebna. Herbata czy woda?

Herbata czy woda? Kawa czy sok owocowy? Piwo? Coca-cola? Ile kropel? W lalczynej filiżance czy w kieliszku do likieru? Dominiku? Filigranowy osobniku? Frajerze, którego chciałam się pozbyć. Teraz. Zaraz. Już.

- Nie, nie. Chciałbym się napić wódki.

*Wódki! Chciałby się napić wódki. Powiedz mu, że od wódki rozum krótki.*

- Wódki?

- Tak, wódki. Przepraszam.

- Chciałbyś się napić wódki? I co ja mam zrobić z takimi zachciankami? Oczywiście. W końcu jest i pępkowa okazja. Wódka urodzinowa. Czy mam ci towarzyszyć czy wolisz pić w samotności?

- Zuzanno, przepraszam. Niepotrzebnie się kłócimy. To do niczego nie prowadzi, prawda?

*Aż przykro słuchać!*

Coś takiego! No pewnie. Kłótnie nie rozwiążą problemów, nie pomogą podjąć decyzji. Wyciągam kieliszki do wódki, nalewam po równo. Ciężki gatunek, zdradliwa moc, zwyczajny toast za nowo narodzone. Dominik pije alkohol małymi łydkami. *Za dziecko*, szepcze, pochyla głowę, chce ukryć przede mną twarz i cierpienie. Płacze. Łzy spływają po maleńkich policzkach. Utoczone ze smutku. Żłobią jasne bruzdy w brudnej twarzy. Bezradne. Duże i błyszczące. Zamykam oczy, żeby nie widzieć, nie wiedzieć, nie żałować, nie czuć...

I wtedy...

*A widzisz?! Nie mówiłam?!*

Co znowu? Dzwoni telefon.

*No właśnie. Przecież mówiłam.*

Dzwoni telefon. I co w tym nadzwyczajnego?

*Zaczną się kłopoty.*

Jakie kłopoty? Po prostu dzwoni telefon.

*Zaraz usłyszysz.*

Dzwoni telefon. Natarczywy dźwięk wypełnia pomieszczenie. Odebrać? Nie odbierać? *Trzymaj się, dziewczyno!*

Telefon zadzwonił po ósmej. Ostry, złowrogi sygnał, który zdawał się wdzierać w pełne oczekiwania napięcie. Odbierz! Odbierz! Nie! Nie odbieraj! Nie odbieraj!

Odebrałam.

— Detektyw Olaf Krasnogrodzki. Wydział piąty do spraw kryminalnych. Jestem w pobliżu pani domu. Czy mógłbym wpaść na kilka minut?

No tak. Można się było spodziewać. Czy mógłby? Wpaść? Już? Zaraz? Teraz? Wnikliwe badanie mojej osobowości, analiza faktów, kto, kiedy, gdzie, z kim, o której, najwyżej kilka chwil niepokoju, parę kropel niepewności, pod skórą, w sercu, w umyśle. Wszędzie. Tyle co nic... Tyle co nic? I dlaczego?

Detektyw Olaf Krasnogrodzki zamierzał zadać mi kilka pytań. Na temat zniknięcia Dominika. Tej rozmowy nie można było unikać. Niestety!

## Rozdział 18

Olaf Krasnogrodzki był detektywem pionu kryminalnego, *a cóż to za zawód!*, specjalistą od zaginięć i porwań, *a cóż to za specjalista!*, lat trzydzieści trzy, zdolny, pracowity, ambitny. Przystojny? Tak, zdecydowanie tak.



Zaginiecie Dominika P. zgłoszono dwudziestego pierwszego czerwca o godzinie dziewiątej wieczorem. Zgłoszenie wniosła żona zaginionego, Sandra P, wykształcenie średnie, niepracująca, lat dwadzieścia osiem. W zaawansowanej ciąży.

*Mąż wyszedł dwa dni temu, dotychczas nie wrócił, mówił, że jeżdża w delegację służbową, ale to nieprawda. Redaktor gazety powiedział, że nigdzie go nie wysyłał, pewnie poszedł do kochanki, miał jedną czy dwie. No cóż... wie pan, jak to jest...*

Olaf nie wiedział, ale domyślał się, w końcu detektywem od zaginięć i porwań był od dawna, widział niejedno, słyszał niejedno i podejrzewał niejedno. W gazecie zamieszczono zdjęcie zaginionego, napisano kilka okrągłych zdań. Korpulentny brunet w wieku trzydziestu kilku lat, ubrany, ledwo ubrany, w końcu upał był tamtego dnia nie miłośnierny, szorty, T-shirt. Jeśli ktoś widział, słyszał, domyślał się, niech da znać, niech zadzwoni, napisze, przyjdzie, powiadomi, wszystko, wszystko.

*Och, panie detektywie, znajdzie się? Myśli pan, że się znajdzie? Dostał awans. Miał zacząć nową pracę. Był taki szczęśliwy.*

Detektyw Olaf Krasnogrodzki zbierał materiały dowodowe, rozmawiał z ludźmi, układał, przymierzał, rozmyślał. I wiele rzeczy mu się nie zgadzało.

*Dominik? No wie pan, jestem jego szefem od... czternastu lat? Tak, od czternastu lat. Nigdy nie był zbyt sumienny ani błyskotliwy. Ale starał się wywiązywać z powierzonych mu zadań. Oczywiście, na miarę swoich możliwości. Awans? No tak. Tak to bywa. Były naciski. Ojciec jego żony to wpływowa osoba, co robić. Samo życie. W końcu świat się nie zawali, jeśli da się człowiekowi szansę, prawda?*

Teść zaginionego oceniał zięcia z dystansem. Chłodno.

*Nigdy mi się nie podobał. Po prawdzie nigdy mi się nie podobał. Pyłem przeciwny temu małżeństwu, ale wie pan, jak to jest, kiedy kobieta się uprze. Nic nie poradzisz. Taki facet bez jaj, jakby to powiedzieć. Myślał tylko o sobie, w siebie wpatrzony, innych miał za nic. I zachowywał się, jakby wszystkie rozumy pozjadał. Rozumie pan? Przemądrzały taki. Starąłem się mu pomóc, wiadomo, w końcu to mąż córki, jaki by nie był, ale... Niczego złego mu nie życzę, rzecz jasna, pewnie się znajdzie, jak zły szeląg, jak to się mówi, jednak... Rozumie pan? No... Właśnie...*

Detektyw rozumiał, współczuł, analizował. Dominik R, dziennikarz lokalnej gazety, żonaty, związek małżeński zawarty piętnastego grudnia w Urzędzie Stanu Cywilnego numer dwa, trzydziestego czerwca urodziła mu się córka, zarobki przeciętne, konto w banku puste, niewielki debet, kredytów brak. Wysoki, wzrost sto osiemdziesiąt jeden centymetrów, lekka nadwaga, włosy ciemne, bez znaków szczególnych. Wyszedł z domu dziewiętnastego czerwca, twierdził, że jedzie w delegację służbową, w żadną delegację służbową jednak nie pojechał. Nikt go nie widział. Z nikim się nie kojarzył. Słuch po nim zaginął.

*Lekarstwa? Nie, nie brał żadnych leków. Wie pan, aspiryna, witamina C, jakieś takie. Tabletki od bólu głowy. Czasami. Jak każdy. Ale nic innego. Nie był na nic chory. Nie chodził do lekarzy. W dzieciństwie chyba też nie chorował na nic poważnego.*

*Alkohol? No... lubił wypić. Pewnie. A kto nie lubi. Ale nie był alkoholikiem. Co to, to nie. I nie palił. Ani żadnych innych nałogów nie miał.*

*Narkotyki? Skądże! Nic nie wiem o żadnych narkotykach. I nic nie wskazywało, żeby brał. No co pan!*

Owszem, był towarzyski. Z kolegami na piwo, jak czas pozwalał. Ale czasu za dużo nie miał. Czasami, przy jakiejś okazji. Albo i bez okazji. Ale rzadko.

Nie, nie był hazardzistą. Nic o tym nie wiem.

Kobitki lubił. Tak. Tak. Kobitki lubił. Ale czy to coś złego? Homoseksualistą w żadnym razie nie był. Homoseksualistą nie był. Nic mi o tym nie wiadomo.

No i pieniądze się go nie trzymały. Nie wiem, na co wydawał, ale lubił się ubrać. Inaczej niż wszyscy. Żeby zwrócić na siebie uwagę. Wie pan, to oczywiście nic złego, ale trochę dziwne, żeby facet taką wagę do ciuchów przywiązywał. Może był próżny? Albo transwestyta?

Nie, chyba nie trwonił pieniędzy na dziewczyny. To raczej one go utrzymywały. Jakoś tak potrafił się urządzać. Do tego to miał talent, nie ma co!

Ubrania, kosmetyki, biżuteria. Nosił biżuterię, wyobraża pan sobie? Nie ma co mówić. Szkoda czasu na takiego.

Nie. Do burdeli? Chyba nie. Nie słyszałem.

Miał taką fajną dziewczynę. Długi czas. Zuzanna? Joanna? Tak. Zuzanna. Bardzo atrakcyjna babka. Lubił się z nią pokazywać. Wszystkie chłopcy się na nią gapili, a on był wtedy dumny jak paw. Wie pan...

Czy pieniądze pożyczał? Nic o tym nie wiem. Ode mnie nie pożyczał. W każdym razie.

A inna taka... Starsza była, mówi się całkiem dojrzała, ale bardzo zadbana, elegancka kobieta. Marta? Wiera? Włada? No, nie pamiętam. Przyjeżdżała po niego do pracy samochodem, buzi, buzi i w drogę. Ale to nie trwało zbyt długo. Jednym słowem, babiarz był z niego. Można tak powiedzieć. Wszystkie bufetowe i kelnerki zawsze go obskakiwały. A i niektóre redaktorki też. Zresztą, nie wiem, co w nim widziały. Tęgawy, trochę niechlujny. A jednak... Widzi pan.

Detektyw widział, zapisywał, kojarzył. Oceniał możliwości odnalezienia i nieodnalezienia Dominika. Na tym etapie śledztwa trudno było przewidywać, pozostawały przeczucia. Olaf Krasnogrodzki przeczuwał, że poszukiwany żyje, być może ma się dobrze, być może gdzieś się zaszył. Sam? Z kimś? Dlaczego? I na ile jeszcze pytań nie ma odpowiedzi? Świat pełen tajemnic. Puste kartoteki. Równanie ze zbyt wieloma niewiadomymi.

Najbliższymi krewnymi Dominika P. były żona i matka.

*Poznaliśmy się w październiku, nad tamtym jeziorem... Wie pan, Dominik przyjechał, żeby opisać jakieś łabędzie skute lodem, a może gęsi, zresztą żadnych łabędzi tam nie było, gęsi też nie. Niczego nie było. Lodu tym bardziej. Widział pan lód w październiku? I tak to się zaczęło. Spacery o zmroku. Kolaje w restauracji. Wspólny pokój w hotelu. Dyskoteka. Dominik. Uroczy, szarmancki, inteligentny. Dowcipny. Miłość od pierwszego wejrzenia. Tak mówił. Spędziliśmy ze sobą chyba dwa tygodnie, odwiedziliśmy jego matkę, mieszkała gdzieś tam, niedaleko. Przedstawił mnie jako swoją żonę. Szybki był. Tak. Ale chyba nie kochał mnie naprawdę?*

Sandra R, żona zaginionego, niezbyt ładna blondynka, która opowiadała o mężu, używając czasu przeszłego, gramatycznie był, nie był, przyjechał, namówił, powiedział. Umarł? Przepadł? Zabili go? Czy uciekł? Powiedział, że kocha. Powiedział, że chce się żenić. Powiedział to, powiedział tamto. Czego nie powiedział? Dlaczego? Kiedyś. Dawno. Czasowniki dokonane. Tryb pełen zwątpienia. Ile dni temu? Wierzyła? Nie wierzyła? Kobieta.

Oczywiście. Nie byłam jedyna. Wiedziałam. Istniała inna kobieta. Inne kobiety istniały. Zapach perfum, chwile zamyślenia. Brak czasu. Wyjazdy. Kłamstwa. Ależ się nakłamał, mówię panu. A to delegacja, a to chory przyjaciel, którego trzeba odwiedzić. A to męskie spotkanie w plenerze. Wyobraźnię to on miał. Ajakże! Skąd wiedziałam? No cóż... Przecież nie jestem głupia. Takie rzeczy się wie. Takie rzeczy się wie. Tak. Się wie. Smutne, prawda? A jednak niezbyt smutne. Prawdziwe. Można się z tym pogodzić, a ja chyba się pogodziłam. W końcu umiem ocenić człowieka.

Matka miała ponad osiemdziesiąt lat, mieszkała samotnie w małej, ubogiej chatce na skraju wioski, kaflowa kuchnia, dwie izby, mroczna sionka, bieda aż piszczy.

Dominik, dobry chłopiec, trochę postrzelony. Wszędzie go było pełno. A to nad rzekę z kolegami, a to do lasu i po co do tego lasu. A to tu, a to tam. Urwanie głowy. I bardzo zdolny. Jest głównym redaktorem ważnej gazety. Wie pan, to nie byle kto. Kontakty, zna niejednego polityka i artystę. I ludzi interesu. Ma służbowy samochód i szofera. I służbowe mieszkanie. Bez pieców. Centralne ogrzewanie, gorąca woda. Balkon. Zdaje się na pierwszym piętrze. I winda. Tak to się teraz żyje. W mieście. Nie, nie byłam, jakoś się nie złożyło. Ale będę. Na pewno odwiedzę, jak tylko czasu stanie. W przyszłości. W przyszłości. Teraz nie czuję się najlepiej. Ostatnio był tutaj z żoną. Bardzo ładna kobieta. Elegancka, dobrze ubrana, dobrze zbudowana. Nie to, co to teraz te młode. Chude jak szczapy, tylko patrzeć, a brzuchy im do pleców poprzysychają. Pasują do siebie, proszę pana. Tak, tak. Pasują do siebie. Postawni, silni. Takim dużym czarnym samochodem przyjechali, ja tam się na samochodach nie znam, ale chłopaczkowie z wioski cały czas tu wokoło chodzili i popatrywali. Chodzili i popatrywali. Tak było. Proszę, niech pan spojrzy na te zdjęcia... Z pierwszej komunii, z bierzmowania, z pogrzebu... A jego teść jest jakimś dyrektorem. Też ważnym, proszę

pana. Też ważnym. I willę podobno mają. Proszę, niech pan patrzy... To jego pies. Przybłąkał się kiedyś, Domuś się nim zaopiekował, nie było większych przyjaciół. Wszędzie razem. Pies pod szkołą czekał, aż Dominik skończy lekcje. Ojciec byłby z niego dumny, mówię panu. Byłby z niego dumny. Ech!

Detektyw patrzył, potakiwał, wąpił, nie wąpił. Oglądał fotografie, dokumenty, porównywał, rejestrował. Nie lubił papierkowej roboty, ale przyznawał, że czasami może być przydatna. Dzięki niej uświadamiał sobie sekwencję zdarzeń, było, kiedy było, nie było, choć miało być.

Nie lubię Dominika. Powiem szczerze. Nie lubię Dominika, bo jest... taki miąłki, byle jaki, nie ma w nim nic interesującego. Pospolity. I strasznie łakomy. Ciągłe go widziałem w naszej kafejce i gęba mu się ruszała. Bez przerwy. A to pączki, a to jakieś torciki, a to bigos, fasolka, no mówię panu... nie można było patrzeć. Tu tyle roboty, wszystko na wczoraj, a ten tylko siedzi i żre, siedzi i żre. Do obrzydliwości!

Dominik... No cóż... Wie pan, że miał dostać awans? Dziwne.

Awans. Hm. No, jak by to powiedzieć... Nie był wybitnym dziennikarzem.

Pewnie się znajdzie. Może zakotwiczył u jakiejś laluni. Kiedyś już tak było, wie pan? Nie przychodził do pracy, naczelny go szukał, groził, że go zwolni, a on — jak gdyby nigdy nic — wkracza po tygodniu czy po dziesięciu dniach i pieprzy głupek, że chorował, niech go cholera! O, przepraszam.

Symulant, oszust i manipulator. Teściowa Dominika także nie potrafiła znaleźć w zięciu żadnej pozytywnej cechy.

Proszę pana. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby wiedzieć, z kim ma się do czynienia. To jest byle kto. I zawodowo, i rodzinnie. W końcu wiemy o nim dużo, mój mąż zna jego szefa, załatwił mu

*to i owo, o wielu rzeczach słyszeliśmy, wiele widzieliśmy. Nie mamy złudzeń. Sandra? No cóż... Sandra bardzo chciała wyjść za męż. Rozumie pan? Nie było odpowiednich kandydatów... Ale to rozsądna dziewczyna. I ona wie, co to za ziółko. Oczywiście. Oczywiście chcemy, żeby się znalazł. Mamy nadzieję, że się znajdzie. Po co nam takie kłopoty. A pan? Przypuszcza pan? Że co mogło się stać?*

Co się mogło stać? Detektyw Krasnogradzki zachodził w głowę, rozpytywał, układał. Może... Może wszystko było proste? Może nie zachodziła obawa, że...? Może okaże się w końcu, dlaczego...? Może wyszedł z domu, zabłądził, zapomniał? Może nie zauważył? Może...

*Co właściwie o nim wiem? Ile miał lat, kiedy umarł jego ojciec? Na co chora jest jego matka? Czy nauczył się jeździć na nartach? Czy umiał jeździć na łyżwach? Albo na rolkach? Kim była jego pierwszą dziewczyna? Nic o nim nie wiem. Nawet nie wiem, co lubił czytać. Przypna pan, że żona powinna więcej wiedzieć na temat swojego ślubnego. Nieprawdaż?*

Dominik P. Do szkoły podstawowej chodził w małej wiosce, w której jego matka mieszka do dziś. Liceum ogólnokształcące ukończył w pobliskim mieście powiatowym, był uczniem przeciętnym i niczym się nie wyróżniał. Studia rozpoczął na wydziale historycznym, później przeniósł się na etnografię, której także nie skończył. Prawo jazdy zrobił osiem lat temu, ale nigdy nie kupił samochodu. Pracę w redakcji gazety udało mu się znaleźć dzięki protekcji znajomej.

*Kobieta go zaprotegowała? Wie pan, jakoś nie pamiętam. Ale bardzo możliwe. Bo niby dlaczego ktoś miałby go zatrudnić? Na piękne oczy?*

Oczy ciemne, gęste brwi, zmysłowe usta. Śniada cera. Falujące włosy. Na ogół nieuczesane. Ściągał je gumką w kucyk. Czasami.

*Czy pan wie, o czym piszę moje artykuły? O ludziach. O ludziach, którzy umierają w brudzie, w głodzie i w chłodzie. W nędzy. Wnieszczani, wymizerowani. Zapomniani. Skręceni z niedożywienia. Wykrzywieni z nowotworowego bólu. Żebracy, którzy żębrzą o żdźbło litości. Niecierpliwie liczą chwile do niechlubnego końca. Kiedyś ten głupi sukinsyn poszedł ze mną do hospicjum. Żeby zobaczyć, jak się robi taki reportaż Czy pan wie, jak się zachowywał? Był zdegestowany! Zdegustowany był! Bydlak! Za brzydkie było wszystko. I co tu tak śmierdzi. A ci ludzie jacyś dziwni. Charczą, smarczą, ledwie oddychają. Nie na jego eleganckie poczucie smaku. Przytykał chusteczkę do nosa. Gdyby mógł, uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Że to niby miał katar. Żałosny skurwiel! Mówię panu. Żałosny. Niedorobiony.*

Żałosny skurwiel, palant, głupek. Nieudacznik. Wydawało się, że Dominika P. nikt nie lubił, nikt nie szanował, nikt nie doceniał. Jak to możliwe? Nikt? Prawie nikt? Dlaczego? Duchowość i poczucie empatii kształtowane są życiowym doświadczeniem, mierzone zaangażowaniem w działania na rzecz innych, daję, bierz, na zdrowie, na zawsze, nie oddawaj. Przyjmij. Proszę. Tak. Dominik najwidoczniej dawać nie potrafił. Pożyczać nie lubił. Angażować się nie miał przyjemności.

*Dominik? Och, taki miły pan. Zawsze pożartował, uśmiechnął się. Kiedyś przyniósł mi kwiaty. Bez okazji. Mówił, że mam oczy jak ocean. Niezglębione. Czy to nie wspaniałe? Nikt tak do mnie nie mówił.*



A jednak. Oczy jak ocean, piersi jak kragłe jabłka, biodra jak miednica. I wargi. Lśniące. Wilgotne. Różowe. Rozchylone. Gotowe.

*Znam, oczywiście. Kiedyś chciał się ze mną umówić. Odmówiłam, bo co by mój chłopak powiedział. Ale bardzo się lubimy. Tak jakby łączyło nas jakieś porozumienie. Niepisane. Tylko my dwoje. I nikt inny.*

Uśmiech. Szybkie uderzenia tętna, oddechy złączone w jedno. Chętne palce, które niecierpliwie rozpinają guziki bluzki. Szybciej. Szybciej. Trzeba zamknąć biurowe drzwi na klucz. Miękkie pulsowanie.

*Wie pan, on miał w sobie to coś... To coś, co się podoba kobietom. Jak na pana patrzył... wydawało się, że ma... no, wie pan, nie chcę być wulgarna, ale tak się mówi, no... że miał małego w oczach. Albo i nie takiego małego. Na pewno niejedna marzyła, żeby pójść z nim do łóżka. To się czuło. Mogę się założyć, że był świetny. W łóżku świetny. To znaczy... mogę się założyć, że jest świetny. Głupio wyszło.*

Wyszło głupio. Bez sensu. Facet zniknął. Życie toczy się dalej.

*Najchętniej robił te reportaże, przy których mógł się najeść. Za darmo, oczywiście. Jakieś targi produkcji rolnej albo otwarcie domu handlowego, albo rajd rowerowy. Tylko patrzył, gdzie piwo, ciastka, kielbaski z rożna, kaszanka. Może miał tasiemca? Pochłaniał wszystkiego ogromne ilości. Byłem z nim kiedyś na takiej imprezie, aż mi wstyd było. Ważny pan dziennikarz, który z nikim nawet słowa nie zamienił, rozsiadł się przy barze i wpięprzał, aż mu się uszy trzęsły. Wyobraża pan sobie?*

Detektyw Krasnogrodzki wyobrażał sobie, myślał, opinie rozszczepiał na czworo, na dziesięcioro, z resztek spostrzeżeń, ze skrawków pamięci sklecał całość, obraz

Dominika P. Rysował, opisywał, czarne kreski łączył geometrycznie, linearnie, ten, nie ten, tamten, może żaden? Wyszedł, zasłabł, przewrócił się, umarł. Napadnięto go, zabito, zadźgano, uduszono. Ciało uprzątnięto, schowano, pogrzebano. Kto wie? Kto wie? Znajdzie się? Kiedyś się znajdzie? W stanie rozkładu? W stanie całkowitego rozkładu? Nigdy?

*Może wychował się w biednej rodzinie? Tacy ludzie zachowują się później tak, jakby chcieli całe to ubogie dzieciństwo sobie zrekompensować. W jedzynie. W picciu. W seksie. W ubiorze. Może to właśnie jest jego przypadek? W sumie, smutny facet. Nie ma co.*

Smutny? Z kompleksami? A może zarozumiały i zbyt pewny siebie?

*Wie pan, co o sobie mówił? Że jest wybitnym człowiekiem pióra. Zbiera doświadczenia, obserwuje, kataloguje, żeby kiedyś wykorzystać to wszystko w jakiejś wiekopomnej pracy. Że jest artystą od słów, kompozytorem zdań, stylistą, wizażystą. Tak mówił. Całkiem mu się w tym łbie poprzestawiało.*

Dominik R, który eksperymentuje, kreuje, wplata. Któremu się wydaje. Co? Wolny strzelec, przelotny wiatr. Moderator.

*Tym bardziej że talentu nie miał za grosz. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie gnioty czasem pisał.*

Dominik R, który supła wątki, później ma trudności z rozplątaniem. Najczęściej pracował w godzinach popołudniowych. Siedział przy biurku i pokrywał kartki zeszytów drobnym maczkiem. Robaczki liter, które tworzyły zwarte szyki, maszerowały zgodnie z życzeniem autora. Od nowa i jeszcze raz. Jeszcze raz. I jeszcze. Jakby przeróbki krawieckie, za długie, za krótkie, za obcisłe. Papier wszystko zniesie. No tak.

*Czy pan wie, że był jedyną osobą w redakcji, która najpierw pisała ręcznie, a dopiero później wklepywała tekst do komputera? To niesłychane, prawda? W dzisiejszych czasach. Jak uczeń. Niepewny tego, co robi.*

Niepewny, niezręczny, niedouczony. Jaki wreszcie?

*A ile było roboty z korektą tych, tak zwanych, artykułów! Błędy. Ortograficzne wyłapał mu komputer. W większości. Ale reszta! Mam nadzieję, że jeśli się znajdzie, to naczelny powie mu wreszcie, żeby sobie poszedł. To nie tylko moja opinia. Większość kolegów tak uważa.*

*A wie pan, że Dominik jest też plotkarzem? Na nikim suchej nitki nie zostawia. Wyśmiewa się z innych dziennikarzy, mówi, że nie potrafią pisać, dostają stypendia, bo mają układy. Za dużo piją, za dużo używają. Styl nie taki, metafory do dupy. Taki kutas. O, przepraszam. Zupełnie mu odbiło. Ten popełnił plagiat, tamten pisze o historii, choć o historii nie ma zielonego pojęcia. Tak jakby on sam miał o czymkolwiek jakieś pojęcie. Popapraniec. Rozumie pan?*

Detektyw rozumiał. Oczywiście. Wielu ludzi cieszyło się, że Dominik P. zniknął nagle z ich życia, może na długo, może na zawsze. I nikt po nim płakać nie będzie.

*Mówi się, że jego żona jest bogata i ma wpływowego ojca. Jakaś szychca w administracji państwowej. Dlatego się z nią ożenił. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Taki właśnie jest.*

Taki jest. Taki był. Jaki będzie? Jeżeli się znajdzie, oczywiście.

*Zaraz po ślubie przyszedł do pracy w niebieskim garniturze. Nie granatowym, nie ciemnoniebieskim, tylko wściekle niebieskim. Chabrowym? W każdym razie dziwacznym. Ale pierwszorzędnego gatunku. Do tego miał czarne buty ze złotymi wstawkami. Wyglądał*

*jak pajac, ale nosił się jak hrabia. Pamiętam jak dziś. Pokładaliśmy się ze śmiechu.*

Ubranie. Czy ubranie zdobi człowieka? Dominika P. ubranie na pewno wyróżniało. Śmiałe kolory, nietypowe kroje, modne dodatki. Biel, czerwień, zieleń, ognisty melanz, zapamiętaj mnie dobrze, dobrze mnie zapamiętaj, żółte koszule z podniesionymi kołnierzykami, nabijane ćwiekami pasy, drewniane naszyjniki na skórzanych rzemykach, kolczyk w uchu...

*Kolczyk w uchu?*

*Jak najbardziej. Kolczyk w uchu. Połyskliwy i dyndający.*

*Kolczyk w uchu. Jeden. Jeden kolczyk. Ach tak.*

*Najbardziej był chyba związany z tamą dziewczyną. Jak ona miała na imię... Jakaś malarka czy historyczka sztuki, nie wiem. Nawet się zdziwiliśmy, że ni stąd, ni zowąd ożenił się z kimś innym. Myśleliśmy, że tamten to był bardzo poważny związek. Jeśli Dominik w ogóle mógł się zaangażować poważnie. A dziewczyna była śliczna, po prostu piękna, i chyba coś do niego czuła. Szkoda jej. Żeby takiego dupka!*

*Żeby takiego dupka! Takiego nieroba! Wie pan, że Dominik do pracy specjalnie się nie przykładał? Byle jak, byle odwalić, byle szybko. I byle wyjechać. Bardzo lubił wyjeżdżać służbowo. Jakby nic go tutaj nie trzymało. Ani nikt. Może rzeczywiście nic go tutaj nie trzymało? Może nikt go nie trzymał?*

Może nic go nie trzymało? Kto to wie? Może zbrzydła mu żona, kochanka, praca? Może postanowił zacząć gdzieś indziej, od początku, takie nowe rozdanie, karty na stół, a nuż tym razem się uda? Inne imię, inne nazwisko, takie rzeczy przecież się zdarzają, daleko, jak najdalej, nie ma mnie i nigdy nie było, nie szukaj, daj spokój, zapomnij, przestań. Cóż...

*A ta dziewczyna miała na imię Zuzanna. Zuzanna jakaś tam. I pracowała w Muzeum Starych Mistrzów. Teraz pamiętam. Tak. Zuzanna. Cudo dziewczyna. Bardzo zgrabna. Kiedy szła, wydawało się, że płynie. Z wiatrem. A czasem pod wiatr. I była taka... inna?*

## Rozdział 19

Detektyw Olaf Krasnogrodzki staje przede mną w całej okazałości. Jest wysoki, smukły, domyślam się, że jest wysportowany i energiczny. Bystre spojrzenie niebieskich oczu. Jakby wnika, domyśla się, przeczuwa. Co wie? Kryję się pod opuszczonymi powiekami, czytam w jego myślach, ot tak, jakby zostawił dla mnie uchylone drzwi, troszkę, nieco szerzej, do pokładów świadomości, podświadomości, głęboko.

*Widzisz, jakie to proste?* Tym razem głos prababki mi nie przeszkadza, pasuje do ogólnego nastroju, jest subtelny i delikatny, z dawna oczekiwany. *Widzisz, jakie to proste? Czytasz w jego myślach, śledzisz jego poczynania. Wszystko wiesz. Wszystko wiem. Prawda?*

Synchroniczność myśli to rzadkie zjawisko, ale przecież spotyka się je czasami. Kiedy? *Gdy dwoje ludzi potrafi znaleźć*

*wspólny kod odczuwania*, podpowiada prababka szeptem miękkim jak kwiatowy płatek, który spływa lekko na ziemię, na ziemię. Synchroniczność sprawia, że za pomocą znikomej liczby oznak zewnętrznych i wewnętrznych dwoje osobników potrafi... *Tak, tak. Potrafi tak samo odbierać terażniejszość.*

*Widzisz?*

- Czy mogę wejść?

Gest, spojrzenie, słowo, myśl, intuicja. Czy może wejść?

- Oczywiście, proszę.

Poczucie zrozumienia i wspólnej wrażliwości.

- Jest pani sama?

Świat jest ten sam, taki sam, w jednakich tonacjach i kształtach. Nie jestem sama. Dla nas.

- Jestem sama.

Czy to możliwe? Żeby rozumieć istotę ludzką od pierwszego wejrzenia? Teraz i zawsze. I na wieki wieków.

- I pije pani alkohol z dwóch kieliszków?

Bystrzak!

- Piłam alkohol ze znajomym, który wyszedł, kiedy dowiedział się, że złoży mi pan wizytę.

Błąd!

Miałam czas, żeby sprzątnąć kieliszki. Tymczasem nie sprzątnęłam nawet butelki wódki. Stoi na stole w całej okazałości, opróżniona w jednej czwartej, sprawia wrażenie, że tutaj właśnie pije się dużo i często. Rano, po południu, wieczorem, jeśli tylko przyjdzie ochota, bez względu na porę dnia, porę nocy, porę roku. Porę pragnienia. Może ktoś ma pijacki problem? A jeśli detektywowi przyjdzie na myśl, żeby zapytać o dane znajomego od kieliszka? Kto? Skąd? Od kiedy? Po co?

- Chciałbym z panią porozmawiać o...

- O Dominiku. Domyślam się.

Kłopotliwy Dominik, kontrowersyjna postać, taki sobie mężczyzna. Kiedyś był mój. Teraz żyje we własnym świecie, do którego nikt nie ma dostępu. Wystarczy przekroczyć próg drugiego pokoju i już wszystko jest jak na dłoni. Mam nadzieję, że przystojnemu detektywowi nie przyjdzie na myśl spacerować po moim mieszkaniu i szukać skarłowaciałych przedstawicieli nowego gatunku. Człowieka?

- Słyszałem, że byli państwo w związku. Długo?

- Czas jest wartością względną. Prawie trzy lata. Czy to długo?

To coś. Prawie nieuchwytnie i nienazwane. Miękkie. Inne. Obiecujące.

- Wystarczająco długo, żeby uwierzyć we wspólną przyszłość.

- Czy myślałam o wspólnej przyszłości?

- Nie myślała pani?

- Nie wiem. Chyba myślałam.

Myślałam, śniłam, marzyłam. Naiwna i sentymentalna. Teraz trzeba będzie przemyśleć wszystko jeszcze raz, poustawiać z klocków nowe budowle, już nie wysokie i strzeliste drapacze, raczej przysadziste bunkry i podziemne korytarze. Tam też przecież można żyć.

- Opowie mi pani o nim?

- Napije się pan kawy czy herbaty?

Zapach świeżo parzonej kawy wypełnia pomieszczenie, wyrównuje temperaturę, stwarza nastrój. Do zwierzeń. Do zaufania. Do spokojnego wejrzenia w przeszłość. Zwykłą przeszłość. Całkiem pospolitą. Jesteśmy przyjaciółmi, rozumiemy się w pół słowa. Moglibyśmy układać

czterowersze. Detektyw Olaf Krasnogrodzki i ja. A może tylko tak mi się wydaje?

- Mieszkał tutaj. Wprowadził się prawie trzy lata temu...

Prawie trzy lata temu... jakby minęły wieki. Nieśmiało i pomalutku. Dominik zakotwiczył u mnie nieśmiało i pomalutku. Na całość? Jakby nie na całość. W łazience stała jego elektryczna szczoteczka do zębów. Kilka dni później dołączyły do niej męskie dezodoranty, wody po goleniu, wody kolońskie, pianki, żele, płyny do higieny intymnej, waciki, perfumowane mydła, kremy, nawilżacze, maseczki, zestaw do depilacji, zestaw do manikiur. I coś tam jeszcze. Dominiku! Jesteś tego wart, jesteś tego wszystkiego wart, używaj do woli! Kosmetyki zostały ukryte w łazienkowej szafce, w której mój ukochany mężczyzna zajmował trzy pełne półki. Do mnie należała tylko jedna. Dwa albo trzy tygodnie później w sypialni pojawił się szlafrok frotte, ni to męski, ni to damski, bezpłciowy, anonimowy, można się pomylić, jego czy mój? A może niczyj? Bez adresu, bez zobowiązań. Bez magii. Kaptcie schowane pod łóżkiem, pidżama pod poduszką, kilka ubrań w szafie. Skarpetki w szufladzie. I majtki. Bokserki, dwie pary stringów. Dwie pary stringów?! No nie! A jednak. Buty w pudłach w rogu pokoju. Ile par? Dziesięć? Piętnaście? Dwadzieścia? Jak w sklepie. Wszystko ciche, sekretne. Mieszkasz tu, Dominiku? Czy nie chcesz, żebym cię posądziła o zadomowienie się w moim gospodarstwie? No i nie posądzam. Stałego pobytu nie przesądzam. Zwyczajność i niezwykłość zarazem. Teraz i nieśmiało jutro. Uгода między starymi przyzwyczajeniami a potrzebami drugiego człowieka. Każde z nas ma prawo do własnego świata, do własnego leniuchowania, do własnego samolubstwa.



- Był samolubny?
- Był bardzo samolubny.
- Można było na nim polegać?
- Ani na jotę.

Pismak Dominik P. pracował dla działu miejskiego lokalnej gazety i twierdził, że jest jedyny i niezastąpiony. Czasami bywał też pilnie poszukiwany. Telefony, które się urywały, gdzie jest, kiedy wróci, co sobie myśli, jaja mu porurywać! *Nie ma mnie, nie ma mnie*, szeptał, przykładając palec do ust, *nie ma mnie*. Widocznie już wtedy miał inklinacje do znikania. *Dlaczego się ukrywasz?* Dominik leżał na łóżku, w całej nagiej okazałości. Uśmiechał się. Przysuwał. *A dlaczego nie?* Odpowiadał. Całował. Pieścił. *Przecież są ważniejsze sprawy*. Mruczał. Obejmował. Pożądał.

- I były?
- Ważniejsze sprawy? Zawsze były. Wszystkie działania Dominika były podporządkowane jego zachciankom.

Zachcianki i pragnienia Dominika skoncentrowane wokół seksu i wyglądu, wyglądu i seksu. Zbliżenia poranne, popołudniowe, wieczorne. Typowe i mało typowe. Tutaj, tam. Wszędzie. Wolne i szybkie. Różowe i szkarłatne. Jednym słowem. Życiowa koncepcja penisa. Filozofia penetracji głębokiej i płytkiej. Bezwarunkowa gotowość wejścia. A oprócz tego uwarunkowania mody, wygody, przypadku. Co się nosi, jak się nosi, czego się nie nosi. Jak wyglądam, czy dobrze wyglądam. Inaczej. Rozmowy o niczym, wybiórczo i generalizując. Różne wymiary rzeczywistości.

— I bez głębszego zastanowienia. Brak egzystencjalnych poszukiwań, które podobno cechują człowieka dojrzałego.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie zadawał sobie ważnych pytań. Po co? W jakim celu? Dlaczego?

Pytania, które warunkują istnienie, nadają sens albo wskazują brak sensu. Odpowiedzi, które mogą wpłynąć na bieg wydarzeń, zmienić nurt, zdjąć czar. Zdjąć czar.

- Zdjąć czar?

- Czy wiedźma dałaby Śnieżce zatrute jabłko, gdyby wiedziała, że ktoś zdejmie jej czar pocałunkiem i świat stanie się lepszy?

*A może w perspektywie gorszy? I komu to oceniać?*

Babciu!

- Słucham?

- Chcę po prostu powiedzieć, że Dominik jest próżny i zapatrzony w siebie. Nigdy nie dbał o innych. Nigdy nie dbał o mnie. Zajął mi trochę czasu, zanim potrafiłam to ocenić.

Ekstrawaganckie ubrania, kolorowe tuniki, błyszczące sprzączki, buty na obcasach, kapelusze, płaszcze do ziemi. Kiedyś pomalował sobie paznokcie. Kiedyś ufarbował sobie włosy. Kiedyś zapomniał przyjść na spotkanie ze mną. O tym detektywowi nie wspominam.

- Może ma kłopoty z seksualnością?

- Bo lubi szmatki? Nie wydaje mi się.

- Poszukiwanie tożsamości?

- On wie, kim jest. Kolorowa fasada nie przesłania mu siebie.

- Dbałość o innych?

- Dbałość o innych jest miarą człowieczeństwa.

- Dbałość o innych jest też miarą uczucia.

Bądź ze mną, pomóż mi, przygarnij, ustąp. Czy się kochaliśmy?

- Ludzie zawsze mają nadzieję, że to, co ich spotyka, jest miłością przez duże *m*. I co to jest miłość? Czy ktoś już podał pełną, wyczerpującą definicję?

Emocje, afektacja, silna więź, a także przyspieszone tętno, podwyższony poziom adrenaliny, pobudzony układ nerwowy. Śluz. Drżenie. Czy Dominik był dobrym kochankiem? Skupiony na wewnętrznym rytmie. Spokojny i rozżarzony do białości. Wsłuchany w wilgotne oczekiwanie. Czy już? Teraz? Za chwilę? Kiedy? Kiedy to będzie?

- Czy się kochaliśmy?

Nie wiem. Może czasem. Na ogół uprawialiśmy seks. Całkiem niezły, zresztą. W południowych rytmach i francuskich spowolnieniach. Rżnięcie. Na raz i dwa. Na trzy i cztery. Zawsze gotowi. O tym także nie mówię detektywowi.

- Zdradzał panią?

- A cóż to za pytanie?! Myślałam... Myślałam, że jest mi wierny. Później już nie byłam tego taka pewna.

- Później?

- Tak. Kiedy mnie opuścił.

Te spojrzenia, którymi szacował przygodne kobiety, dziewczyny, młódki! Starsze zresztą też. *Chodź, to cię puknę, poobracam, zaliczę*. Podniecony wzrok, który zatrzymywał na sterczących piersiach, wyraźnie zaznaczonych sutkach, zachęcających poślądkach, ach Boże! Tyle tego dobra, tyle tego dobra na pięknym świecie! Dlaczego nie spostrzegłam? Nie wypisałam się? Nie zlekceważyłam? Na czas.

- Mieliście się pobrać?
- Nie było o tym mowy.
- Mieliście wspólne konto? Wspólne interesy?
- Każdy miał swoje konto.
- Wspólnie finansowaliście wydatki i utrzymanie domu?
- Utrzymanie domu było na mojej głowie i z mojej kieszeni.

— Jedzenie, środki czystości, podstawowe rzeczy?

- Wszystko.
- Na co wydawał swoje pieniądze?
- Na siebie.
- To znaczy?
- Ciuchy, wyjazdy służbowe. Alkohol.
- Dużo pił?
- Pił. Ale nie był alkoholikiem.
- Takie picie kontrolowane?
- Można to tak ująć.
- Wino? Whisky? Wódka?

Na stole wciąż stoi jeszcze butelka wódki. Czemu jej nie schowałam?

- Różnie. Wino. Likieri. Piwo.
- Godziła się pani na to?

Pytanie bez odpowiedzi. Czy się godziłam? A dlaczego miałam się nie godzić? Pienisty szampan rozlany na moim brzuchu, który spijał ze smakiem. Słodka wiśniówka na czubku języka. Jego. Mojego. Naszego. Wspólne części ciała. Nasze dłonie, nasze stopy, nogi, genitalia, nasze wszystko.

- A dlaczego oszedł?
- Przecież pan wie. Ona była w ciąży.

Detektyw Olaf Krasnogrodzki patrzy na mnie uważnie, nieomal czyta w myślach, a może to ja czytam w jego myślach, *och, dziewczyno, bardzo mu się podobasz*, w głowie mu się nie mieści...

— W głowie mi się nie mieści, że można dokonać tak dziwnego wyboru.

— Co pan przez to rozumie?

- Przecież pani wie.

- Wiem?

Wiem. Przeczuję. Domyślam się. Zniżamy nasze głosy do szeptu, słysząc tylko szelest i szmer.

- Żeby pan wiedział...

*Ostrożnie! Ostrożnie! Nie trzeba zdradzać sekretów.*

Żeby pan wiedział o moim życiu. Idiotycznym, na granicy absurdu i niedorzeczności. Niemożliwe, nieprawdziwe, niegodziwe. Żadne. Żeby pan wiedział. Powiedziałby pan, że takie życie nie istnieje. Nie może istnieć. Nauka go nie przewidziała, Bóg nie stworzył. Diabeł nie wypracował.

— Żebym wiedział, co?

- Żeby pan wiedział...

Zapach. Zapach wypełnia pokój. Słodycz i cierpkość. Gorycz i muzyka. Skupienie. I kamień z serca. I z oczu. I szósta symfonia. To nie perfumy, to pachnie moje życie. I cztery pory roku.

Detektyw Olaf Krasnogrodzki przybliży do mnie twarz, wpatruje się, czeka. Czuję krople potu, które zbierają się na moim czole, na szyi, pod biustem. W pachwinie. Jest gorąco. Powietrze migocze. A może tak mi się tylko

wydaje? Patrzę prosto w niebieskie oczy. Niebieskie niczym letni wieczór. Żeby pan wiedział... Sytuacja wymyka się spod kontroli. Moglibyśmy iść teraz na spacer do pobliskiego parku, usiąść na ławce, wsłuchać się w zbliżającą się noc, sami, milczący, jedyni. Żeby pan wiedział... gdzie się znalazłam. Wieczorne koncertowanie cykad, szmer żwirku pod stopami. A jednak... Sytuacja jest chorobliwa, niewygodna, uwiera, ciśnie. Mnie. Jego. Wszystkich. Źle się stało.

*Tylko się, dziewczyno, nie rozklejaj, tylko się nie rozklejaj!*

Prababka ostrzega mnie, przywołuje do porządku, głowa do przodu, plecy proste, brzuch wciągnięty, w końcu tu toczy się gra. Tu gra się toczy. O uczucia. O być albo nie być. O siłę. O moc. Czy mam wątpliwości?

Detektyw wyciąga rękę, jakby chciał zakryć nią moją dłoń. Niby czapa śniegu, która otula drzewo do snu. Do uspokojenia.

- Czy chce mi pani coś powiedzieć?

Cofam rękę.

Dosyć już niedopowiedzeń, znaczących pauz, pokero-  
wych zagrywek. Mam się na baczności. Moja niedoszła śmierć wypaliła w popiół te wszystkie bzdury o byciu razem, o przyjaźni, o lojalności. Niewidzialnym ogniem. Esencja wyobrażeń, która miała uzdrowić chorobę serca, ukoić znękaną myśl, pozwolić stąpać twardo po ziemi, czuć pełną rzeczywistość przynależności do istnienia. Zmysłowy zapach ziół zawsze otumania i zachwyca. Miłość ztraca równowagę. Coś się nie udało. Coś poszło nie tak. Czy zawsze każdemu pisana jest samotność? Bez względu... Och, żeby pan wiedział.

— Gdybym mógł coś dla pani zrobić...

Gdybym mógł, gdybym potrafił. Nieprofesjonalna chęć niesienia pomocy. Za wszelką cenę, za brzemiennej kurtynę. Ta część rozmowy nie znajdzie się w raporcie ze spotkania. Nie może. Jest zbyt intymna. I cisza. Nagle. Bez uprzedzenia. Jakby stanął czas. Jakby czas stanął? Oczekiwanie. Czy coś się wydarzy?

W pokoju obok.

Co to jest?!

W pokoju obok słysząc dźwięk.

Wyraźny. Przejrzysty. A jednak trudny do zidentyfikowania.

Coś spadło? Coś się poruszyło? Ktoś płacze?

— Tam ktoś jest?

Milczę. Milczenie wypełnia pokój treścią. Namacalną. Można by kroić ją nożem. W plastry. W kromki. Smarować podejrzeniem. Czy tam ktoś jest? Istnienie nazywane człowiekiem? Jeszcze? Zdziwione serce, krew krąży szybko, pogoń myśli. Boże!

— Tam ktoś jest, prawda? Ukrywa pani kogoś?

- Ależ...

— Tam ktoś jest?

— Proszę zobaczyć.

Pełna determinacja. Co ma być, to będzie. Czarne zostanie czarnym. Białe białym.

— Dobrze.

— Proszę.

— Zobaczę.

Jak z karabinu maszynowego. Pociski, które dążą prosto do celu, prosto do celu. Bach! Stało się! Teraz. W głowie czuję przyspieszone pulsowanie, napinam mięśnie, no i co, no i co?! Co takiego?! Właściwie!

Detektyw Olaf Krasnogradzki podchodzi do drzwi sypialni, stop-klatka, tempo zwolnione, czuję ucisk w gardle, oddycham płytko, *dziewczyno, co z ciebie za czarownica, opanuj się, opanuj*, widzę silną dłoń, która chwyta klamkę, naciska ją, otwiera...

Staje w progu.

*Wszystko będzie dobrze.*

Spojrzeniem omiata wnętrze.

*Nie denerwuj się.*

Wstrzymuję oddech.

- Nie ma nikogo — mówi.

*Wszystko będzie dobrze.*

- Coś...

- Tak?

- Coś się stłukło?

Na podłodze lśnią rozsypane koraliki cierpienia. To moje łyzy. Te, których jubiler nie nanizał na żyłkę naszyjnika. Błyszczą. Dzwonią. Swawolą. Niby dzwoneczki u niewidzialnego zaprzęgu. Perełki, mgiełki, kropelki. Moje łyzy. Moja pokuta.

- Coś się stłukło...

- Co to był za hałas?

*Powiedz coś. Powiedz*

- Kot.

*Może być i kot.*

- Kot?

- Kot.

- Ma pani kota?

- Tak. Mam kota.

- I gdzie on jest?

- Pewnie gdzieś się schował. To młody kot. Psotnik.



- Młody kot?

- Tak. Młody kot. Kot, który się schował. Jak pan widzi, nie ukrywam Dominika.

- Nie. Nie ukrywa pani. Przepraszam.

*No widzisz.*

Co widzę? Przecież mało brakowało. A gdyby tak zobaczył? Zrozumiał? Przestraszył się?

Mało brakowało.

\*

- Mało brakowało!

- Co?!

- Mało brakowało, żeby cię zobaczył. Dopiero byłaby historia! Nie mogłeś wysiedzieć cicho do końca?!

- Do jakiego końca?!

- Nie mogłeś poczekać, aż wyjdzie?! Tak było trudno?!

- Mam go w dupie! Co to jest, do jasnej cholery! - Dominik krzyczy. Jest przerażony, oburzony, rozchełstane wdzianko ukazuje wszystko to, co powinno być ukryte. Od gołego torsu po maleńkie przyrodzenie. Nie wstyd ci, Dominiku?

- Jak to, co to jest?! Zaginiony, znaleziony!

Trochę w dziwnym stanie. Nakręcany pajac, najnowszy cud techniki, sam chodzi, śpi, je, wszystko robi sam. Sika sam, śpi też sam. A jeszcze rosną mu włosy i paznokcie. Do klatki i do zoo! Na wieczną ekspozycję.

- Co to, kurwa, jest?! - Dominik wyciąga przed siebie prawą rękę i stara się podetknąć mi ją pod nos. Dłoń jest rozpalona, czerwona, gorąca, miejscami pojawiają się bąble.

- Szczypie!

- To efekt niedozwolonych zabaw.
- Jakich zabaw?! Co to jest?! Kobieto!
- A skąd niby mam wiedzieć!
- Te kryształki...

Kryształy. Jednak kryształy.

- Kryształy?
- Te pojebane kryształy poparzyły mi rękę.
- To kara za przewiny, za chorobę i za umieranie.
- O czym ty pieprzysz?!
- Jak ty się wyrażasz?!
- Co to jest?! Coś mnie ukąsiło? Poparzyło? Boli jak diabli!

Dominik patrzy na rozognione palce, knykcie, na skórę opuszek, która przypomina pumeks. Co się właściwie stało? Dominik nic nie rozumie. Czuję jego niepokój.

- To jest najmniejszy kochanek, z którego nie ma już żadnego pożytku. Mniejszego trudno sobie wyobrazić! Co zrobiłeś?

- No pięknie! Bardzo miła jesteś! Nareszcie pokazujesz prawdziwe oblicze! Nic nie zrobiłem, do jasnej cholery! Jezu, boli!

Krzyczy do siebie, na mnie, do mnie, do Jezusa. Odwołuje się do boskiej sprawiedliwości, przecież nic nie zrobił, nie zrobił nic, więc dlaczego?

- Włożyłem rękę do tego naczynia. Na chwilę. Co to za gówno?!

Włożył, poczuł, przeklął. I się stało.

- A po co wkładałeś?
- Zrób coś!
- Ciekawość prowadzi do piekła.

I po co było grzebać w cudzych cierpieniach?

- Zwariuję!

Przez swoje nieczyste palce przesypał iskrzące się kryształy śmierci i odejścia. Łzy w kształcie łez. Bólu i zwątpienia.

- Parzy!

Pokrzywdzony przedstawiciel męskiego gatunku, którego trzeba wciągnąć na szczyt znad przepaści. A jakby go tak zostawić? Pozwolić spaść? Na dno samo?

- Parzy, kurwa, parzy! Niech to szlag!

Niezręczny i ciekawski, który popchnął, przewrócił, rozsypał. Lśniące drobiny żalu leżą na podłodze bez ładu i składu. Trzeba je odszukać, podnieść, umieścić na nowo. Dominiku?

- Pomóż mi! Na litość boską!

- Pomóc ci? A niby dlaczego?

Biorę jego cierpiącą dłoń w swoje ręce. Pomagam. Jednak. Ostrożnie. Żeby nie urazić. W końcach palców czuję lekkie mrowienie. W powietrzu unosi się cierpki zapach nagietek. Lekkość i fruwanie... Lekkość i fruwanie pod samymi chmurami. Niczym ptak, który zamiera na wysokości, ogarnia spojrzeniem cały świat, wszelkie czucie. Dominik drży.

- Nie wiem, jak to się mogło stać. Jak to się mogło stać — szepcze, kiwa się w przód, w tył, w przód, w tył, osierocony, stęskniony, samotny.

Wysyłam strumienie życiodajnej energii do tej schorowanej ręki, żeby przynieść jej ulgę i potrzebny chłód.

*I po co to robisz? Co cię to obchodzi? Niechby pocierpiał trochę! Dupek! Nie zaszkodziłoby mu!*

Jestem opiekunką wszystkich czasów. Pielęgniarką wszystkich poparzonych dłoni.

- Chciałem tylko zobaczyć...

Jestem silna i mam w sobie życiodajną moc. To nadzwyczajne!

- Chciałem zobaczyć, co to takiego.

Zobaczyć, dotknąć, potrzymać. Na zgubę, na zatrącenie.

- Włożyłem w te paciorki rękę i natychmiast poczułem ogień.

Mnogie okruczości rzeczywistości jak w stłuczonym zwierciadle. Prawdziwe? Nieprawdziwe? Dobrze ci tak! Dominiku!

- Jakby wrzątek.

- Wrzątek?

*Szkoda, że to nie był wrzątek. Może bolałoby jeszcze bardziej. Co za pech!*

- Wrzątek. Co ty tam trzymasz? Co to takiego?

Błyszczące krople, które zajaśniały na całym pokój, tragiczne wydarzenia, *daemonica magia*.

Masuję jego dłoń. Wiem, że każde muśnięcie moich palców ma lecznicze działanie. Skąd to wiem? Jestem czarownicą?

- Szkoda, że nie zapytałeś. Powiedziałabym ci, że trzeba uważać.

Ręka Dominika staje się chłodniejsza, czerwień znika, skóra nie przypomina już skrawków surowego mięsa.

- Dziwne.

Dotyk, który uśmierza ból, goi rany. Od kiedy mam takie zdolności?

- Niezwykłe.

Nie ma w tym nic niezwykłego.

— J e z u ! Co tu się dzieje?! Kim ty jesteś?!

Nic się nie dzieje. Wszystko jest normalne. Zwykłe. Pospolite. Jestem siłą, która pośredniczy między energią kosmosu a potrzebującymi pyłkami życia. Nie wiedziałeś?

- A co ma się dzieć? Szczególny rodzaj kamieni. Bardzo rzadka odmiana.

- Odmiana? Odmiana czego?

Pytania i odpowiedzi, jakby piłka ciągle jeszcze była w grze. Cały świat gra w zielone, a zielone jest czerwone. Czasami żółte. I remisy się nie liczą.

- Kryształów oczywiście.

Kryształy, które przez tysiące lat kumulowały ciepło i miłość.

- Kryształów?! Co się dzieje z moimi rękami?!

Krystaliczne łzy są przecież najrzadszym okazem materii wszechświata.

- A ty...

- Za szybko włożyłeś w nie rękę. Gdybyś trochę poczekał, nic by się nie stało.

- Co ty wyprawiasz?! Jak to robisz?!

- Leczę cię. Nie widzisz?

Prawda o moich magicznych łzach istnieje w obrazach trwale odcisniętych w wiecznej mądrości, w oczekiwaniu na fizyczne i naukowe odkrycie. Gdyby je polizać, na języku zostałyby delikatny smak soli. Łzy zawsze są słone. Łzy radości i rozpaczy. Moje kryształowe łzy były łzami rozpaczy. W każdej części ich krystalicznej struktury zawarta została nuta gorczy. Po wsze czasy.

- To niemożliwe! Takie rzeczy się nie zdarzają!

- Dlaczego? Nie ma rzeczy niemożliwych. Ty sam jesteś tego najlepszym dowodem.

Ale czy rzeczywiście? Zdziwiony Dominik. Nic nie wie na temat minerałów, zapewne nie potrafi odróżnić diamentu od brylantu, zwykłego kamyka od górskiego agatu albo szafiru od szmaragdu. O miłości i przywiązaniu także nic nie wie, bo ich nie doświadczył, nie przeżył. Nawet nie udawał.

- Kim jesteś? - pyta niepewnie. Ręka już go nie boli. Oparzenia zniknęły. Jakby nic się nie stało.

- A stało się coś?

Czy brakuje mi dobrej woli? Cierpliwości? Wytrwałości?

— Wyleczyłaś moją rękę...

Brakuje mi serca. Optymizmu. Życzliwości jest coraz mniej i mniej.

— To źle?

Pozostają resztki sumienia. Łopoczą na wietrze. Raz w tę. Raz w tamtą. Niekontrolowane poddmuchy myśli i wątpienia. Nic przyjemnego.

- Dobrze. Ale...

Zawsze musi być jakieś „ale”, które dzieli, porównuje, niweczy. Sprowadza do zera. Bez wartości.

— Ale co? Niezadowolony jesteś?

- Nie, jednak...

— Więc daj już spokój. Miałam ciężki wieczór. Mam prawo odpocząć.

Oboje mieliśmy ciężki dzień. Zmartwienia na wagę starego żeliwa, dziennikarsko odkryte ojcostwo, ucieczka przed odpowiedzialnością. Czy taki właśnie jest nasz los? Uciekać? Ukrywać się? Udawać? Jak długo? Jak długo można wytrzymać presję okoliczności? Szarość, która nigdy się nie kończy. Deszcz, który nigdy nie przestaje padać. Tak to ma być?

## Rozdział 20

Nie było łatwo. Od dnia, w którym Dominik dowiedział się, że jest ojcem, że poszukuje go policja, że jego dawna kochanka ma niezwykłą zdolność wpływania na rzeczywistość, nie było łatwo. W naszą dziwną codzienność wkradły się niecierpliwość, znużenie i pretensje. Podejrzliwość. I łzy.

- Nie kochasz mnie już.
- Przestań, głupstwa opowiadasz.
- Nie kochasz.
- Co za histeria.
- Kochasz?
- Co to za pytanie?!
- No widzisz, nie kochasz.
- Może i nie Kocham!
- Wiedziałem! Wiedziałem!

Dominik płakał, jęczał, narzekał. Piszczął. Nie ufał. Czasami nienawdził.

- Mam dość! Ależ ja mam już dość! Ciebie! Siebie! Czy to się nigdy nie skończy?!
- Oczywiście, że się skończy. Kiedyś. Cierpliwości.

- Kiedy?! Na tamtym świecie chyba!

— Nie mów bzdur.

- Nie mówię bzdur. Już ja wiem, co mówię.

Wołanie z głębin wielkiej rozpacz. Podkrążone oczy. Nadzieja niczym zmięta ścierka. Zużyta i niepotrzebna. Komu?

- Zostawisz mnie. Przyjdzie taki dzień, w którym mnie zostawisz. Ja wiem.

- Co wiesz?

- Swoje wiem!

— Czyli co?!

- Że masz tego po dziurki w nosie! Ja też! Ja też!

- Opanuj się!

— Nienawidzę! Wszystkiego nienawidzę! Chcę umrzeć.

- Czy aby na pewno?

— A co to za krzywe życie?

— Czy na pewno chcesz umrzeć?

Okrutna, złośliwa, bo i co on tam wie, co sobie myśli? A poza tym nic przecież nie może, za mały pikuś, za duże rozdrobnienie. Same miedziaki. A gdzie srebro i złoto?

— Czy aby na pewno chcesz umrzeć?! — krzyczę, ile sił w płucach, kruszą się tynki, rozpadają mury, zwariuję, chyba niedługo zwariuję. Uduśzę go własnymi rękami! — Nie wytrzymam. Muszę wyjść. Żeby cię nie słyszeć.

Muszę wyjść.

— Chcesz ode mnie uciec!

Spotkać normalnych ludzi.

— Nie chcesz na mnie patrzeć!

Wzrost sto siedemdziesiąt parę, sto osiemdziesiąt, a niechby i sto czterdzieści. Silny uścisk dłoni. Serdeczny śmiech. I mocny rytm równo odmierzanych kroków.



- Żeby nie patrzeć. Musisz wyjść, żeby na mnie nie patrzeć.

Dominik milknie. Milczenie sączy się jak dym. Gęstnieje. Ciemnieje. Otacza chłodem.

Żeby nie patrzeć. Nie widzieć. Nie przysłuchiwać się pokątnym chlupaniom, biadoleniom, jak *długo, jak długo jeszcze?*

- Wychodzę.

Nieomal słyszę bicie serca. Niespokojne. Głos drżący.

- Nic nowego.

- No właśnie. Wychodzę.

Ubieram się w elegancką czarną sukienkę bez ramiączek, bez rękawów, bez skromności, w ogóle bez.

- Nie zależy mi!

Zastanawiam się, czy goły dekolt przyozdobić koliaż z łez. Ale dlaczego właściwie miałabym stroić się w zaległe cierpienie? Wybieram stary medalion, który matka podarowała mi na osiemnaste urodziny.

- Odezwij się! I dokąd idziesz?!

Medalion ciężarem spływa na piersi, patrzę na swoje odbicie.

- Nie wiem, kiedy wrócę.

Chciałabym nie wracać, chciałabym zapomnieć.

- Jak zwykle.

I kto jest temu winien?

Dominik siedzi na krzesełku. Nie płacze. Na drobnej twarzyczce maluje się pustka. Niezbadane ścieżki magii wdarły się w jego życie, pewnie przez pomyłkę, trwają uparcie, jak długo mają zamiar tak trwać?

Zamykam drzwi. Jestem po drugiej stronie lustra. Znikają mgliste wyobrażenia mrocznych opowieści. Na szczęście. Dokąd mam iść?

Wieczorami spotykałam się z przedstawicielami świata sztuki, z którymi łączyły mnie wspólne interesy, albo wydawało się, że łączyły mnie wspólne interesy, preteksty, nie-domówienia, przyjaźń. Albo jedno i drugie.

*Pani Zuzanno, musimy omówić jeszcze kilka spraw, spotkamy się jutro?*

Czy się spotkamy? Restauracja przy głównym rynku, na rogu, o siódmej. Albo pub na promenadzie. Stolik na zewnątrz, wieczory są przecież ciepłe. Miłe. Bezwietrzne.

*Zuzanno, jest pani taka śliczna. Pójdziemy na kolację?*

No i właściwie, dlaczego nie? Pójdziemy, porozmawiamy, po flirtujemy.

*Jest kilka tematów niecierpiących zwłoki. Zobaczymy się dzisiaj?*

Możemy się zobaczyć. Mam dużo czasu. A w domu prawie nikt na mnie nie czeka.

Czasami zapraszała mnie do siebie Benny, albo Benny i Rafał, *przyjdź do nas wieczorem, zrobimy pizzę i sałatkę z ananasami, z kartoflami, z brokułami, przyjdź koniecznie*. Brokuły na parze, dziesięć minut pod przykryciem, maczane w sosie majonezowym. Z pietruszką albo z koperkiem. Z czosnkiem. Albo i z chili. Do tego krakersy z ziołowym masłem, *jedz, jedz, jesteś taka szczupła, musisz trochę przytyć, częstuj się, kochana*.

Z siostrą widywałam się rzadko. *Ciągle nie masz czasu? Daj spokój, Zuza! Chłopcy stęsknili się za tobą. Claude coś ugotuje albo upiecze?* Claude przecież gotuje świetnie, a piecze jeszcze lepiej. W kuchni czuje się niczym zawodowy kucharz. Jego zupa ziemniaczana jest równie dobra jak jarzynowa z serem,

pomidorowa z makaronem albo przecierana z porów i fasoli. Makrela z pieczarkami, sola z sosem a la san domingo, jego to, jego tamto... *Odkrywuję nowy danie, nowy danie większy szczęście ludziom niż nowy gwiazda*, mówi Claude, przywołując słowa znamienitego smakosza, prawda, sama prawda i tylko prawda. *Ostatnio przygotował placek z gruszkami. Chłopczy nie zostawili ani okruszka, mówię ci, palce lizać. Skuś się, przyjedź do nas, nie pożałujesz.*

Nie żałowałam. Claude częstował mnie jagnięciną w sosie paprykowym, pieczonymi kartofelkami, łososiem z rusztu, na deser podawał rolady czekoladowe, owocowe tarty, bitą śmietaną z chłodną galaretką, wino, nalewki własnej roboty. *Claude, kiedy ty masz na to wszystko czas?! Claude, kiedy ty masz czas na to wszystko?! Ja lubię gotować duży bardzo*, odpowiadał Claude, cmokał, uśmiechał się, nie ma to jak rodzina, nie ma to jak kaloryczne posiłki, po których smutnym robi się odrobinę raźniej na duszy, nie ma to jak sympatyczny Francuz, który ma złote ręce, wesołe oczy i śródziemnomorską czuprynę. *Ach, ten Claude!*, wzdycha moja matka, cudzoziemski zięć obejmuje jej kruche ciało, przytula do barczystej piersi, klepie po plecach. *Ma mere*, mówi i widzę, jak matka uśmiecha się szczęśliwa. *Ma mere*, powtarza Claude i zaraz dopowiada: *moja drugi matka*. Bo pierwszy matka mieszka sobie w domku pod Paryżem i czeka na wiadomości od syna, na telefony od syna i na wizyty, które syn składa jej kilka razy do roku. *Jesteśmy tobą oczarowani*, szepcze moja matka, stara się, żeby Claude nie słyszał, bo a nuż jeszcze mu się w głowie przewróci. Dawno, dawno temu, za górami, za lasami żyła sobie księżniczka zakochana w pewnym księciu. Księżę także kochał księżniczkę. Byli sobą

dosłownie oczarowani. I wszyscy mówili cicho. Żeby nie zapeszyć.

Tak więc czas miałam wypełniony zaplanowanymi wizytami, okazjonalnymi spotkaniami, dzisiaj, jutro, może w przyszłym tygodniu, o siódmej, o dwudziestej, w centrum, na przedmieściu, gdzie kto chce, gdzie kto lubi. Tak.

*Jak tam przygotowania do wystawy?*, pytał kustosz albo przedstawiciel zaprzyjaźnionego muzeum, albo przedstawiciel handlowy, pan Tomasz, Artur, Zbigniew czy Fryderyk. Elegancki, pachnący, wyższy. Wyższy ode mnie. Mężczyzna gatunku *long*. Och! Nareszcie. W końcu okazja nie byle jaka. Tematyka ekspozycji ciekawa, zbiór godny niejednego wytrawnego gustu. Motyw śmierci, który towarzyszy już narodzinom świata, bratobójcza walka między bogami, cienie umarłych. Anonimowych. I znanych z imienia. Faeton, Bellerofont, Niobe. I Ikar. Śmierć jako jedna z konsekwencji życia. Śmierć. Na obrazie Boscha śmierć chyłkiem wchodzi do sypialni bogacza. Rozgląda się. Podgląda. Ma sprawę do załatwienia.

*Wszystko pod kontrolą. Dotrzymamy terminu.* Wystawa odbędzie się w zaplanowanym sezonie, przybędą delegacje miejscowe, zagraniczne, w końcu co wydarzenie, to wydarzenie. Artykuły, transmisja telewizyjna, alarmy, zabezpieczenia. Inauguracja i ile butelek białego wina? Słone paluszki, orzeszki, chipsy. Kawa, herbata, woda mineralna. Tyle dzieł sztuki zgromadzonych w jednym miejscu, w tym samym czasie, w jednym temacie, nazwiska, nazwiska, snobizm, snobizm. Uroczyste otwarcie. Burmistrz albo tylko zastępca burmistrza. Przemówienia. Goście. Policja.

— Napije się pani wina?

Szeptanie, szemranie, a także elegancki szcęk sztucców, szelest ubrań, dźwięki z ręki do ręki.

- Mieliśmy rozmawiać o wystawie. W pracy nie piję.

- Nasza praca jest specyficzna. Sztuce należy się szczyry toast.

Świeczniki, zdrowy płomień ognia, który kładł się cieniem na scenie. Scena, na której grałam główną rolę. Teraz. Zawsze. Wtedy. Współczesna grafika. Gwałtowny koloryt. Symbolika. Świat zdeformowany, drwina i karykatura.

*Podoba się pani tutaj?*

Niespokojne wnętrza.

*Podoba się pani tutaj?*

Czy mi się podoba?

Na ścianach namalowano cienkie i grube kreski, ledwo widoczne kropki, powierzchnia bezwstydnie odkryta niczym profesjonalnie gotowa kobieta. Sztuczne kwiaty czy genitalia na agrafkę? A może jedno i drugie? Dojrzały kolor bordo przeznaczony dla wytrawnych graczy i hazardzistów. Zmęczenie ostatnich dni, które ulotniło się gdzieś, wyparowało, wszystko przecież jakoś się ułoży, ułoży się jakoś. Na pewno. Na pewno? Tylko skąd ta pewność?

- Oczywiście, wszystko się jakoś ułoży — uspokajała Benny. - To rozumiały.

- Rozumiały?

- Rozumiały, że nie jest to dla ciebie komfortowa sytuacja. Nawet jeśli od dawna nic już was nie łączy. Ale... cóż... przecież nie wiemy właściwie, co się stało. I czy coś się stało. Dlaczego miało się coś stać?

- Ciała nie odnaleziono...

- Sama widzisz. Ciała nie odnaleziono. Świadków nie ma. Nikt go nie widział, do nikogo nie dzwonił.

- Nikt go nie uprowadził.

- Otóż to. Nikt go nie uprowadził. Po okup nikt się nie zgłosił. Może jednak żyje?

- Może...

- Może uciekł gdzie pieprz rośnie?

- A gdzie rośnie pieprz?

- Do nowych kochanek? Nowych dzieci? Za granicę?

- Tak...

- Na pewno żyje i ma się dobrze. Tacy są mężczyźni, moja droga. Pamiętasz, że nigdy go nie lubiłam?

- Nigdy go nie lubiłaś.

- Pewnie, że nie. Zawsze uważałam, że to taki picuś-glancuś.

- Picuś-glancuś?

- Mydłək.

- Mydłək. Pewnie masz rację. Żony trochę szkoda.

- Żony szkoda. Ale widziały gały, co brały. Jej brocha.

To już nie twój problem.

Nie mój problem. Problem nieprzespanych godzin, niespodziewanego pukania do drzwi. On? Czy nie on? Niechby już on! Niechby już nie on! Serce, które spala się na popiół w wirze pytań i podejrzliwości. Same kłopoty i zmartwienia. I czym to się skończy?

- W każdym razie z roboty już go wywalili.

- J a k to? Przecież nie mogli. Ciagle go poszukują.

- Ale przyjęli na jego miejsce kogoś innego. Nie ma ludzi niezastąpionych.

- Skąd wiesz?

- Ma się te wtyki.

Benny zna koleżankę koleżanki koleżanki, której córka pracuje w redakcji gazety. Tej gazety. Jest korektorką i doskonale wie, co w trawie piszczy.

- Miał dostać awans.

- Miał.

- Ale już go nie dostanie.

- Nie dostanie?

- No co się tak dziwisz. Nie dostanie. I dobrze. Wszyscy mają go tam dość. Wyobrażasz sobie? Nikt go nie żałuje. Każdemu dał się we znaki.

- Nikt go nie żałuje?

- Nikt. No... oprócz dwóch bufetowych, jakiejś sekretarki i kogoś tam jeszcze. Babiaryz i cwaniak. Egoista. Co ty w nim widziałas? Zuza! Gdzie ty miałaś oczy?!

Benny opowiadała, komentowała, pytała. Co ja w nim widziałam? Gdzież to miałam oczy? Co widziałam w sobie? Zapewne wyobrazenie namiętności i szaleństwa. Dzikie konie na bezkresach dzikiego stepu. Wolność i miłość. Kołysanie na jednej nucie. Od początku do końca. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

- *Pogrzeb w Ornaus* to znakomity wybór. Śmierć jest tu inna. Pospolita.

- Jak to śmierć...

- J a k t o ś m i e r ć . A j e d n a k . . .

Publiczność zawrzała, śmierć przecież powinna być pełna patosu, nad otwartą mogiłą stanął oburzony, prowincjonalny tłum, co się tu dzieje, gdzie jest malarz i co on sobie myśli!

- A jednak, czy nie sądzi pani, że przynajmniej w sztuce śmierci należy się godne, uroczyste miejsce?

Fanfary, marsz żałobny, setki opłaconych płaczek.

- Śmierć jest okrutna i niesprawiedliwa. Rządzi się przypadkiem. Nic jej się nie należy.

Białe kalie w wieńcach, złożone szarfy, kondolencje, cisza. Zbielałe wargi, które szepczą próżne modlitwy. Prochem jesteś i w proch się obrócisz.

- Wpisana w ludzkie losy...

- ...jest nieunikniona.

Prędkie kapłańskie słowa, *był, odszedł, na wieki*. Prostokątny dół, liny opasujące trumnę, wyciągnięte po kasę dłonie grabarzy, *należy się, przeciw się należy*. I ze śmierci żyć trzeba, taka już dola człowieka.

- Zwyczajna? Czy śmierć jest zwyczajna?

- Zwyczajna. Ale ustrojona na ołtarzach. Żeby zapomnieć, jak bardzo jest zwyczajna.

W cywilizacji przedwczesnych zgonów, gdzie pięćdziesiąt procent zejść stanowią te spowodowane przez choroby nowotworowe, a trzydzieści procent przez choroby układu krążenia, w grupie „inne” znajdują się zgony spowodowane przez choroby układu oddechowego, nerwowego, cukrzycę oraz urazy, zatrucia i wypadki drogowe. Nikt nie wie, do której grupy zostanie wpisany. Kartoteka zamknięta na klucz w biurowych szafach. Dodatkowo zamek szyfrowy w drzwiach. I strażnik przy wejściu.

Kelner dolewał wino do kieliszków, w de rozbrzmiewały dźwięki *Czterech pór roku* albo *Top twenty* z lat dziewięćdziesiątych. Uśmiechy. Uśmiechy. Progresja uśmiechów w stosunku do ubytku alkoholu w kolejnych butelkach. Na zdrowie!

- Poprzez modernizm i neoromantyzm, w symbolice, w idealizacji, w oczekiwaniu na koniec...



Fantastyka, niepokój, dysharmonia, niekiedy dziwaczność. Smutek. Wszystko i tak musi się wydarzyć. A skoro wszystko wkrótce się skończy, przywiązanie do życia jest bezzasadne. I bez znaczenia. Lekarstwo na ból istnienia. Lekarstwem na ból istnienia jest tylko śmierć, prawda? *Ars moriendi*. Sokrates. Malczewski. Wszystko wydaje się być takie proste. Ale nie jest. Ani proste. Ani tym bardziej prawdziwe. I miej nas, Boże, w swojej opiece... A jeśli nie chcesz nas mieć...

- Napijemy się jeszcze?
- Dwie wódki z tonikiem i z plasterkiem cytryny.
- O czym pani myśli?

Myślałam o pewnym dniu. Dawno temu.

- O czym myślę? Myślę o tym, że w miarę upływu czasu śmierć ma coraz bardziej różnorodne oblicza.

Kiedyś byliśmy w tej samej restauracji i obsługiwał nas ten sam kelner. Dominik i ja. Ja i Dominik. Stolik pod prawym oknem. Dotyk kolan pod blatem. Jedliśmy sałatkę owocową - ananasy, brzoskwinie, gruszki, kiwi, mango. A później duszone warzywa prosto z patelni. Dominik podjadał moją porcję. Żeby było bardziej intymnie. Wspólny półmisek, wspólne zachcianki, wspólne oddechy. *Chcę iść z tobą do łóżka. Zaraz. Natychmiast.* Kładł rękę na moim kolanie, przesuwając wzdłuż uda, pod spódnicą. Ku majtkom. Ja też chciałam. Nasze oczy błyszczały pożądaniem. *Zuzanno! Dominiku!*

- ...młodzieniec trzymający czaszkę.
- Tanatos, od którego wszystko się zaczęło.
- Śmierć z miłości.
- Śmierć na polu bitwy.
- Śmierć zamiast.

— Śmierć z upodlenia.

Pokątny pająk, który skrada się bezszelestnie, jest blisko, coraz bliżej, niczym przeznaczenie. Los zapisany wszystkim u zarania. Stare nożyce... Dominiku, czy chciałbyś umrzeć?

— A obraz, który by podsumowywał? Spinał kłamrą? Myślała pani?

Czy myślałam? Oczami wyobraźni widziałam ścianę w ostatniej sali wystawy. Na środku wisi *Krzyk* Muncha. Każdy zamyśla się głęboko. Oto miłość. Życie. Smutek, melancholia. Głowa niczym czaszka. Martwa za życia. Śmierć. W ostatecznym rozrachunku zwycięskie rozdanie zawsze należy do śmierci. Szach i mat! Poker kier! Samotność. Każdy umiera w samotności. Przecież.

— Oryginał?

— Gdzież tam oryginał! Nie stać nas na oryginał.

— Cierpienie?

— Tragizm.

— Malarstwo wewnętrznych przeżyć?

— Kryształowy wazon. Jedna czerwona róża. Na zakończenie.

— Powinien być bukiet czerwonych róż.

— J e d n a czerwona róża. Symbolicznie. Śmierci nic więcej się nie należy.

## Rozdział 21

*Zabijgo wreszcie! Pozbądź się! Na co czekasz?!*

Głos prababki odzywa się coraz częściej. Jest natarczywy. Cierpki. Jak kwaśna cytryna. Na zdjęciu, które postawiłam na półce nad biurkiem, babka siedzi w szerokim fotelu - skąd wziął się tam jakiś fotel? - i patrzy na mnie z wyrzutem.

- Zabić? Nie jestem morderczynią.

*Jesteś czarownicą. Kodeksów postępowania w cywilizacjach nie stworzono dla takich jak ty.*

- Przecież to człowiek. Co z tego, że mały...

*To tylko człowiek. A skoro mały, tym łatwiej się go pozbyć.*

- N i e mogę...

*Nie bądź głupia!*

- Nie chcę...

*Przecież musisz. Nie da się zjeść ciastka i mieć jeszcze ciastko. Świat czarownic rządzi się innymi prawami.*

- Nie znam innego prawa niż szacunek dla życia.

*Dziewczyno! O szacunku do życia porozmawiamy, gdy pokonasz wreszcie barierę śmierci.*

- A ty?

*Ja?*

- Czy zabiłaś kogoś?

Prababka kręci głową z dezaprobatą. Tak. Może już kręcić głową, siadać, poruszać rękami. Niedawno zrobiła w mojej obecności kilka kroków. Poruszała

się z gracją, lekko i tanecznie. Wiotka, smukła, delikatna. Niczym brzoza. Niedługo pewnie wyskoczy z ramki fotografii. Stanie obok. Cieleśna i prawdziwa. Czy to ja przyczynię się do powstania jej materialnego bytu?

*Twoim powołaniem nie jest opiekowanie się głupim i próżnym nicponiem, który na nic dobrego w życiu nie zasłużył.*

— Coś takiego!

*Głupi palant. Pospolity bufon, z którym wstydziłabym się wyjść na ulicę.*

— Nie musiałaś nigdzie z nim wychodzić.

*Twoją rolą jest rozwój umiejętności, doskonalenie wyjątkowych predyspozycji, nauka magicznego powołania.*

— Po co?

*Żeby ogarnąć świat, żeby mieć wpływ na bieg wydarzeń, żeby Zmieniać rzeczywistość. Żeby mieć władzę.*

— Ach tak. Władzę. Zawsze chodzi o narkotyki.

*O jakie narkotyki? O czym ty mówisz?*

— Władza działa przecież jak narkotyk. Uzależnia. Gubi. *To jakaś demagogia.*

— I co?! Sama mam temu wszystkiemu podołać?

*Takie jak ty. Nie jesteś przecież jedyna na świecie.*

— Nie jestem...

*Jest nas trochę. O wiele jednak za mało. Dlatego należy zrobić wszystko, żeby nie zmarnować żadnej szansy powiększenia naszej populacji. Zabij go.*

— *Zabić?*

*Tak, zabij!*

— Czy to konieczne?

Zabić. Pozbawić. Zetrzeć w proch. Zlikwidować. Łatwo jest pozbyć się osobnika, którego wzrost nie przekracza

trzydziestu trzech centymetrów. Można ukręcić mu głowę. Udusić. Otruć.

*Zrzucić z wysokości. Utopić.*

- Babciu!

*No co? Przecież można. Powiesić. Rozszarpać. Zatluc. Spowodować zawał. Niczego zresztą nie sugeruję. Decyzja należy do ciebie.*

Decyzja o śmierci. Kciuk podniesiony w górę lub opuszczony w dół. Zabij! Zabij! Zabij! Neurony pozbawione tlenu. Zanik czynności elektrycznej mózgu. Dziesięć sekund wieczności, zanim straci się świadomość. A później nieodwracalne obumieranie struktur. Jedna po drugiej. Niczym żołnierze, którzy padają w przegranej bitwie. Ku wątpliwej chwale ojczyzny? Ból i przerażenie. Poczucie nieuniknionego. Strach. Strach. Strach.

*Można wybrać śmierć szybką i mało bolesną.*

Przerwać aortę. Wykrwawić się w ciągu kilku sekund. Papierowe ciało w kałuży lepkiej czerwieni. Spaść z wysokości. Coś jeszcze? Rozstrzelać.

Boję się. Czego się boję? Serce wali mocno, prawie słyszę je obok siebie.

- Babciu! O czym my rozmawiamy?! - Z trudem wdycham powietrze, drżą mi dłonie. Nie chcę! — Nie chcę nikogo zabijać!

*Dobrym rozwiązaniem jest też trucizna. Odpowiednio dobrana. Cyjanek, arsenik. Chlorek potasu błyskawicznie zatrzymuje akcję serca. Nie wiedziałaś?*

- Słyszysz, co do ciebie mówię?!

*Muchomor sromotnikowy, zasłonek rudy, muchomor czerwony. Grzyby zawsze były łatwo dostępną i często stosowaną trucizną.*

Czuję suchość w ustach, język stał się ciężki, twardy, drewniany. Należy do kogoś innego.

*Można go też powiesić. Trzeba tylko uważać, żeby lina umieszczona była we właściwym miejscu. Wtedy śmierć nastąpi szybko. Jeśli jednak pętla zostanie założona pod złym kątem...*

- Wtedy co? Wtedy co, babciu? I skąd to wszystko wiesz? Skąd to wiesz? Babciu!

*Można też wydłużyć sznur. Im jest dłuższy...*

Dość! Dość! W moim żołądku umiejscowił się wielki kamień, który przygniata mnie do dołu, ku ziemi, ku grobowi. Boże!

*I tak łatwo pozbyć się ciała, które nie waży przecież więcej niż półtora kilograma.*

Zaciskam pięści.

*Można je spalić, pogrzebać, poćwiartować. No, ile waży? Półtora? Dwa?*

- Przestań!

*Na pewno nie więcej niż dwa kilogramy.*

- Nie chcę tego słuchać!

*Można obciążyć go jakimś ciężarem i wrzucić do rzeki. To byłoby najprostsze.*

- Zatykam uszy!

*Ryby oczyszczą go szybko. Do ostatniej kosteczki. I smacznego.*

- Zamilcz wreszcie!

\*

Lato zbliżało się ku końcowi. W parku królowało babie lato, powietrze zdawało się być zamglone, ciężkie, srebrne pajęczyny drżały w podmuchach wiatru. Przecież to koniec sierpnia, już koniec sierpnia. Jeszcze ciepło, ale przygotowania do powitania jesieni idą pełną parą. Skończyły się szep-tania amoroso, zrodził się spokój i brzemiennie oczekiwanie.

Do kolorowego zadurzenia. Do spełnienia. Po wieki wieków. A przynajmniej do następnego sezonu. Obrazy mijanej przestrzeni obserwowane z daleka. Rozgrzane alejki, nieruchome rośliny, niebieskość. Granat. Wypatrywałam modelki, która zajądałaby na trawie smakowite śniadanie. Francuskie rogaliki, kawa ze śmietanką. Jesteś? Gdzie jesteś? Nie ma cię? Dlaczego? Modelka widocznie wyniosła się precz, poza ramy obrazu, dżentelmeni Maneta także się ulotnili. Może ich nigdy nie było? Może to tylko wyobraźnia płatała figle i mąciła postrzeżenie? W porze spadających gwiazd i szepceniem wypowiedanych życzeń.

- Kochaliśmy się, prawda? - zapytał Dominik.

Cichutko, jakby delikatne muśnięcie słów, które kiedyś znaczyły tak wiele, dzisiaj nie znaczą już nic.

Kochaliśmy się tyle długich dni i pięknych nocy. Od czerwieni lipcowych wiśni po śnieżną biel grudniowych chryzantem. Czy w grudniu są jeszcze białe chryzantemy? Kochaliśmy się przy smyczkach tęsknych melodii i przy marszowym rytmie bębnow, w orkiestrze i solo. W strumieniu krystalicznych łez, aż do śmieszności i poniżenia. Pijani i trzeźwi. Weseli i smutni. Taka to była miłość. Taka to była samotność. Takie to było wszystko i nic. Kupka popiołu, nawet nie widać po czym, echo w starej studni, sny i marzenia. Zgubiliśmy się na jakimś rozdrożu, on poszedł po czarne jagody, ja po krwiste maliny. Nie wrócił. A może to ja nie wróciłam? Zabłądził. Zabłądziłam. Pomyliły się ścieżki, poprowadziły w nieznanne kierunki, która jest która, dlaczego nie ma drogowskazów?

— Tak. Bardzo się kochaliśmy. Kiedyś.

Kiedyś zamykałam oczy, opuszkami palców dotykałam linii ust, oczu, brwi, uczyłam się na pamięć, odrabiałam

zadawaną lekcję z entuzjazmem, prosiłam o zadania dodatkowe, na szóstkę, na szóstkę. Ponad program, proszę. Wszystko było na zawsze, na wieczność albo jeszcze dłużej. Złączeni magią nieprzypadkowo, przeznaczeni, wyśnieni. Piękni. My. Żółta poświata słońca otulała nas zazdrośnie. Srebrny księżyc patrzył zadziwiony. Można tak? Można aż tak? Zapach pożądania. Nadziei na przyszłość. Miłość. Zmysłowość w kolorze purpury. Przed taką zmysłowością nie można uciekać.

- Bardzo się kochaliśmy.

Dominik przymknął oczy. Zamyślił się. Szczęśliwe wspomnienia. W szczęśliwych wspomnieniach jest tyle tkliwości, że nawet najmniejszy mężczyzna świata może zapomnieć o zmartwieniach dnia dzisiejszego i poddaje się łagodnemu kołysaniu. W bezpiecznej łódce po falach spokojnego jeziora.

- Zaniesiesz mnie do tamtego lasu? Tam, gdzie wiesz... Pierwszy raz powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Zaniosem.

- Będzie tak jak dawniej?

— J a k dawniej.

- Beztrosko?

- Beztrosko.

- Miło?

- Najmilej.

- Przytulisz mnie do siebie?

- No pewnie. Przytulę.

- Zuzanno...

- Tak?

- Och, Zuzanno! Jaki byłem głupi!

Głupi Dominik! Tamto się skończyło. I do którego lasu? Nie pamiętam, gdzie powiedziałam, że go kocham. Domi-



nik mnie okłamuje. Ja okłamuję Dominika. Może nasza historia zawsze opierała się na kłamstwie? Maleńki człowieczek, który ostrożnie wyściubia nos z kieszeni płaszcza, nie, nie! Maleńki człowieczek nie zmieści się w kieszeni. Włożę go do przezroczystej reklamówki albo do wiklinowego koszyka. Będzie przyglądać się okolicy, cóż za perspektywa, będzie podskakiwać z każdym moim pewnym krokiem. Raz, raz, raz. Pomysły dzikie, nie do przewidzenia, ciągoty do kombinowania ustawicznego. Dwa, dwa, dwa. I myśli, które skrzypią ze starości. Skrzypią ze starości. Trzy, trzy, trzy. Przecież to wszystko już było. Zdarzyło się. Przemineło. Prawda? Ucisk w głębi duszy. To czarna ziemia przykrywa przeszłość, nic już się nie liczy. Czas minął. Niby świst wiatru. Od niechcenia. Odleciał w niezbadane jutro.

- I przestań się martwić.

- Wcale się nie martwię. W końcu jakoś to będzie. Taki stan nie może trwać wiecznie.

Dominik uśmiechnął się. Spojrzał na mnie z nadzieją, może potwierdzą, taki stan nie może trwać wiecznie. Kiedyś, przy każdym jego uśmiechu deszcz przestawał padać, słońce ukazywało się zza nadąsanych chmur, zieleń gałęzi zlewała się w górze z błękitem nieba. Paleta barw i gęstość farb, aż tu i ówdzie tworzyły się grube zacieki wczoraj i dzisiaj. Fruwały różowe ważki. Siadały na wargach. Łaskotały. Teraz...

Maleńka karykatura człowieka siedziała naprzeciw mnie, ludzki okruszek zmieniony przez strach i zwątpienie. Dziwadło. Encyklopedycznie niezdefiniowane. Na talerzyku leżały kromeczki chlebka z miodem, w lalczynej filiżance stygło *kakao, jedz, jedz, pij, pij, musisz się dobrze odżywiać, nabrać sił, żeby podołać, pokonać, przeżyć.*

— Podaj mi cukier.

- Proszę.
- I odrobinę cynamonu.
- Naturalnie.
- I jeszcze trochę dżemu.
- Może być malinowy?
- Może.
- Bardzo proszę.
- Dziękuję.

Grzecznie i aby przetrwać. Pomału, ale konsekwentnie. Kiedy był normalnego wzrostu, na śniadanie pił czarną kawę bez cukru, w biegu chwycił gorące tosty, *spieszę się, spieszę się, zjem w pracy, do widzenia*. Teraz ma śliniak pod brodą, pod ręką kawałek chusteczki higienicznej, którą wyciera plamy po winie, po herbacie, po soku, po zupie. Odkąd zmałał, brudzi się niemiłosiernie.

- Smakuje ci śniadanie? - pytam.

Staram się nie używać zdrobnień, *śniadanko, mydełko, całusek, koniuszek*, w końcu Dominik ma swój honor i poczucie godności. Zdaje się, że odwrotnie proporcjonalne do wzrostu.

- Co chcesz na obiad?
- Może kurczaka?
- Czy kupić ci coś słodkiego?
- Niech będzie mleczna czekolada. Jeśli można.
- Otworzyć wino? Likier? Wódkę? Rum?
- Wódkę. Czystą. Proszę.
- Może coś ci poczytam?
- Nie, dziękuję. Może później.
- Idę do pracy. Co będziesz robił?

A co można robić ze swoją maleńkością?

W ciągu dnia Dominik przebywał w tekturowym pudełku, miałam wrażenie, że chował się w nim przede mną.

Może i przed sobą, w każdym razie chował się tam przed wielkim i nieprzyjaznym otoczeniem. Ubrany w kolorowe szmatki, na stopy kładł włóczkowe kapcioszki, które z wielkim trudem wydzierałam dla niego na drutach. Posiłki jadał na lalczynej porcelanie, trunki popijał z kieliszka do likieru. *Pijesz coraz więcej*, zauważyłam kiedyś nieopatrznie, *no cóż*, odpowiedział, *no cóż*, pomyślałam, a kto by nie pił w takiej sytuacji? Co rano rozczesywał gęstwinę włosów małym grzebyczkiem, przeglądał się w małym lusterku - kosmetyczny zestaw Barbie. *Łysieję*, mówił ze smutkiem, *ależ skąd*, odpowiadałam. *Łysiał*, oczywiście. Systematyczne podcinanie czupryny, które miało wzmocnić cebulki włosów, nie pomagało. *Niedługo wypadną mi siekaczy*, mówił, otwierając usta i wypatrując ubytków w uzębieniu, *no co ty*, machałam lekceważąco ręką, *zawsze miałeś zdrowe zęby, nic się nie martw*. Dominik miał jednak rację. Stan jego zębów pogarszał się nieomal z dnia na dzień. Nitkowanie i wcieranie pasty w dziąsła nie pomagało. *Mam coraz słabszy wzrok, będę musiał nosić okulary*, narzekał, wzdychał zrezygnowany, *a niby gdzie jest ten optyk, który wykona takie dziwne zlecenie*, odpowiadałam, starając się obrócić wszystko w żart, nie ma się czego bać, wystarczy optymistycznie patrzeć w przyszłość. Wszystko przecież samo się ułoży. Ach tak. *Zwiotczeją mi mięśnie i nie będę mógł chodzić*. Dominik macał małe bicepsy, poklepywał łydki i uda. *Pożre mnie jakiś pajak albo mucha, albo mysz. Zobaczysz, nie upilnujesz*. A może nie chciałam upilnować?

Od tamtego wieczoru, kiedy moje kryształowe łyży poparzyły mu ręce, coś się między nami zmieniło. Dominik starał się być grzeczny i uprzejmy, choć odzywał się rzadko, czasami słyszałam jego tłumiony płacz, czasami słyszałam, jak mówi do siebie. *Co ja tu robię, co ja tu robię? Kiedy to się skoń-*

czy? *Dlaczego?* Samotny. Oczywiście, szanowałam jego potrzebę samotności. Nawet zminimalizowany człowiek ma prawo побыć sam ze sobą, ze zmartwieniami, które wcale najmniejszymi nie są. Izolacja z wyboru, coraz większa potrzeba ukojenia. Poddanie się? Kiedyś powiedział, że mnie kocha.

— Kocham cię. Gdybym nie był taki durny, pewnie teraz bylibyśmy naprawdę razem. I może bylibyśmy szczęśliwi, kto wie?

Rzeczywiście, któż to może wiedzieć. Jednostki szczęścia są trudne do zmierzenia.

— Wszystkiemu sam jestem winien. Ja sam jestem winien. Może zasłużyłem na karę? Jak myślisz?

Co mogłam myśleć?

— A może powinienem umrzeć?

Śmierć rozwiązuje tyle kwestii. Czy Dominik powinien umrzeć? Był dwudziesty ósmy sierpnia. Może już czas podjąć ostateczną decyzję?

\*

Dwudziestego dziewiątego sierpnia zadzwonił do mnie detektyw Olaf Krasnogradzki, który zaproponował spotkanie, *może pani wybrać miejsce, kawiarnia, restauracja, pub, spacer, proszę, mam nadzieję, bardzo, bardzo...*

— Czy to randka? - spytałam. Chciałam, żeby to właśnie była randka, prawdziwa randka, przystojny detektyw, który spodobał mi się od pierwszego spojrzenia, ja, ty, my i może się uda?

— A ma być randka?

— Nie wiem. Czy może być randka?

— Bardzo bym chciał, żeby to była randka.

- Ale ?
- Tak?
- Czy może się pan umawiać ze świadkiem w sprawie?
- Sprawy już nie ma. Właśnie informuję panią, że sprawa została umorzona.
- Umorzona? Dominik...
- Dominika już nie ma. Zostanie uznany za zaginionego. Może nie żyje. Może się ukrywa. To jak... Spotkamy się?
- Spotkamy się? Panie Olafie?
- Chciałbym umówić się z panią na randkę. Czy umówi się pani ze mną?
- Na randkę. Tak.

Tak. Kolorowy patchwork nadchodzącej jesieni wszedł do pokoju, słyszałam szmer rozgadanych liści, powoli, drzewo za oknem za chwilę przypomni dąb Tchelitchewa, nagi, żywy, niepokojący, w atramencie i akwareli. Należy rozwiązać, podsumować, rozliczyć. Zapiąć na ostatni guzik. Wrzucić do foldera pod nazwą „kosz”. Najwyższy czas.

## Rozdział 22

- A gdzie to się pani wybiera? — Sąsiadka z piętra wyżej przystaje na mój widok, tarasuje przejście, wielka i podparta pod boki. Stoimy przy wejściu do klatki schodowej, zbie-

ram myśli. Staram się schować je przed ciekawskim spojrzeniem, przed niezdrowymi domysłami. Doświadczona. Wytrawna. Kobieta z innej epoki.

- Ach, takie małe porządki. - Uśmiecham się, nie mam przecież nic do ukrycia, żadnych kłesk, żadnych niedomowień, żadnego chowania po kątach. Stara szafa stoi otworem. Pusta. Nie ma w niej klekoczącego szkieletu.

- Wyrzuca pani stare graty? - dopytuje sąsiadka, patrzy z ciekawością na pudła, które znoszę na dół. Pachną przewodzką, czułe na zgromadzoną przeszłość. Trochę nieporęczne, ale przecież niezbyt ciężkie. Jakoś to będzie.

- Kilka rzeczy dla córki koleżanki. Mebelki dla lalek, ubranka, naczynia. Takie tam! - wyjaśniam.

W słowach „takie tam” można zawrzeć wszystko. Ja zawieram jeszcze kuwetę, torbę piasku i trocin, kilka kompletów pościeli, kocyki, poduszeczki, wanienkę, miedniczkę. Kosmetyki. Odpryski maleńkości. *Daemonica magia*.

- No to się dziecko ucieszy!

- Mam nadzieję. Kto by się nie cieszył.

- Pomóc może?

- Ależ skąd, dziękuję. Poradzę sobie.

Zawsze sobie radzę. Jestem przecież dobrze zorganizowana, potrafię przewidywać i kalkulować. Stuk, stuk, stuk. Spacja. Dwa odjąć jeden to jeden. Przez jakiś czas. Po długim dzisiaj przyjdzie oczekiwane jutro. Będę zakonchana... Wszystko jest pod kontrolą.

- Pomóc pani? - pyta taksówkarz, otwiera drzwi bagażnika.

- Dziękuję, to lekkie — odpowiadam i idę po następną porcję pakunków, ależ się tego nazbierało, kto by pomyślał, zaledwie przez kilka miesięcy.

W ostatnim pakunku śpi maleńki człowieczek. Leży na miękkim posłaniu w pudełku po butach. Przykryty lekkim wełnianym kocykiem w szkocką kratę. Nie widać go, nie słyhać. W wieczku pudełka wycięłam otwory, które mają zapewnić przepływ powietrza, wszystko układa się dobrze, cichutkie pochrapywanie wtapia się w dźwięki dnia. Piękne, ciepłe wrześnieowe popołudnie, które ma zakończyć pewien etap w moim życiu i rozpocząć nowy.

- Co ze mną zrobisz? - dopytywał się Dominik poprzedniego wieczoru, w jego głosie wyczuwało się słabiutką nutkę niepokoju. Bał się? Czy był ciekawy? Kto by zresztą nie był?

- A dlaczego mam coś z tobą robić?

- Przecież wiem.

Przecież wiedział. Patrzyłam na niego z góry i zastanawiałam się, co też można zrobić z takim niecodziennym zmartwieniem. Prababka miała rację, rozwiązań było wiele, większość z nich zależała od poczucia sprawiedliwości, dobrej woli, złej woli, posmaku rewanzu. Łatwo jest pozbyć się niewielkiego kłopotu. Wystarczy rozdeptać albo wysłać w nieznaną, a później umyć ręce, wytrzeć do sucha, nie zostanie nawet ziarnko brudu pod paznokciami. Tradycja stara, stosowana od dwóch tysięcy lat. Od Poncjusza Piłata. Począwszy. Sprawdza się, podobno. Do dziś.

— Jeszcze o niczym nie zdecydowałam. A co, źle ci tutaj? Masz do mnie jakieś pretensje?

- Gorzej już być nie może. Jestem zmęczony. Upokorzony.

- Zmęczony?

- Upokorzony. We wszystkim zależę od ciebie. Od twojej woli. Od twojego humoru. Od tego, czy jesteś, czy cię nie ma. Co to za życie.

— Staram się...

— Wiem, wiem. To nie twoja wina. Tylko...

Tylko gdzieś zagubiła się radość, beztroska. Siła. Szklanka, która była zawsze w połowie pełna. Teraz widać tylko dno. Po aromatycznym trunku ani śladu.

- Czasami brakuje mi zwykłych czynności. Chciałbym usiąść przy biurku... wziąć do ręki pióro, napisać coś.

- Może mogłabym ci pomóc?

- J a k ? Długopisy są dla mnie za długie, kartki papieru za duże, po klawiaturze komputera musiałbym biegać. Rzygać się chce.

- Nie przesadzaj.

— Chciałbym stanąć przy kuchni i ugotować obiad. Wziąć do ręki odkurzacz i posprzątać mieszkanie. Wykąpać się w wannie. Chciałbym pójść do sklepu, do kina, na spacer. Na własnych nogach. Chciałbym się kochać. Och, Zuzanno. Chciałbym wziąć do ręki książkę i poczytać. Chciałbym trzymać w ręku bukiet kwiatów. Chciałbym... tyle rzeczy chciałbym... Czy wiesz... Chciałbym wziąć własne dziecko na ręce. I przytulić. Czy to już nigdy nie będzie możliwe?

Dominik skrzywił małą twarzyczkę.

- Tylko nie płacz.

- Bo co?

— Bo nie mogę patrzeć.

— Sama widzisz.

— Co widzę?

- Że to jest nie do zniesienia.

Życie w półtora osobnika pod jednym dachem jest nie do zniesienia. Poczucie odpowiedzialności za namiastkę osoby jest nie do zniesienia. Myśl o pozbyciu się, usunięciu śladów jest nie do zniesienia. Dominik? Kto to taki? Nie pamiętam. Nie wiem.



- Piękny dzień dzisiaj. - Taksówkarz patrzy na mnie w lusterku, uśmiecha się. Jest młody i ma miłą powierzchowność. - A pani taka ładna - dodaje po prostu.

Rzeczywiście, dzień jest piękny i niesie ze sobą pozytywną energię. Wiem, że dzisiaj wszystko się uda, musi się udać, słońce zalśni w przygodnych kroplach, nad ziemią uniesie się pełna nadziei tęcza. Na zgodę. Czysta poezja. Tęsknota otaczającego świata. Magia?

- Przeprowadza się pani?

- Nie. Wiozę kilka rzeczy. Komuś się przydadzą.

- No i dobrze. Teraz wszyscy wszystko wyrzucają. Za dobrze się ludziom powodzi, nie?

Pewnie ma rację. Stosy książek, których nikt nie chce, ubrania, sprzęt kuchenny, radiofoniczny, elektroniczny. Wszystko odchodzi w przeszłość. W śmietnikach przemijania grzebać teraz będą kolejni przedstawiciele łańcucha cywilizacyjnego, aż do następnego razu, aż do następnego wyrzucenia. Ja przecież też. Ja przecież też pozbywam się niepotrzebnego, żeby zrobić miejsce na nowe. Dość mam wyblakłego pożądanego i nudnych rozmów. I milczenia, które już nic nie znaczy. Nic się nie dzieje, niczego nie oczekuję, ciągle te same grzanki, zupki, kupki, herbata z torebek bez smaku, *proszę, dziękuję, przepraszam*, kawa bez cukru, kawałki wędliny pokrojone na maleńkie kawałeczki, okruchy ciasteczek, co jeszcze, *mam dość, och, jakże mam dość!* Nic dziwnego, że sięgam po alkohol i po zamroczenie.

- Napijesz się?

Dominik zawsze chce się napić. Poprzedniego wieczoru wypił kilka kieliszków wina. W jednym z nich znalazł się silny środek nasenny, miałam nadzieję, że porcja jest proporcjonalna do wzrostu i wagi. Pograżyłam skarłowaciałego kochanka w najgłębszym śnie. I nawet nie drgnęła mi ręka,

głos ani myśl. Ani powieka. Sumienie też nie. Nic. Jakbym codziennie usypiała, oszukiwała, pakowała, planowała. O Boże! Czy to naprawdę jest takie proste?

*Tak, to naprawdę jest bardzo proste*, głos prababki po-brzmiewał w mojej głowie, starałam się nie słuchać, nie myśleć, nie rozważać. Rad protoplastki także miałam już dość!

— O czym pan mówił? Przepraszam, zamyśliłam się.

Zamyślona, rozkojarzona, w końcu przecież coś kończę. Zaczynam coś. Dlaczego to nie jest jednak takie proste?

— Mówiłem, że dziewczyny zawsze są ładne w lecie.

Ach tak. Ładne, smukłe, powabne. Nowe sny. Nowe miłości. Nowi kochankowie.

Mój stary kochanek leży spokojnie w tekturowym pudełku. Ostrożnie przesuwam pokrywkę, kładę rękę na lekkim przykryciu, czuję miarowy oddech. Dominik śpi. Czuję jego ciepło i spokój. Jest zależny tylko ode mnie. Zależny ode mnie. Bezbronny, maleńki, o niczym nie wie, niczego się nie domyśla, nic mu się nie śni. Pochrapuje? Tak. Le-ciutko pochrapuje. Na czole skropiły się drobinki potu. Kochanek. Malutki. Kochanek.

Żal.

Czuję żal.

Jednak czuję żal.

Dlaczego czuję żal?

Kilka lat gwałtownej namiętności, niespokojnego czekanania, wiążących słów. *Kocham, kocham, kocham*, wpisywane w klawiaturę telefonu, laptopa, na postrzępionych kartkach, wszędzie. Zaproszenie. *Wstąp do mojego snu. Będę czekał na la-tawcu, w damskich szpilkach i czarnym biustonoszu. Wstępowałam. Zuzanno? Dominiku?* Fantazyjna przyszłość. Szczęście i nieszczęście poszarpanej miłości, którą staraliśmy się

sfastrygować nieumiejętnymi ściegami. Plastry, bandaże, kojące mikstury. Może niepotrzebnie?

Żal przy rozstaniu...

Żal przy rozstaniu?

A jeśli nie powinnam? A może nie powinnam? A może nie jest jeszcze za późno? Świeci słońce, błyszczący świat. Parka, grecka bogini przeznaczenia, ma niewiele wspólnego z wykuwaniem losu. To my sami wykuwamy wąską ścieżkę w twardej skale życia. Jeszcze można zawrócić, wejść na górę, otworzyć drzwi, rozpakować pudełka, obudzić Dominika i wypić za dobry początek. *Część! To znowu my.* Za nowy dobry początek. I zacząć jeszcze raz. Jak kiedyś. Czarny labirynt istnienia.

Taksówka przejeżdża przez kolejne skrzyżowania, wąskie i szerokie ulice, most, wiadukt, tory tramwajowe. W szkle mijanych witryn sklepowych odbijają się przechodnie. Suknie w kolorze dojrzałych dyń albo malinowej herbaty. Splecione dłonie. Rozwiane szczęściem włosy. Pobliskie restauracje, kawiarnie za najbliższym zakrętem. Przy małych stolikach głowy zbliżone do siebie. Są wszędzie. Uśmiechnięte dziewczyny, wspaniali mężczyźni. Sięgają chmur.

A jeśli nie powinnam?

Kiedyś i mój książę sięgał chmur, zwinnie przeskakiwał z gwiazdy na gwiazdę. Był najbardziej interesującym mężczyzną. Pomysłowym i pełnym fantazji. We wszystkich wszechświatach. A później...

Pospolity Dominik, który nie pytał, nie dociekał, nie tłumaczył. Może wiedział, że żadne słowa nie usprawiedliwią tamtego tchórzostwa i nie oddadzą tamtego cierpienia. Może wiedział, że po jego odejściu zawalił się świat i otworzyło się piekło?

Co robić?

- Jesteśmy na miejscu - głos taksówkarza wytrąca mnie z rozmyślań. Z mroku. Z wątpliwości. Tu jest realny świat. Linia, która oddzieli nasze „wczoraj” od czyjegós „jutro”.

- Proszę pani, jesteśmy na miejscu - powtarza taksówkarz. Przygląda mi się. Tak, tak. Wszystko w porządku. Kiwam głową. Tak, tak. Na miejscu, bez odwrotu, bez dobrego pomysłu. Moje oczy były kiedyś szare niczym chmury przed deszczem, teraz są zielone niczym porośłe glonami jezioro. Mam zapisany w sobie każdy kolor świata i wieczności. Genetycznie? Magicznie? Któż to wie? Zmarszczki stare jak Ziemia. Doświadczenie. Rzeczywistość napiera na mnie z siłą materii. I co teraz będzie?

- To tutaj, prawda? Tutaj chciała pani przyjechać?

Tutaj chciałam przyjechać. Osiągnąć cel. Zasłużyć na odpoczynek.

Czuję delikatne drgania palców. I pulsowanie wiśniowych ust. Prastare czucie.

- Tak. To tutaj. Dziękuję.

To tutaj Dominik zniknie z mojego życia, z grafiku obowiązków, z obrazu rzeczywistości. Zniknie, roztopi się, wyparuje. Pstryk! Ot tak!

- Pomóc pani z tymi pakunkami?

Historia utkana na kanwie wyobraźni. Słowami bogatymi w treść. W treści ukryci jesteśmy my, cały świat, wszystkie marzenia.

- Pomóc pani z tymi paczkami? - powtarza taksówkarz.

- Ależ nie. Są lekkie. Dam sobie radę.

Łatwo jest dać sobie radę z życiem małego człowieczka zredukowanym do czasu odmierzonego w klepsydrze zamiarów. Osobliwość. Znalezisko. Pułapka. I kto by się spodziewał?

Pusty korytarz czteropiętrowej kamienicy stał przede mną otworem. Pustka na ogół sprzyja niedorzecznym pomysłom, sekretnym wybiegom, cicho, cicho, na palcach, pst, pst, otworzą się drzwi. W tamtej pustce mogłam wdrożyć swój plan w życie. Nareszcie!

*Dziewczyno! Nie rób tego! Przecież masz go zabić!*

Zabić? Cały czas była mowa, że mam się go pozbyć.

*Masz go zabić! Zrozum. Masz pokazać, że stać cię na ostateczne działania. Przecież chcesz być czarownicą?*

A jeszcze nie jestem?

Rozejrzałam się wokół. Pierwsze piętro, klatka schodowa z ozdobną balustradą, kamienna posadzka i doniczkowe rośliny przy ścianach. Masywne dębowe drzwi, na których złociła się mosiężna tabliczka z wygrawerowanym numerem mieszkania. Trzy. To tu. Pod wysokim oknem stał niski stolik na powyginanych, metalowych nogach, kilka klubowych foteli. Czerń, biel i pomarańcz. Tak, to tu. To właśnie tu pozbędę się ciężaru odpowiedzialności i niechęci. Koszmaru.

*Jeszcze nie jest za późno. Wyjmij go z tego cholernego pudełka i uduś! Uduś! Do diabła! Dasz radę!*

Babciu!

*Do diabła! Do kurwy nędzy!*

Jak ty się wyrażasz!

Pod sufitem zwisały szklane kinkiety. Dawały ciepłe, złote światło. Na błyszczącą podłogę, na beżowe ściany. Elegancja, smak. Cisza. Aż dziwne, że w takim budynku nie było ochrony, nie było nawet pojedynczego strażnika.

*Nie zaprzepaść szansy, żeby być jedyną, wybraną, niezastąpioną.  
On teraz śpi, nawet się nie zorientuje. Nie będzie bolało.*

A nie można być wybranką bez popełnienia morderstwa?

*Otóż to, dziewczyno! Otóż to! Nie można!*

Nigdy mi tego nie mówiłaś, babciu.

W rogach korytarza umieszczono maleńkie kamery, których uważne oczy śledziły przestrzeń. Śledziły mnie. Rejestrowały każdy mój krok. I co z tego!

*Nawet nie wiesz, co stracisz!*

A co ty stracisz, babciu?

Paczki, które wniosłam na piętro, ustawiłam obok dębowych drzwi. Nie było ich zbyt wiele. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Nie były duże ani ciężkie. Na wycieracze postawiłam pudełko ze śpiącym człowieczkiem, zdjęłam wieczko, żeby zawartość była dobrze widoczna.

*Jesteś gotowa zaprzepaścić takie zdolności?!*

Może powinnam napisać list? Wyjaśnić? Przeprosić? Oto zdarzyła się sytuacja wielce osobliwa, której sprostać trudno, w której trzeba dobro istoty ludzkiej powierzyć drugiemu człowiekowi?

*Móc mieć świat u swoich stóp i nie chcieć tego?!*

I nie chcieć tego!

*Móc wpływać na wszystko i na wszystkich! I nie chcieć tego?!*

I nie chcieć tego. Babciu! Nie za taką cenę!

*A jakaż to cena?! Zabić robaka? To takie trudne?!*

Trudne. Bardzo trudne.

Pochyliłam się nad pudełkiem. Najmniejszym palcem pogładziłam głowę śpiącego, *wybacz, nie mam już siły*. Poprawiłam kocyk...

*Dziewczyno!*

Babciu, daj spokój.

*Dziewczyno! Pożałujesz!*

A następnie nacisnęłam dzwonek do drzwi i szybko pobiegłam schodami w dół. Głos prababki syczał w mojej głowie, ale to nic, to nic. Takie sobie syczenie. Jakby coraz słabiej, coraz ciszej. Ku wolności. Biegłam ku wolności, żeby fruwać, żeby wtopić się w słoneczną śmiałość wielkomiejskiej ulicy.

Życ!

Żeby zniknąć z kart tej niebywałej historii. Na zawsze. Na zawsze.

Och!

Na parterze...

Będąc na parterze, usłyszałam trzask otwieranych na górze drzwi. Przez chwilę nic się nie działo.

Nic się nie działo?

Zamarłe oczekiwanie, brzemienne w skutki cisza. Nic się nie działo. A później...

Krzyk?

Usłyszałam. Przerażliwy krzyk. Wypełnił całą przestrzeń budynku.

Krzyk strachu. I niedowierzania.

Takie rzeczy się przecież nie zdarzają. Nie! Nie zdarzają. Bełkotliwe dźwięki przerażenia.

To żona?

To żona Dominika reagowała na powrót męża do domu. Po chwili do jej krzyku dołączyło piskliwe zawodzenie. To widocznie Dominik obudził się i spojrzał połowicy prosto w twarz. Był drugi wrześnie.

Wszystkiego najlepszego! Na nowej drodze życia.

Dla nas wszystkich!